

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

**Arbuzowy
batalion**
Aleksandra
Łukaszenki
► 18



**„Na co to?
Chyba na
wszystko”**
Religia
wellnessu ► 24

**Kto
nienawidzi
pisarzy?**
Nękanie, groźby,
tortury ► 33



WYSOKIE OBCASY
Magda Różczka
Dziecko potrzebuje
przynajmniej
jednego dorosłego

FOT. PRESS SERVICE OF THE PRESIDENT OF THE REPUBLIC OF BELARUS





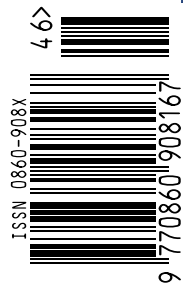
MAGAZYN
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

100 DNI
KAROLA
NAWROCKIEGO

Czy prezydent
wybił się
na niepodległość?

► 4-11



46
ISSN 0860-908X
9 770860 908167



Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sobota – czwartek, 15-20 listopada 2025 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 265.11062, 1 | Nakład 73 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA



JUŻ DZIŚ W ŚRODKU GAZETY

Magazyn Na Narty

Kraj/34397146

Administracja prezydenta wymyśla coraz bardziej absurdalne historie

Pływające kłamstwo Trumpa

Wojny zaczynają się od słów, co oznacza, że słowa muszą być traktowane poważnie przed wybuchem konfliktu.

Snyder

Dzięki uprzejmości czasopisma idei „Project Syndicate”, dla którego piszą najciekawszy intelektualści, autorytety i osoby publiczne zachodniego świata, witamy profesora Snydera jako regularnego felietonistę na naszych łamach. Zapraszamy do comiesięcznej lektury w weekendowym „Magazynie Wyborczej”.

Prezydent USA Donald Trump, ogłaszając agresywną politykę, zazwyczaj przedstawia groteskowe uzasadnienie – bezsensowną fikcję, która ma utknąć w naszych umysłach. Im więcej kłamstw przelknijemy teraz, tym trudniej będzie nam zakwestionować przyszłe kłamstwa, ponieważ podważyłoby to nasze postrzeganie siebie jako istot inteligentnych.

Na tym właśnie polega magia wielkiego kłamstwa, jak wyjaśnił Hitler w „Mein Kampf”: Opowiadać bzdury tak oburzające, że ludzie po prostu nie mogą uwierzyć, że są nieprawdziwe. Największym kłamstwem Hitlera było twierdzenie, że międzynarodowy spisek żydowski był źródłem nieszczęść Niemiec – kozłem ofiarnym, którego można było obwiniać za każdy problem i zwolnić innych z wszelkiej odpowiedzialności. W 1939 roku Hitler i jego propagandyści rozpowszechniali również rażące kłamstwa na temat Polski – że tak naprawdę nie istniała jako państwo, a także – że była agresorem, który wywołał II wojnę światową.

Wielkich kłamstw Trumpa jest właściwie zbyt wiele, by je policzyć. Być może najbardziej uniwersalnym jest to, że jego polityka koncentruje się na ograniczeniu nielegalnego handlu fentanylem. Na początku swojej drugiej kadencji Trump twierdził, że Kanada zaatakowała Stany Zjednoczone, pozwalając na swobodny przepływ fentanylu przez granicę. I czy nie powinna stać się 51. stanem USA?

Zarzut ten był pretekstem do nałożenia cła na kanadyjski eksport. Ale kiedy Trump łączy Kanadę i Meksyk i twierdzi,



• **Prezydent Trump podczas obchodów Dnia Weteranów na cmentarzu wojskowym w Arlington (11.11.2025)**

FOT. KEVIN LAMARQUE/REUTERS

dzi, że fentanyl „wlewa się” przez granicę z oboma krajami, kłamie. W 2024 r. tylko około 0,2 proc. fentanylu przechwyconego przez amerykańskie władze graniczne pochodziło z Kanady, która nie została nawet wymieniona w krajowej ocenie zagrożenia narkotykowego w 2024 r. przeprowadzonej przez US Drug Enforcement Administration.

Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy administracja Trumpa stworzyła jeszcze bardziej złowieszczy geopolityczną fantazję: ataki wojskowe na małe łodzie na wodach międzynarodowych są konieczne, aby powstrzymać przemysł narkotyków. Ataki te, które wielu ekspertów uważa za ewidentnie nielegalne, skupiły się u wybrzeży Wenezueli i spowodowały śmierć co najmniej 61 osób. Chociaż powszechnie wiadomo, że nie powstrzymają napływu fentanylu do USA, Trump powiedział, że jego rząd będzie nadal „zabijał ludzi, którzy przywożą narkotyki do naszego kraju”.

Pozasądowe zabijanie domniemyanych przemytników w mniejszym stopniu ma na celu walkę z handlem narkotykami, a w większym stanowi demonstrację siły – a może nawet zmierzają do zmiany reżimu w Wenezueli. Chociaż filmy z ataków na łodzie stały się pożywką dla serwisów społecznościowych, nie ma dowodów na to, że ich celem byli handlarze narkotyków. (Wiceprezydent J.D. Vance żartował we wrześniu na temat zabijania niewinnych rybaków, mówiąc, że „nie wybrałby się teraz na ryby w tym rejonie świata”).

Co więcej, administracja Trumpa podobno zezwoliła na tajne działania CIA w Wenezueli i rozmieściła swój najbardziej zaawansowany lotniskowiec na Morzu Karaibskim. Ten pokaz siły militarnej ma służyć jako spektakl polityczny. Niebezpieczeństwo polega na tym, że może on się przerodzić w niemożliwy do wygrania otwarty konflikt.

Tragedia polega na tym, że kryzys opioidowy był istotnym elementem

amerykańskiego doświadczenia przez ostatnie ćwierć wieku. Stany Zjednoczone mają najwyższy na świecie wskaźnik zgonów spowodowanych opioidami, w dużej mierze z powodu nastawienia na zys systemu „opieki zdrowotnej”, który podsuwa pacjentom leki przeciwbólowe, zamiast oferować intensywną, długoterminową terapię uzależnień.

Kryzys rozpoczął się od afery Purdue Farmy, amerykańskiej firmy farmaceutycznej, która opracowała i agresywnie sprzedawała popularny opioidowy lek przeciwbólowy OxyContin. Wprawdzie za początkowy wzrost liczby zgonów z przedawkowania odpowiadał OxyContin, to z czasem wielu użytkowników przerzuciło się na heroinę, a teraz fentanyl – 50 razy silniejszy niż heroina – bo nie mogli już zdobyć recepty na najlepiej sprzedający się produkt Purdue Farmy.

Amerykanie żyjący w epicentrac kryzysu uzależnień zwykle głoszą na Republikanów; bez ich wsparcia Trump nigdy nie zostałby wybrany. Trump i Vance zerują na epidemii opioidów w tym sensie, że traktują to źródło nędzy jako kapitał polityczny, którego można użyć przeciwko dowolnie obranemu wrogowi – czy to sojusznikowi, jak premier Kanady Mark Carney, czy przeciwnikowi, jak prezydent Wenezueli Nicolás Maduro.

W swoich wspomnieniach „Elegia dla bidoków” z 2016 roku Vance opowiada, jak jego matka, pielęgniarka z łatwym dostępem do leków na receptę, była uzależniona od farmaceutyków. Jednak jego przekaz polityczny dotyczący imigracji i bezpieczeństwa jest inny. Vance obwinia mianowicie inne kraje, bo „trucizna napływa przez nasze granice”. Chodzi o to, żeby Amerykanie uważali swoje uzależnienia za napaść z zewnątrz.

Ważne jest, aby zrozumieć psychologię, którą wykorzystują Trump i Vance. Osoby uzależnione mają tendencję do obwiniania innych za swój stan. Wzrost skrajnej prawicy w amerykańskiej polityce wyniósł ten sposób myślenia na poziom ogólnokrajowy. Przekonanie, że ktoś inny musi być odpowiedzialny za problemy kraju, zaczęło wpływać na politykę zagraniczną, a administracja

Trumpa wymyśla coraz bardziej absurdalne historie, na przykład taką, że każdy atak na wenezuelską łódź ratuje życie 25 tys. Amerykanów.

Kłamstwa działają, ponieważ przerzucają winę. Obarczanie innych krajów odpowiedzialnością za kryzys opioidowy jest dla Amerykanów atrakcyjną formą moralnego outsourcingu. Ale fikcja na tak wielką skalę wymaga zbudowania wokół niej całej alternatywnej rzeczywistości. Trump i jego administracja tresują media i amerykańską opinię publiczną, by kojarzyły ataki na łodzie z zatrzymywaniem przemytu fentanylu i innych narkotyków. Oto doskonały przykład kłamstw, które imperialiści opowiadają przed wszczynaniem skazanych na porażkę wojen z wyboru.

Wojny zaczynają się od słów, co oznacza, że słowa muszą być traktowane poważnie przed wybuchem konfliktu. Tylko ujawniając wielkich kłamców i mówiąc małe prawdy, możemy mieć jakąkolwiek nadzieję na powstrzymanie coraz bardziej agresywnej prezydentury Trumpa. ●

Timothy Snyder

Copyright: Project Syndicate 2025,
www.project-syndicate.org

Andrzej rysuje



Timothy Snyder

• ur. 1969 r., historyk, wieloletni profesor Yale, autor i redaktor, pierwszy profesor historii współczesnej Europy na Munk School of Global Affairs and Public Policy w Toronto, pracuje też w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu.

• Autor głośnych książek: „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, „Czarna ziemia. Holocaust jako ostrzeżenie”, „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku”, „Droga do niewolności. Rosja. Europa. Ameryka”, „Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności” (dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków lub audiobooków na Publio.pl). Człowiek Roku „Wyborczej” 2016.

Komórki opisane jak nigdy dotąd

Nowy atlas mózgu

W ciągu ostatniej dekady postęp w technologiach sekwencjonowania DNA i RNA oraz analizach obliczeniowych udoskonalił, a czasem nawet na nowo zdefiniował typy komórek mózgu. Najczęściej wykorzystuje się do tego tzw. transkryptomy, czyli kompletny zestaw cząsteczek RNA produkowanych przez komórkę. W rezultacie otrzymujemy obraz dorosłych typów komórek o niespotykanej dotąd rozdzielczości.

Jednak na wczesnym etapie rozwoju kształtowanie się tożsamości danych komórek przypomina bardziej film niż pojedynczą jego klatkę. I naukowcy są zainteresowani obejrzeniem całości.

Stworzenie takiego filmu to potężny wysiłek, dlatego neurobiolodzy zorganizowali się w konsorcjum – BRAIN Initiative Cell Atlas Network (BICAN) w ramach inicjatywy Narodowych Instytutów Zdrowia USA. Praca naukowców koncentrowała się na dynamicznej naturze ekspresji genów i tożsamości komórek w rozwoju mózgu człowieka.

Projekt polegał na stworzeniu atlasów referencyjnych typów komórek mózgowych u człowieka i kilku innych gatunków ssaków.

W miarę kształtowania się układu nerwowego komórki przechodzą z fazy proliferacji – podziałów dla utworzenia kolejnych komórek – do fazy różnicowania się, czyli stania się komórkami dojrzałymi. Proces ten jest napędzany ściśle skoordynowaną sekwencją zdarzeń molekularnych.

Obecnie nie istnieją technologie umożliwiające ciągle obserwowanie tej sekwencji w żywym organizmie. Ale możliwy jest pomiar ekspresji genów w wielu okresach jego życia. Wykorzystując tę serię migawek genetycznych z wczesnego etapu rozwoju, naukowcy mogą komputerowo zrekonstruować film z drogi komórki od progenitorowej do dojrzałej.

Korzystając z zaawansowanych narzędzi genetycznych i obliczeniowych, naukowcy z BICAN prześledzili, jak komórki macierzyste przekształcają się w wyspecjalizowane neurony i komórki glejowe, jak regulowana jest aktywność genów w trakcie rozwoju oraz jak doświadczenia sensoryczne i czynni-



FOT. KOHJIAKAWA / PIXABAY

ki środowiskowe wpływają na tożsamość komórek mózgowych.

Okazuje się, że poszczególne typy komórek nerwowych pojawiają się w nakładających się na siebie falach. I że niektóre procesy rozwojowe mogą zostać reaktywowane w wieku dorosłym lub z powodu choroby. „Zbiór danych z BICAN przekształca statyczny obraz typów komórek w dynamiczną historię rozwijającego się mózgu” – pisze Emily Sylwestrak z Instytutu Neurobiologii Uniwersytetu stanu Oregon. „Dane te stanowią podstawę dla przyszłych badań tzw. okien rozwojowych i profili transkrypcyjnych, które przyczyniają się do powstawania i funkcjonowania obwodów neuronalnych, lub dla badań nad podatnością na choroby”.

Odkrycia te pomogą też naukowcom w określeniu czasu i miejsca powstawania schorzeń takich jak autyzm i schizofrenia, ulepszeniu projektowania organoidów mózgowych i modeli zwierzęcych, a także mogą stanowić podstawę dla terapii celowanych.

Cały zbiór danych z BICAN przekształca statyczny obraz typów komórek w dynamiczną historię rozwijającego się mózgu. Dane te stanowią podstawę przyszłych badań mających na celu określenie, które okna rozwojowe i profile transkrypcyjne są przyczyną powstawania i funkcjonowania obwodów neuronalnych, a także przyczyną podatności na choroby.

Wyniki prac ukazały się w ostatnim wydaniu tygodnika „Nature”. ●

Margit Kossobudzka

REKLAMA

Kraj/34405123



Włoska Riwiera, Monako i Éze

Wyjątkowa podróż od Nicei aż po Genuę przez piękne wybrzeże Ligurii z bazą wypadową w urokliwym miasteczku Dianio Marina.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Nicei, krótkie zwiedzanie miasta i przejazd do Dianio Marina we Włoszech. Dz. 2 Spacer po Dianio Marina. Dz. 3 Muzeum Oliwy w Imperii. Nadmorskie miasteczko Alassio i Finale Ligure. Dz. 4 Relaks i wypoczynek w Dianio Marina. Dz. 5 Wycieczka do Val Nervia. Wizyta w Pignie i Dolceacqua z degustacją wina oraz krótka wizyta w San Remo. Dz. 6 Wycieczka do Monako i średniowiecznego Éze. Dz. 7 Zwiedzanie Genui. Dz. 8 Przejazd z Dianio Marina do Nicei i powrót do domu.



8 dni | Wyloty z Warszawy 14/05, 21/05 2026 | od **5.498,-**



Pełne wyżywienie na statku

Rejs po Renie: Bazylea, Amsterdam i Kolonia

Wyjątkowy rejs po najciekawszym odcinku Renu, gdzie zobaczymy wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO oraz piękne krajobrazy z winnicami na wzgórzach.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Zurichu. Przejazd do Bazylei. Zwiedzanie miasta. Zaokrętownie na statku. Dz. 2 Kehl, Niemcy/Strasburg, Francja. Zwiedzanie starówki wpisanej na Listę UNESCO (dodatkowo płatne). Dz. 3 Mannheim, Niemcy. Spacer w Mannheim lub wycieczka do Speyer (dodatkowo płatny). Wieczorny spacer w Rüdesheim am Rhein (dodatkowo płatny). Dz. 4 Koblenca, Niemcy. Panoramiczna żegluga w romantycznym Mittelrhein przez pasaż Loreley. Możliwość wycieczki do Koblenki. Dz. 5 Kolonia, Niemcy. Zwiedzenie Kolonii, w tym katedry Kölner Dom a także degustacja piwa (dodatkowo płatne). Dz. 6 Amsterdam, (Zaandam) Holandia. Rejs kanałami z przewodnikiem. Dz. 7 Nijmegen, Holandia. Spacer po hanzeatyckim Nijmegen. Dz. 8 Kolonia, Niemcy. Powrót do Warszawy.



8 dni | Wyloty z Warszawy 17/06, 26/08 2026 | od **9.198,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: CW33

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



FOT. REUTERS/SUSANA VERA

Cytat tygodnia



Nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją. To nie jest normalne

SELEKCJONER HISZPANII
LUIS DE LA FUENTE

o zabiegu, któremu poddał się Lamine Yamal. Gwiazdor Barcelony nie dotarł na zgrupowanie kadry, a hiszpańska federacja jest oburzona, bo nie wiedziała o planach piłkarza i klubu

WAŻNY TEMAT



PREZES JUŻ NIE WJEŹDŹA GŁÓWNĄ BRAMĄ

Co on tak jeździ? Przecież dostał inne zadanie.
Po 100 dniach prezydentury Nawrockiego z Nowogrodzkiej
dobiegają pomruki niezadowolenia.

Agata Kondzińska

I o przez Jarosława Kaczyńskiego politycy PiS utknęli aż do świtu w sali teatru Mała Warszawa. Była wyborcza noc pierwszego czerwca. Po długiej i wyczerpującej kampanii czekali na wyniki. Sondażowe exit poll dały zwycięstwo Rafałowi Trzaskowskiemu tylko na kilka godzin. Late polle odwróciły sytuację: to Karol Nawrocki wygrał. – Szef siedział, świętował, to my z nim, nie wypadało iść – wspomina polityk PiS.

A że wygrał z pomocą Konfederacji? W PiS mają gotową odpowiedź: – Gdyby prezes nie podjął ryzyka i wbrew partyjnym frakcjom jednak postawił na nieznanego kandydata, zamiast na polityka obciążonego grzechami naszych rządów, nie byłoby pomocy wyborców Konfederacji. I nie byłoby zwycięstwa.

Ostatni politycy wychodzili z teatru na warszawskiej Pradze chwilę przed piątą rano. Z nadzieją, że powrót do rządu jest możliwy. Radość była duża: po dwóch latach w opozycji znów wygrali i Tusk nie „domknął układu”. PiS zachował Pałac Prezydencki, a w parlamencie większość, by podtrzymać każde weto, które stamtąd wyjdzie.

Tej nocy ludzie Kaczyńskiego zaczynali dwuletni marsz po władzę. Z przekonaniem, że musi to być wspólna droga PiS i prezydenta. I poczuciem, że może być jednak trudniej, bo Nawrocki to nie Duda. A Konfederacja się umacnia i też może upomnieć się o swoje.

Rocznik '83, sportowiec, historyk z tytułem doktora, za rządów PiS najpierw dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, potem Instytutu Pamięci Narodowej. Gdańszczanin bez partyjnego rodowodu. Kibic Lechii Gdańsk ze znajomościami w półświatku, ochroniarz w Grand Hotelu, bywalec kibolskich ustawek. „Lech Poznań pamięta wpierdół od prezydenta” – taką rymowanką w lipcu witały Nawrockiego trybuny Lechii Gdańsk, która wypomniała kibicom Lecha Poznań bójkę sprzed 16 lat. To w niej miał się bić Nawrocki.

W sierpniu kolejny komunikat stadionowy dla prezydenta: „Byłeś, jesteś, będziesz zawsze kibicem Lechii”. I tym razem ultrasi nawiązali do wydarzenia z przeszłości. Bo Lechia Gdańsk ma jeszcze jednego kibica na szczytach władzy. Premiera Donalda Tuska. Tylko że ta miłość nie jest odwzajemniona. W 2011 roku trójmiejski klub witał szefa rządu transparentem: „Nie jesteś, nie byłeś, nie będziesz nigdy kibicem Lechii”.

Sport był ważny, gdy PiS szukał kandydata na prezydenta. Kaczyński wypatrywał kogoś silnego, zdeterminowanego, kto chce wygrywać, ale umie też przegrywać. Kogoś, kto dźwignie wielomiesięczną trasę po Polsce. Na Nowogrodzkiej pamiętano doświadczenia z pierwszej kampanii Dudy: czasem skarżył się, że nie daje rady, prosił, by na szlaku dołączyła Beata Szydło i wsparła go na spotkaniach albo złożył się, że zamiast wolnego wieczoru ma umówione wywiady z dziennikarzami.

Na tych samych bazarach, miejskich rynkach, halach sportowych, w telewizyjnych studiach i na debatach Duda w 2015 roku i Nawrocki osiem lat później przez wiele

miesięcy prosili o głosy. – Bywało, że Duda miał dość. Nawrocki nigdy się nie żalił, napędzała go energia tych spotkań – wspomina polityk PiS.

Duda, były wiceminister sprawiedliwości za „pierwszego PiS”, potem prezydencki wiceminister u Lecha Kaczyńskiego, a wówczas europoseł, był rozdygotany, emocjonalny, przeżywał ataki mediów. Nawrockiego one nie obchodziły, przeżywali je sztabowcy, wytrawni politycy, którzy znali cenę każdego kampanijnego błędu.

Gdy dziennikarze donosili o kompromitujących kandydata wydarzeniach: nieprawidłowościach w IPN, bezpłatnym korzystaniu z muzealnego apartamentu, kawalerce pana Jerzego z DPS, której właścicielem w niejasny sposób stał się Nawrocki, ustawkach, znajomościach z gangsterami, Nawrockiego bardziej zajmowały spotkania z wyborcami i troska czy w wolnej chwili będzie miał gdzie poćwiczyć. – To my zastanawialiśmy się jak to detonować, pytalśmy, czemu o tym, czy tamtym nie wiemy, on był nieprzemakalny – opowiada mój rozmówca.

– Wiecie państwo, Paweł Szefernaker często żartował, że jestem człowiekiem pozbawionym układu nerwowego, że nic nie jest w stanie mnie złamać – wyznał Nawrocki, gdy niedawno odbierał nagrodę „Człowieka Wolności” od zaprzyjaźnionych mediów. Dziękował tym, którzy szli z nim przez muzeum i IPN, wszystkim tym, którzy nigdy go nie opuścili. Swoim trójmiejskim przyjaciółom.

Gdy w kampanii wyborczej sztab Nawrockiego naradzał się przy Nowogrodzkiej nad kolejnym ruchem, w Gdańsku zaufani kandydata też obmyślali, co dalej. Wieść dotarła do centrali partii Kaczyńskiego. I choć dziś politycy PiS mówią, że alternatywny sztab to tylko plotka, tamta cicha rywalizacja o dostęp do ucha Nawrockiego przeniosła się do Pałacu Prezydenckiego. Nowogrodzka zgodziła się, by dla wielu przepustką na Krakowskie Przedmieście był Instytut Pamięci Narodowej, ale drugi klucz do personalnych chciała trzymać sama.

Pierwszy opór wierzuszka PiS odczuła zaraz po ogłoszeniu wyników drugiej tury, przy przymiarkach Przemysław Czarnka na szefa Kancelarii Prezydenta. Eksminister edukacji, który sam miał apetyt – i realne szanse, gdyby „Prezes” postawił na niego – na prezydenturę, był już po słowie z Nawrockim, zgodę dała też partyjna centrala. Ale zbliżały się wybory w partii i Kaczyński chciał mieć rzutkiego i uwielbianego przez wyborców Czarnka wśród wiceprezesów. Pomyśl, by wiceprezes partii zajął ważne stanowisko w administracji prezydenta, nie spodobał się Nawrockiemu. Obawiał się też, że Czarnek będzie kradł mu show – ekspansywny, swojski, szarmancki, łatwo się fraternizujący, doświadczony w politycznej grze, szybko mógł doczekać się przydomka wiceprezydenta. – Dwa samce alfa w jednej klatce, tak by się to skończyło – podsumowuje poseł PiS.

I chociaż PiS obsadził strategiczne funkcje na zapleczu prezydenta, to Nawrocki sam dobrał współpracowników. Z Pawłem Szefernakerem znalazł się najlepiej: to były szef jego kampanii, tysiące godzin rozmów telefonicznych, setki kilometrów w trasie i wiele spotkań. Dziś Szefernaker ma najbliżej do Nawrockiego, wystarczy, że szef gabinetu prezydenta otworzy drzwi i już widzi, kto odwiedza szefa.

• **Prezydent Karol Nawrocki przemawia przed defiladą wojskową z okazji Święta Wojska Polskiego (15.08.2025 Warszawa)**

FOT. ROBERT KOWA-
LEWSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

Zbigniew Bogucki, który zamiast Czarnka (poseł PiS: Zbyszek jest inny, mniej ofensywny) zarządza Kancelarią Prezydenta, oficjalnie biuro ma w gmachu przy Wiejskiej, po sąsiedzku z Państwową Komisją Wyborczą i parlamentem. Bliżej stąd do Sejmu niż Pałacu Prezydenckiego czy Belwederu. Ale w Pałacu też są zarezerwowane gabinety dla niego.

Marcin Przydacz, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej, do Pałacu wrócił po przerwie na Sejm. Sprawy zagraniczne podlegały mu już w administracji Andrzeja Dudy. W rządzie Mateusza Morawieckiego był wiceministrem w MSZ.

Polityczne zaplecze Nawrocki też obsadził ludźmi sprawdzonymi we wcześniejszych rolach. Wiceszefem Kancelarii został były narodowiec, potem wiceminister cyfryzacji u Morawieckiego i poseł PiS Adam Andruszkiewicz, biegły w internetowych kampaniach – odpowiadał za ten odcinek w sztabie Szefernaker.

Anna Plakwicz, od lat współpracująca przy kampaniach PiS, była współzałożycielką spółki Solvere, która realizowała dla Polskiej Fundacji Narodowej akcję uderzającą w niezależnych sędziów podczas ziobrystowskiej „reformy” wymiaru sprawiedliwości, zarządza Biurem Wydarzeń Prezydenta. Nieoficjalnie słychać, że ma wpływ na treść wystąpień Nawrockiego.

Jej zastępcą jest Marcin Marczak, którego do Pałacu zawiadła ścieżka sportowa oraz IPN-owska. Zawodowy bokser o pseudonimie „Polish Express”, rocznik ’82, to w jego klubie przed laty Nawrocki zorganizował galę boksu pamięci Anny Walentynowicz, legendarnej podziemnej opozycjonistki w PRL, skonfliktowanej z Lechem Wałęsą i głównym nurtem „Solidarności”. Na koszulkach zawodników hasła „Solidarność zwycięży” i „Orla wrona nie pokona” – słynne zawołanie odnoszące się do WRON, Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, czyli przypominającego juntę gabinetu wojskowych sprawującego władzę podczas stanu wojennego. – Pan Marcin Marczak został oddelegowany do pełnienia obowiązków we Wrocławiu przez prezesa IPN Pana dr. Karola Nawrockiego – pisał latem 2022 roku do dziennikarzy wrocławskiej „Wyborczej” rzecznik IPN. – To będzie początek nowego rozdziału Polski. Przed nami prezydentura pełna siły i odpowiedzialności – melduje Marczak na platformie X dzień przed zaprzysiężeniem prezydenta Nawrockiego.

Kancelaria to mix środowisk, zaciąg z IPN, PiS i trójmiejskiego podwórka – ale nie mix pokoleniowy. Nawrocki skupił wokół siebie ludzi w podobnym wieku. Patrząc na kształt kancelarii jako wynik mojej drogi: od pracy społecznej w Muzeum II Wojny Światowej, IPN, pół roku kampanii wyborczej. Nie mam żadnych zobowiązań wobec kogokolwiek – mówił w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”. Dlatego na zapleczu prezydenta przeplatają się sport, historia, polityka. Byli współpracownicy z Instytutu są teraz prezydenckimi ministrami, dyrektorami, doradcami na etacie. Wszyscy w najbliższym kręgu Nawrockiego.

Szef gabinetu prezydenta ma zastępcę – Jarosława Dębowskiego, który w IPN Nawrockiego doszedł od asystenta prezesa do dyrektora jego biura. Znają się z Szefernakerem, bo Dębowski w kampanii odpowiadał za kwestie organizacyjne.

Szybki kurs polityki przechodzi inny zaufany – Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta. Historyk, urzędnik z IPN związany od ponad 20 lat, informatyzował Instytut i odpowiadał za jego media. Chwalony przez Nowogrodzką: sprawny, komunikatywny, załapał o co chodzi. Pod koniec października Leśkiewicz wrzuca do sieci zdjęcie. W pałacowych wnętrzach na tle polskich flag – unijne są ukryte – pozuje ekipa z IPN. Są Nawrocki, Dębowski, Leśkiewicz i Agnieszka Jędrzak, która nadzoruje sprawy Polonii, w IPN była od spraw zagranicznych. Na fotografii jest jeszcze Grzegorz Berendt – najnowszy zaciąg prezydenta, jego przedstawiciel do spraw dyplomacji historycznej.

To też powrót Nawrockiego do przeszłości, na czwarty rok studiów. – Dostałem wówczas

wielką szansę od doktora Grzegorza Berendta. Zaproponował mi udział w programie naukowym „Index Polaków zamordowanych i represjonowanych za pomoc Żydom”. Sprawdziłem się i to otworzyło mi drogę do IPN – wyznał Nawrocki w portalu o historii Lechii Gdańsk. Berendt był promotorem jego doktoratu.

Kolejny transfer z IPN to Łukasz Witek. I on ma w szafie zieloną bluzę w barwach klubowych Lechii Gdańsk. Kolega z boiska, trener piłkarski, znajomy z klubu EX Siedlce, którego kariera spłotła się z awansami Nawrockiego w muzeum i Instytucie. W kuluarach słychać, że ten etatowy doradca prezydenta do spraw sportu cieszy się wyjątkowymi przywilejami i dużym zaufaniem głowy państwa. – Wierzę, że w kwestiach sportowych, które są ważne dla mnie osobiście, pan Łukasz Witek będzie wykonywał swoją pracę tak jak do tej pory. Jestem przekonany, że przed panem doradcą piękna przyszłość, praca dla dobra Polski i polskiego sportu – mówił Nawrocki podczas prezentacji swoich doradców.

Osobnym rozdziałem są kadry Biura Bezpieczeństwa Narodowego, w którym rządy objął historyk, były likwidator Wojskowych Służb Informacyjnych Sławomir Cenckiewicz. W sąsiedztwie Pałacu Prezydenckiego, w siedzibie przy Karowej, buduje swoje księstwo. I choć PiS u schyłku rządów postawił go na czele ważnej – bo wymierzonej w liderów opozycji – komisji szukającej rosyjskich wpływów w Polsce, Kaczyński zachowuje dystans do Cenckiewicza. Słychać, że nie bardzo go poważa, choć komisja zwana „lex Tusk” spełniła zadanie – rekomendowała, by Donald Tusk, Radosław Sikorski i Tomasz Siemoniak nie pełnili publicznych funkcji, bo byli zbyt ulegli wobec Rosji, gdy sprawowali władzę.

Nawrocki jest innego zdania niż człowiek, który namaścił go na prezydenta. – Nie tylko wybitny intelektualista, akademik, autor wielu książek, nieprzeciętny umysł. Mam głębokie przekonanie, że jedyna racja, której służy, to siła i stabilność RP – zachwalał Cenckiewicza prezydent, gdy wręczał mu nominację, nie oglądając się, że historyk nie ma dostępu do tajnych informacji. Ma za to zaufanie prezydenta Nawrockiego. Nie szkodzi mu też prokuratorskie zarzuty z czasów, gdy kierował Wojskowym Biurem Historycznym. Pomał wtedy ministrowi obrony narodowej Mariuszowi Błaszczakowi w odtajnianiu materiałów polskiej armii. Prokuratura uważa, że działał „w celu osiągnięcia korzyści osobistych dla swojej formacji politycznej”. Cenckiewicz jest dumny z zarzutów, a w drodze do prokuratury towarzyszył mu protegowany sprzed lat – kandydat PiS na prezydenta Karol Nawrocki.

Ruchy kadrowe w Pałacu zbiegają się z pierwszymi działaniami prezydenta. Latem jedzie w Polskę, dziękując za głosy, zaprasza posłów PiS, ich wkład też docenia. W partii panuje nadzieja, że inaczej niż Duda, Nawrocki szybko o parlamentarzystach nie zapomni i spotkał będzie więcej, może nawet cyklicznych.

W polityczną jesień prezydent wchodzi, ciągnąc melodię z kampanii, że spełni to, co obiecał. W Kaliszu upomina się o powrót do „tradycyjnego kształtu CPK”, który był sztafeta-rem poprzedniej ekipy, w Kolbuszowej podpisuje propozycję ustawy o zerowym PIT dla rodzin, które mają dwoje lub więcej dzieci, w Krąpieci prezentuje projekt ustawy o ochronie polskiej wsi. Padają też pierwsze weta. A Nawrocki chętnie wraca do słów z kampanii, że Donald Tuska uważa za najgorszego premiera po 1989 roku – i zaczyna się rozpychać. Też zgodnie z wcześniejszymi deklaracjami, że jest gotów do współpracy, ale prezydentem od żyrandola nie będzie.

Radami gabinetowymi Nawrocki chce dyscyplinować rząd, bo jego otoczenie uważa, że ministrowie są leniwi. Żąda, by ustawy konsultowano z prezydentem już na etapie prac parlamentu. Na pierwszą radę gabinetową zaprasza ministrów jeszcze w sierpniu. Kamery rejestrują wystąpienia obu polityków alfa, w PiS odno-

towując, że Nawrocki nie wypadł najlepiej. Doświadczony, obyty Tusk nie szczędził złośliwości, wypominał, że Nawrocki dopiero debiutuje w swojej roli i to dobrze, że rząd mógł wyprwadzić prezydenta z błędów w kilku sprawach. Z gabinetu Tuska wychodzi ostrzeżenie, by Nawrocki nie próbował być nadpremierem. Po-lem konfrontacji staje się polityka zagraniczna. Gdy prezydent coraz bardziej zagarnia wpływy, premier wzmacnia szefa MSZ. Radosław Sikorski zostaje wicepremierem.

Ale to nie kończy sporu ambasadorów rozpoczętego jeszcze za Dudy. Pałac wciąż upiera się, że prezydent ma prawo odmówić nominacji dla kandydatów Sikorskiego. Nawrocki nie zgadza się na Bogdana Klucha – w pisowskiej mitologii obarczanego współwiną za katastrofę smoleńską – w Waszyngtonie i Ryszarda Schnepfa w Rzymie. Pałac oświadcza wręcz, że to Krakowskie Przedmieście ma być pierwszym adresem konsultacji kandydatów i jeśli któryś

Kancelaria to mix środowisk, zaciąg z IPN, PiS i trójmiejskiego podwórka – ale nie mix pokoleniowy. Nawrocki skupił wokół siebie ludzi w podobnym wieku

tam się nie spodoba, MSZ ma szukać dalej. Radosław Sikorski długo był jedynym tak wysokiej rangi politykiem, który nie rozmawiał z Nawrockim. W Pałacu byli premier, marszałek Sejmu, szef MON, czyli drugiego obok MSZ resortu, który wymusza relacje z głową państwa. Współpracownicy Nawrockiego czekali, aż Sikorski sam o taką rozmowę poprosi. Kontaktował się niższy szczebel.

Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, gdy w grę wchodzi relacje z USA. Obóz Kaczyńskiego chce monopolu. Kontynuuje opowieść z kampanii, że jedynym gwarantem mocnego sojuszu jest Nawrocki – spadkobierca relacji Trump-Duda. Stąd nieoczekiwana wideokonferencja Nawrockiego z Trumpem tuż przed sierpniową rozmową prezydentów Stanów Zjednoczonych i Rosji na Alasce. Do kontaktu doszło na prośbę strony amerykańskiej. W tym samym czasie konsultacje prowadzili też europejscy liderzy, by przygotować wspólne stanowisko dla amerykańskiego przywódcy – na tym forum Polskę reprezentował Tusk.

Waszyngton jest też pierwszą stolicą, którą odwiedza prezydent. W delegacji nie ma nikogo z MSZ, są prezydenccy ministrowie oraz europosel Adam Bielan. To on, jeden z najważniejszych spin doktorów PiS, od lat jest głównym kontaktem między partią Kaczyńskiego a Republikanami. Po spotkaniu prezydentów Nawrocki wyprowadza ciosy na krajowe podwórko. Oznajmia, że szef MSZ Sikorski z całą pewnością jest znany w Białym Domu, ale niekoniecznie najmilej tu widziany. Dopytywany przez dziennikarzy, czy jednak nie powinien lecieć również ktoś z MSZ, odpowiada: – Panie redaktorze, na czele polskiego rządu stoi polityk, który oskarżył prezydenta Trumpa o zdradę i nigdy z tych słów się nie wycofał. Donald Tusk raczej nie ma wstępu do Białego Domu. Jest tu persona non grata, więc w jaki sposób miałby tutaj przebywać?

Potem Nawrocki rusza w trasę: Watykan, Włochy, Francja, Finlandia, Litwa, Niemcy, Estonia, ONZ. Internet obiegają zdjęcia, na których podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego Sikorski i Nawrocki siedzą obok siebie, uśmiechnięci. Prezydent dodaje do zdjęcia komentarz, że tak powinno być zawsze, gdy Polska jest reprezentowana na zewnątrz. – Spory zostawiamy na nasze wewnętrzne dyskusje.

Ale z Nowogrodzkiej dobiegają pomruki niezadowolenia, nie aprobaty czy dumy. – Co

on tak jeździ? – słychać. Bo przecież dostał inne zadanie: ma stoczyć bój na wewnętrznym podwórku z głównym rywalem – Tuskiem.

W PiS po trzech miesiącach prezydentury panuje lekki niepokój: Pałac pomysłów nie koordynuje z partią, a nie jednocześnie nie narzuca w debacie swojej agendy, powiela kampanijne kalki. – Proszę obdzwoń naszych posłów, jestem pewny, że połowa z nich nie słyszała o najnowszej propozycji prezydenta – mój rozmówca próbuje sobie przypomnieć, gdzie Nawrocki ogłaszał niedawno swój projekt.

– W Sochaczewie – podpowiadam. Dokładnie w bibliotece miejskiej. Na spotkaniu z mieszkańcami prezydent wrócił do obietnicy z kampanii: waloryzacji świadczeń dla seniorów pod hasłem „Godna emerytura”. To podwyżka minimalnej emerytury o 150 złotych, łącznie z 13. i 14. emeryturą, tak by w 2026 roku świadczenie wyniosło ponad 2 tysiące brutto. Rząd już wypowiedział się sceptycznie.

– Nie tak się to robi – prycha rozmówca z Nowogrodzkiej. Widzi minusy, przede wszystkim timing: inicjatywa Nawrockiego średnio się przebija, bo media, fora internetowe i „so- cjałe” właśnie zajmują sprzedaż strategicznej dla CPK działki w finale rządów PiS oraz wniosek prokuratury o uchylenie immunitetu Zbigniewowi Ziobrze, oskarżonemu o wyprowadzenie wielkich kwot z Funduszu Sprawiedliwości. Były minister sprawiedliwości, który w bezpiecznym Budapeszcie pozuje do zdjęć z Orbanem, wróci czy nie – to rozpała polityków, komentatorów i widzów.

Nawrocki kombinuje prawidłowo, bo seniorzy postawili nań przy urnach wyborczych, a PiS od lat jest faworytem w grupie starszych wyborców, lecz media wizytę w sochaczewskiej bibliotece jedynie odnotowują. – Taki model był dobry na kampanię, gdy kamery śledziły każdy ruch naszego kandydata, a wszystko, co mówił i robił, szło na konto partii. Dziś środek ciężkości jest gdzie indziej, tam, gdzie dzieje się bieżąca polityka, w parlamencie – polityk PiS się rozkręca. Ma nawet gotowy scenariusz właściwej współpracy Pałacu i PiS: – Najpierw debata w Sejmie o sytuacji seniorów, potem konferencje posłów, że trzeba zmian, na to wychodzi prezydent z inicjatywą, na to odpowiada klub, rządzący odrzucają, my idziemy w Polskę, do wyborców: „Chcieliśmy dobrze, ale rząd Tuska się nie zgodził. Trzeba zmienić rząd, żeby było lepiej”. Tak to powinno wyglądać.

Łącznikami z Nowogrodzką są Bogucki i Szefernaker, albo wpadną do centrali, albo zadzwonią, by porozmawiać. Sam prezydent w siedzibie PiS nie bywa, choć Duda nie raz za- jeżdżał. Lecz paparazzi nie mają też zdjęć jak Jarosław Kaczyński odwiedza Nawrockiego – bo nie wjeżdża główną bramą, po spotkaniu nie ma komunikatów, jedynie zdawkowe wypowiedzi. A spotkania były już dwa. Pierwsze dawno, lider PiS mówił wtedy dziennikarzom, że atmosfera była jak najlepsza. – Nawet przeszliśmy na „po imieniu” mimo bardzo dużej różnicy wieku – zdradził.

Drugie w ostatnim miesiącu. I też żadnych oficjalnych informacji, jedynie oczywiście ogólniki w odpowiedzi na dociekania dziennikarzy: że standardowa rozmowa, że z liderem opozycji, która ma największy klub w Sejmie, że sprawy bieżące, ale też polityka zagraniczna.

W PiS mówią, że Nawrocki szanuje Kaczyńskiego ze względu na wiek i rolę w historii polityki. Ale unika wtłoczenia w partyjny aparat. A komfort ma większy niż poprzednik – jest prezydentem przy opozycyjnym rządzie, natomiast gdy Duda sięgał po najwyższy urząd, jego koleżanka zostawała premierką, koledzy ministrami. To, co partyjne, zostało wyniesione na poziom państwowy. – Nawrocki takiego obciążenia nie ma, w partii nie był, może robić, co chce, a nasz głos traktować jako doradczy, a nie ostateczny. To powoduje, że może być bardziej samodzielny – analizuje polityk PiS. Na Nowogrodzkiej legendarna jest już opowieść, że Na-

wrocki nawet w kampanii nie utożsamiał się z polityką, mówił: „wy, politycy”, „oni, politycy”, aż ktoś w końcu mu powiedział: teraz ty też jesteś politykiem. Nie tylko historykiem.

Bo dla Nawrockiego historia ma znaczenie. Choć trwa wojna, tak zwana rzeź wołyńska staje się dlań ciężkim argumentem w rozmowach polsko-ukraińskich. O bitwie warszawskiej sprzed 105 lat opowiada Trumpowi na chwilę przed szczytem na Alasce. Z rachunkiem za II wojnę światową jedzie do stolicy Niemiec. Unię Europejską napomina, by nie robiła z Polski gospodarstwa pomocniczego. Bo „Polska jest skazana na wielkość, ambicję i wielkie idee”. W Radiu Zet wyznaje, że w Belwederze rozmawia z duchem marszałka Józefa Piłsudskiego. Tematy różne: wojna polsko-bolszewicka, zagrożenie po ataku Rosji na Ukrainę, ale też sytuacja w parlamencie. Słowa Nawrockiego od razu wykorzystuje rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa: „powinien pobiec do kościoła i powiedzieć, że nawiedzają go demony”. Komentuje też Łukaszenka: – On śpi i widzi tego ducha lub go ten duch ogarnia, takie głupoty. Cóż, to ich, Polaków sprawa, tacy to są ludzie.

Historyczno-ojczyzniana mowa uwierała PiS w kampanii. Partia szukała głosów w elektoracie Konfederacji – nie tylko tym wywodzącym się z Ruchu Narodowego, ale też w wolnościowo-przedsiębiorczym. Sztabowcom, którzy z kandydatem pracowali, nie było łatwo, bo to tematy i obszary, z których wyszedł, w których się poruszał jako szef IPN, dyrektor Muzeum II Wojny. To dlatego Nawrocki „kochając historię”, jego „miłością jest Polska”, „Polskę ma w sercu”, a naród odmiennia przez wszystkie przypadki. – Dla niego to zwyczajne, codzienne, ale w takiej szerszej debacie może wydawać się mniej naturalne – tłumaczyli wtedy.

Dzisiaj jako prezydent Nawrocki wraca do swojego stylu. Stojąc w smokingu i muszce przed laureatami konkursu chopinowskiego, mówi: „Niech żyje wielki wirtuoz, niech żyje Polska”. W Kętrzynie, przed pomnikiem w hołdzie poległym, pomordowanym i zamęczonym Polakom, nie ma wątpliwości: – Tu jest Polska, to widać, to słychać, to czuć. Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy, niech żyje Polska! „Niech żyje Polska” niesie się z otwarcia Poznańskiego Kongresu Gospodarczego, a potem z nad grobu Nieznanego Żołnierza. „Niech żyje wolność, niech żyje wolna, niepodległa Rzeczpospolita Polska – z gali zaprzyjaźnionych mediów. – U niego to nie jest wyuczone, to jest on – komentuje polityk z otoczenia Nawrockiego.

Tę samą nutę słychać w najnowszym wystąpieniu, wezwaniu na marsz niepodległości, „tradycyjne miejsce spotkania tysięcy Polaków 11 listopada”. – Z całego kraju do stolicy przybywają polscy patrioci z białą-czerwoną w dłoni, by świętować niepodległość oraz pokazać swoją jedność i miłość do ojczyzny, ponad podziałami – mówi Nawrocki w krótkim filmie w sieci.

Z tym ostatnim prezydent przestrzelił. Wydarzenie już lata temu zarezerwowali sobie wszelkiej maści radykałowie, od środowisk kibicowskich, przez nacjonalistów po regularnych neonazistów. Na marszach powiewały nie tylko zielone flagi ONR z symbolem falangi, ale też czarne włoskich neofaszystów z Forza Nuova czy transparenty o „Białej Europie”, a najaktywniejsi, zamaskowani zapiewająłowie epatowali symboliką rasistowską i skinheadzką. Dzisiaj te środowiska mają swoją reprezentację w Sejmie, w ławach Konfederacji zasiadają posłowie jej składowej, Ruchu Narodowego Krzysztofa Bosaka. A prezydent nie kryje swoich sympatii. I gdy Jarosław Kaczyński – przerażony, że na pierwszą siłę na prawicy wyrastają znacznie młodszy, dynamiczni, mówiący językiem młodych wyborców i o ich problemach konfederacji – mobilizuje działaczy, by nie oglądali się na sondaże, które dają PiS większość w przyszłym Sejmie tylko z Konfederacją, Nawrocki przyjmuje w Pałacu Sławomira Mentzena. Dzisiaj mniej nacjonalistycznego niż słabszy koalicjant, wszechpolak Bosak, ale z pamiętną „piątką Mentzena” na koncie: wśród rzeczy,

których kilka lat temu nie chciał w Polsce, byli Żydzi obok homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej.

W Polskę idzie sygnał, że prezydent mógłby być patronem wspólnej listy do Senatu. I nie ma w PiS takich, którzy postawiliby wszystkie pieniądze, że za dwa lata prezydent opowie się tylko po jednej stronie. I że będzie to ich strona.

Ale ludzie Kaczyńskiego próbują trzymać fason. Przekonują, że kibicują budowaniu relacji Nawrockiego z „Konfą”, że Mentzena „Karol uważa za bananowe dziecko”, a tak na wszelki wypadek partia uważnie śledzi, gdzie jest os podziału wśród konfederatów, by ją wykorzystać, jak będzie trzeba. Niemniej nasi rozmówcy z Nowogrodzkiej wierzą, że gdy kampania parlamentarna się rozkręci, Nawrocki jednak stanie ramię w ramię z PiS, bo „łączy ich wspólnota celów: odsunięcie Tuska od władzy i powołanie rządu, w którym PiS „będzie silniejszy od koalicjanta”.

W PiS po trzech miesiącach prezydentury panuje lekki niepokój: Pałac pomysłów nie koordynuje z partią, a nie jednocześnie nie narzuca w debacie swojej agendy, powiela kampanijne kalki

Na razie poważnym testem lojalności będzie sprawa pozornie błaha – decyzja Nawrockiego w sprawie zakazu hodowli zwierząt na futra. Nowela, o którą od lat obojętnie zabiegał przejmujący się „braćmi mniejszymi” Kaczyński, przeszła już przez Sejm, wybrzmiała podziały. Przeciw byli politycy Konfederacji i „ludowa”, sympatyzująca z hodowcami część klubu PiS. Jeśli prezydent zawetuje ustawę, może to być pierwsze weto, które Sejm zdola odrzucić – nie tylko głosami koalicji, ale też Kaczyńskiego i części jego posłów.

Najnowsza odsłona sporu rząd-prezydent o awans oficera dla funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Bójka między premierem a prezydentem rozegrała się na platformie X. W krótkim wideo Tusk poinformował, że Nawrocki nie podpisał nominacji. – Żeby być prezydentem, nie wystarczy wygrać wyborów – podsumował. Chwilę później ze swoim wideo w podobnym tonie wystąpił prezydent. Oskarżył rząd o blokowanie mu kontaktów ze służbami i skwitował: – Żeby być premierem, nie wystarczy wrzucanie postów na X. Trzeba jeszcze umieć rządzić i stawiać państwo ponad partyjne interesy.

W PiS nieoficjalnie mówią, że to robota Cenckiewicza. Szef BBN nie kryje, że chciałby zostać koordynatorem służb specjalnych, a ludzie z nim związani obwiniają PiS, że przespało osiem lat i nie zreformowało tych instytucji. Cenckiewicz nie uważa też szefów SKW generala Jarosława Stróżyka i pułkownika Krzysztofa Duszy. Przed rokiem pisał: „Porównajcie poziom intelektualny generała Kowalskiego [Andrzej Kowalski, wiceszef BBN] jego książki i rozprawy, jego wykłady i prowadzone z jego pomocą jakimiś takim jak Stróżyk czy Dusza! Przepaść! Otchłań!”. A po zwycięstwie Nawrockiego: „Rok temu myśleli, że złem pokonają dobro! Potem ich metody powielono w kampanii prezydenckiej. Przegrali!”. W ten sposób mentor Nawrockiego nawiązał do lansowanej w piśmowności mediach teorii, że to chodzące na pasku władzy służby stały za ujawnieniem sprawy kawalerki i kontaktów młodego Nawrockiego w półświatku. I jeszcze: „Tak – Stróżyk z Duszą to zagrożenie!”.

To kolejna z obsesji środowiska braci Kaczyńskich, która mogła rzutować na odmowę nominacji dla młodych oficerów.

W raporcie komisji „lex Tusk”, zwanej też „ruską”, znalazł się zarzut wobec byłego kierownictwa SKW obwinionego o współpracę z FSB. Chodziło o lata 2010-13, kiedy to – za zgodą NATO – służby krajów Sojuszu Północnoatlantyckiego podpisywały umowy regulujące relacje z rosyjskimi odpowiednikami. W przypadku Polski umowę ratyfikowano we wrześniu 2013 roku, ale do rozpoczęcia współpracy nie doszło, bo wkrótce „zielone ludziki” zajęły Krym, najechały Donbas, rozpoczynając w 2014 roku wojnę z Ukrainą i stosunki NATO-Rosja uległy zamrożeniu. Nie przeszkodziło to Cenckiewiczowi nakręcić z Michałem Rachoniem, jedną z twarzy TVP za rządów Jacka Kurskiego, dziś gwiazdą TV Republika, serialu o zbliżeniu Tuska z Rosją. „Reset”, emitowany w publicznych mediach w szczycie kampanii przed wyborami parlamentarnymi 2023 roku miał dowiedzieć, że jeśli lider demokratycznej opozycji obejmie władzę, wprowadzi Polskę na drogę do Rosji.

Ale niechęć Cenckiewicza, ludzi prawi- cy z lat 90. i „zakonu PC” – Porozumienia Centrum, pierwszej partii braci Kaczyńskich – do Stróżyka i Duszy ma długą historię.

Szef SKW podpadł za tak zwanego „pierwszego PiS”. Gdy Kaczyński w 2007 roku leciał jako premier do Iraku, CENTCOM, czyli amerykańskie dowództwo tamtejszej przestrzeni powietrznej, zawróciło rządowego Tupolewa do Turcji. „Okazało się, że urzędnicy kancelarii premiera nie zgłosili lotu nad obszarem strefy wojny. Tupolew w Ankarze miał czekać na zgodę CENTCOM. Gdy strona polska dostała informację, że zgoda na przelot będzie za pięć godzin, Kaczyński uznał, że nie będzie tyle czekał i zarządził odwrót do Warszawy” – opisywał w „Wyborczej” Wojciech Czuchnowski. Stróżyk jako oficer oddelegowany do CENTCOM był wtedy w centrum dowodzenia na Florydzie. Nie on podejmował decyzje, ale w PiS pamiętano, że zaczynał karierę w Wojskowych Służbach Informacyjnych. A na prawicy uważano, że powołana na początku lat 90. agencja wywiadowcza jest rosyjską agenturą, bo – jak głosił Antoni Macierewicz, któremu Kaczyński powierzył zadanie likwidacji WSI – jej wykształceni w ZSRR oficerowie po upadku komunizmu nie przeszli weryfikacji. Prawicowe gazety kolportowały teorie, że za porażkami kolejnych projektów skłóconej prawicy stoją machinacje wojskowej agentury odziedziczonej przez PRL.

Stróżyk spędził w WSI raptem kilka lat, ale to wystarczyło, by natychmiast wyładował w rezerwie kadrowej. Gdy karta się odwróciła i PiS znalazł się w opozycji, Stróżyk został wicedyrektorem wywiadu w sztabie NATO, a potem attaché obrony przy ambasadzie w Waszyngtonie. Ale na Nowogrodzkiej o nim nie zapomniano i osiem lat rządów PiS spędził w rezerwie.

Wiceszef SKW pułkownik Dusza też źle zapisał się w pamięci ekipy likwidującej WSI.

Gdy w 2007 roku Kaczyński przegrał wybory i władzę objęła koalicja PO-PSL, okazało się, że ludzie Macierewicza wynosili z WSI tajne dokumenty, kopiowali całe bazy danych, ujawniali dane oficerów i agentów, między innymi w Iranie, Iraku i Afganistanie, dekonspirując polską siatkę wywiadowczą, zatrudnili w komisji likwidacyjnej urzędnika, który okazał rosyjskim szpiegiem, a przykład raportu na rosyjski powierzył tłumaczcze mającej podejrzaną związków z Rosją. Z kolei Ministerstwo obrony płaciło odszkodowania ludziom pomówionym w raporcie z likwidacji WSI. Duszy nie dało się zarzucić „umocnienia” w peerelowskich służbach, bo był na to zwyczajnie za młody, ale za rządów PO-PSL w latach 2007-15, gdy ze służb do prokuratury trafiła zawiadomienia w sprawie likwidacji WSI, był, podobnie jak dziś, zastępcą szefa SKW, generała Piotra Pytla.

Więc gdy PiS przejął władzę w 2015 roku i Macierewicz został ministrem obrony narodowej, jednym z pierwszych ruchów – raptem miesiąc po powołaniu rządu – było siłowe prze-

jęcie Centrum Szkolenia Kontrwywiadu NATO, którym kierował właśnie Dusza. Ludzie Macierewicza pojawili się nocą, odesłali oficera dyżurnego do rezerwy, by dostać się do zamkniętych pomieszczeń, wyburzyli ścianę, rozpruwali sejfy. Najazd na międzynarodowy ośrodek i wymiana kierownictwa bez zgody państw, które powołały Centrum, zszokował sojuszników. Samego pułkownika zmuszono do odejścia ze służby, zdegradowano do szeregowca i oskarżono o współpracę z Rosjanami. Po ośmiu latach śledztwa prokuratura uznała zarzut za niesłuszny.

– Nie mógłbym tu siedzieć, gdybym nie znalazł polskiej historii, ani gdybym nie poobijał się na ringach bokserkich i salach sportowych. Cieszę się, że takiego człowieka z krwi i kości Polacy zaakceptowali. Za to wam dziękuję – mijają dwa miesiące prezydentury, a Nawrocki jest gościem liceum w Tomaszowie Lubelskim. Okazją jest konferencja „Między informacją a dezinformacją”, ale i publiczność, i gościa zajmuje coś innego.

Młodzi pytają, prezydent odpowiada. Sporo mówi o sporcie, bo „ciężko byłoby mi pełnić tę funkcję sprawować, gdybym nie miał tego, czego nauczył mnie sport”. Mówi, że ludzie, którzy trenują, są przyszywczajeni w naturalny sposób do tego, że raz się upada, a potem wstaje. Tłumaczy: – W poniedziałek można przegrać pojedynek czy mecz, a we wtorek wygrać i rzeczywistość całkowicie się zmienia. Sport uczy też tego, że sami nigdy nie damy rady osiągnąć swoich celów, niezależnie od tego, jak byśmy byli zdolni. Nawet w sportach indywidualnych potrzebujemy trenerów, sztabu, medyków. Sport uczy też świadomości, że dobra współpraca z ludźmi daje nam możliwość osiągnięcia celów, ale też wielu innych cech: pewnej konsekwencji treningów, dbania o siebie.

Nawrocki nie pierwszy raz puszcza oko do młodych. Są jego wyborczym zapleczem, a jemu, wychowanemu „na dzielną”, równie blisko do ich świata, co do konferencji historyków. Na luzie, w bejsbolówce i czarnym golfie w Wolanowie idzie z nimi na kebaba. W Gdańsku w tłumie wypaluje placzącą Hanię, przytula. Na kongresie Przyszłości Narodowej w Łodzi osobiście wręcza młodym powołania do Rady Młodzieży przy prezydencie, mówi o pozytywnym genie suchwałości, którego od nich potrzebuje. W Tomaszowie Lubelskim ma 40 minut, by odpowiedzieć na pytania młodych. Miejsce jest symboliczne – w końcówce stycznia spotkał się w tej sali z seniorami. – Więc mogę powiedzieć, że niemal wszystkie grupy społeczne w Tomaszowie już odwiedziłem – podsumowuje.

Młodzi chcą wiedzieć, co zmieniło się najbardziej od wyborczej nocy. Przyznaje, że już właściwie nigdy nie jest sam, zawsze ktoś mu towarzyszy i bycia samemu ze sobą brakuje mu najbardziej. Wspomina o „sympatycznych panach ochroniarzach”. Ale czuje się zmobilizowany, bo wciąż w Polsce jest wiele do zrobienia. I bez młodych się nie uda. Dlatego będzie wsłuchiwał się w głos młodego pokolenia, bo jak nie będzie słuchał, nie będzie wiedział, czego pragną, jakie mają marzenia. A kim chciał być, gdy był dzieckiem, gdy uczył się w szkole? – Myślę, że każdego dnia miałem inne plany – odpowiada. Długo myślał, że będzie sportowcem, ale porzucił to marzenie, gdy zaczął studia. W piłce nożnej nie był najlepszy, do boksu miał talent, ale na studiach pomyślał, że na karierę jest za stary. Wybrał historię. A co jest najtrudniejsze w byciu prezydentem? Nie wie, co będzie myślał o tym za pięć lat. A dzisiaj? Musiałby się dłużej zastanowić.

Ale to na pewno może powiedzieć od razu: – W Muzeum, w IPN zawsze skupiałem się na dziele, starając się nie popadać w emocje wołozadania, które podejmuję. Tak samo czuję się po dwóch miesiącach, Polacy dodają mi energii, na tym się skupiam, starając się nie widzieć przeszkód na tej drodze. Jestem tak wielkim optymistą, że nie zauważam trudów, tylko robię swoją robotę. ●



• Z wizytą u prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Paryż, 16.09.2025 FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

Mateusz Mazzini

Szczerze mówiąc, jak na razie jest bardzo dobrze. A przynajmniej nie tak źle, jak nam się zdawało, że będzie. Z naszej strony obserwujemy sporą ciągłość, utrzymanie kursu z czasów Andrzeja Dudy, czyli szczerze zainteresowanie i w miarę regularne kontakty. Wiesz, w pewnym sensie dla nas to sytuacja paradoksalna, bo wiemy doskonale, kto jest kim w waszej polityce. Trochę dziwne, że więcej uwagi krajom bałtyckim poświęca prawicowy prezydent z PiS niż proeuropejski rząd kierowany przez kogoś takiego jak Tusk.

Tymi słowami dyplomata wysokiego szczebla z jednego z krajów bałtyckich opowiada mi o relacjach jego władz z prezydentem Karolem Nawrockim.

Przyznaje, że wyniki polskich wyborów prezydenckich przyjęto w jego stronach ze sporym niepokojem, bo zwyciężył kandydat nie tylko eurosceptyczny, ale otwarcie antyukraiński. Już wcześniej dyplomaci z Litwy, Łotwy czy Estonii mówili mi, że w Polsce pod rządami Tuska widzą nie tylko kogoś na kształt adwokata, wręcz obrońcę sprawy bałtyckiej na forum unijnym, ale też wzorzec, punkt odniesienia – silnego, stanowczego gracza ze wschodniej części Wspólnoty.

Jeden z nich powiedział wprost, że na Łotwie „dziękują Bogu, że Polska odłączyła się od Węgier, bo Węgry są toksyczne”. „Toksyczne” w tym kontekście jest eufemizmem dla „prorosyjskie”. W krajach bałtyckich

KAROL DZWONI, DONALD NIE

Ale liczy się nie tylko, kto wykręca numer,
również kto odbiera. I czy w ogóle

wszyscy doskonale wiedzą, czym dla nich może się skończyć realizowanie rosyjskich interesów w Brukseli.

Jeszcze kilka miesięcy temu rząd Tuska miał wręcz idealną pozycję startową w wyścigu do roli lidera wschodniej flanki Unii Europejskiej i NATO. Premier cieszył się tam estymą, uchodził za europejskiego pierwszoligowca, który z jednej strony ważył już we Wspólnocie tyle samo co Emmanuel Macron czy niemieccy kanclerze, z drugiej – nigdy nie

zapomniął, skąd pochodzi, wnosząc na europejskie salony chłodny realizm względem Rosji i Putina.

Jego asem w rękawie był minister spraw zagranicznych, dziś już wicepremier Radosław Sikorski, przez wiele średnich i małych krajów w Europie – nie tylko nad Bałtykiem, lecz także na Bałkanach – wnoszony wręcz do rangi świeckiego świętego, idealizowany jako twardy obrońca liberalnego porządku, jeden z niewielu europejskich polityków, który autentycz-

nie nie boi się konfrontacji z żadnym przeciwnikiem, nawet globalnej wagi ciężkiej.

Sikorskiego nad Bałtykiem bardzo ceniono – i ceni się dalej, tyle tylko, że teraz postrzegany jest bardziej jak idol z plakatu. Wybitny, ale odległy, zajęty swoimi sprawami. A tym, który okazuje realne zainteresowanie regionem najbardziej narażonym na rosyjską inwazję, jest Karol Nawrocki.

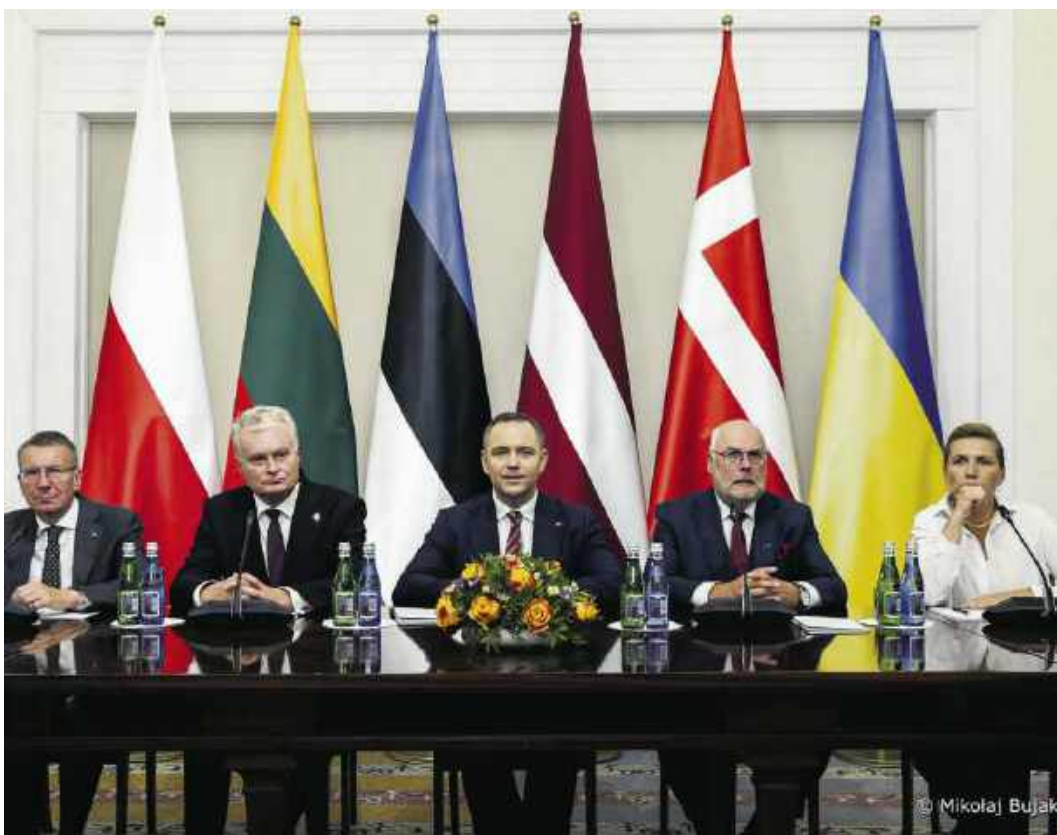
– Po pierwszych miesiącach panuje u nas prawdziwy optymizm – opowiada mój rozmówca. – Już za czasów Dudy relacje były nie-
złe, ale nowy prezydent wydaje się po prostu gotów na większe zaangażowanie w sprawy międzynarodowe. Dzwoni do swoich tutejszych odpowiedników, chętniej się spotyka.

– A Tusk? Nasz rząd? – dopytuję.

– Wasz premier zachowuje się tak, jakby zapomniawszy o Europie Wschodniej. Z naszej perspektywy wygląda na zainteresowanego wyłącznie Niemcami i Francją, dużymi graczami. Czujemy się rozczarowani, bo liczyliśmy na więcej.

– Serio Nawrocki was nie niepokoi? – drą-
żę. – Przecież wszyscy wiedzą, że przetrwanie Ukrainy to wasze być albo nie być. A nasz nowy prezydent być adwokatem Kijowa nie zamierza, w przeciwieństwie do Dudy.

– Pozycja Nawrockiego w sprawie Ukrainy to jedyny obszar waszej polityki zagranicznej, który rzeczywiście nas martwi. Wiadomo, że w kampanii podpisał deklarację, że na członkostwo Ukraińców w NATO się nie zgodzi, ale z drugiej strony – umiemy odróżnić kampanię od politycznej rzeczywistości dnia codziennego. Taka deklaracja odgrywa rolę w polityce wewnętrznej, a z perspektywy międzynarodowej



• **Z wizytą w Warszawie na zaproszenie Karola Nawrockiego prezydenci: Estonii – Alar Karis, Litwy – Gitanas Nauseida, Łotwy – Edgars Rinkevičs oraz pani premier Danii Mette Frederiksen. 28.09.2025**

• **Z wizytą na Słowacji m.in. u Przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Richarda Rašima. Bratysława, 5.11.2025**

• **Z wizytą na Litwie u prezydenta Gitanasa Nausedy. Wilno, 8.09.2025**

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP (3)

Dyplomata ze wschodniej flanki NATO: Trochę dziwne, że więcej uwagi krajom bałtyckim poświęca prezydent z PiS niż proeuropejski rząd kierowany przez kogoś takiego jak Tusk



wej nic nie znaczy, bo przecież wejście Kijowa do Sojuszu Północnoatlantyckiego w tej chwili jest czystą fantazją – tłumaczy mój rozmówca. – Tak długo, jak w Białym Domu jest Trump, to się przecież nie wydarzy. Więc w ogóle nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Forum unijne dyplomatów z krajów bałtyckich też niespecjalnie martwi, bo tam Polskę reprezentuje Tusk, który blokować Ukrainy nie będzie. A poza tym z akcesją do Unii jest podobnie jak z NATO – może to bardziej realne, ale na pewno to nie temat na dziś, proces trwać będzie latami. Najważniejsze, by w najbliższej przyszłości rozpocząć rozmowy o rozszerzeniu, otworzyć kolejne kłasy negocjacyjne, dać rozpęd temu pomysłowi. A jeśli kimkolwiek należy się na tym etapie przejmować, to wyłącznie Węgrami Viktora Orbána.

– Jednego tylko nikt u nas nie jest w stanie zrozumieć, w sumie do teraz – dodaje mój bałtycki rozmówca, kiedy już kończymy rozmowę. – Kiedy w sierpniu europejscy liderzy jechali do Waszyngtonu po szczycie na Alasce, żeby zbudować tarczę dyplomatyczną dla Zelenskigo, z Polski nie pojechał nikt. Z naszego punktu widzenia to jakiś gigantyczny samobój był. Aż powiedziałbym, że sami siebie sa-

botujecie. A my poczuliśmy się trochę zdradzeni, bo liczyliśmy, że Polska będzie reprezentować punkt widzenia, który my też dzielimy – czyli że z Rosją trzeba na twardo, bo Putin na Ukrainie się nie zatrzyma. Tymczasem polska delegacja została w domu, OK, mamy drugiego protektora, prezydent Finlandii Alexander Stubb też nas wspiera i on tam był. Ale Polska? Rozczarowanie. Wszyscy tak pomyśleli – zrobiliśmy wideokonferencję dla trzech krajów bałtyckich, odczucia było wszędzie takie same.

Karol Nawrocki został zaprzysiężony na prezydenta Rzeczypospolitej 6 sierpnia. Jak do tej pory odbył dziesięć wizyt zagranicznych – był dwukrotnie w USA i Litwie, we Włoszech, Finlandii, Niemczech, Francji, Estonii i Słowacji (jedenaście, jeśli Rzym i Watykan liczyć jako osobne stolicy) – choć niektóre można połączyć w jedną, bo prezydent leciał z jednego kraju do drugiego często tego samego dnia.

Od samego początku on i jego obóz polityczny zapowiadali, że głowa państwa zamierza odgrywać znacznie większą rolę niż poprzednicy w kształtowaniu polskiej polityki zagranicznej. Przed oczami niektórych polityków Koalicji Obywatelskiej pojawiało się wówczas widmo słynnej wojny o krzesła, kiedy Lech Kaczyński i Donald Tusk publicznie i w sumie małostkowo spierali się o prawo reprezentowania Warszawy na szczytach unijnych.

Szybko rozwiały się nadzieje na rozwiązanie sporu o kluczowe nominacje ambasadorskie. Kiedy Nawrocki był jeszcze prezydentem elektem, z bezpośredniego otoczenia premiera Sikorskiego płynęły zakulisowe deklaracje, że jest szansa na porozumienie. Duży Pałac miał wysyłać koncyliacyjne sygnały, a aleja Szucha – czyli MSZ – tworzyć alternatywne listy kandydatów na ambasadorów, pokazując gotowość do kompromisu.

Bańka pękła z chwilą zaprzysiężenia, bo szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz – dawny mentor Nawrockiego jako młodego historyka zaczynającego karierę w IPN – i kierujący prezydenckim Biurem Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz od razu zadeklarowali chęć konfrontacji – zwłaszcza z Sikorskim. Za czym poszły czyny. Były wycieki notatek przed wyjazdami zagranicznymi, wzajemne oskarżenia o niekompetencję i działanie na szkodę państwa. W sierpniu i wrześniu zanosilo się na wojnę totalną, co zresztą odnotowali kluczowi polscy sojusznicy.

Ukraińscy dyplomaci zaczęli nawet przekreślać Polskę jako partnera, zakładając, że konflikt wewnętrzny zdominuje naszą politykę i sparaliżuje działania na arenie międzynarodowej. Kraje bałtyckie obawiały się wycofania wsparcia dla Ukrainy, zwłaszcza pomocy finansowej, co znacząco odbiłoby się na zdolnościach obronnych Kijowa. Nie mówiąc już o liberalnych elitach Europy Zachodniej, które Nawrockim były autentycznie przerażone. Jedną z najbardziej wpływowych francuskich intelektualistek powiedziała mi nawet zaraz po wyborach, że porażka Rafała Trzaskowskiego „to nie problem Polski, ale nas wszystkich”.

Stan podwyższonego napięcia i regularna wymiana ciosów trwały dwa miesiące. A potem nastąpiła flauta, front się ustabilizował, nad okopami nastała cisza. Niczym u Remarque’a – od paru tygodni na froncie bez zmian. Co się zmieniło?

Jak zawsze w takich przypadkach kluczowe są warunki panujące w polityce krajowej. To, co robią służby dyplomatyczne danego kraju, jest zazwyczaj wyłącznie funkcją sytuacji wewnętrznej i Polska nie jest wyjątkiem.

PiS, z którym mimo wszystko Nawrocki jest identyfikowany, znalazł się w defensywie w wyniku serii afer, z kolei Tusk znalazł nową energię dzięki niezłym notowaniom sondażowym i przyspieszeniu w rozliczeniach poprzedniej władzy. A w dodatku nieoczekiwanie wypaliło się paliwo, które zasilalo partię Jarosława Kaczyńskiego w ostatnich latach: te-

mat migracji stracił narracyjną moc sprawczą. Nie tylko w Polsce, coś się ewidentnie zmieniło w całej Europie – w przeprowadzonych niedawno przez Eurobarometr badaniach lęków europejskich społeczeństw strach przed obcymi spadł z drugiego na dopiero piąte miejsce. Straszanie migrantami nie daje sondażowej zwyżki, nie mobilizuje też tłumów do wyjścia na ulicę. Tradycyjne pisowskie i altrightowe potencjometry polaryzacji mają co najwyżej ograniczoną przydatność.

Ale błędem byłoby stwierdzenie, że liczy się wyłącznie to, co w kraju. Wszak Polska z racji wojny w Ukrainie, rozwoju naszej gospodarki i ogólnych geopolitycznych przetasowań na świecie jest mocniej niż kiedykolwiek osadzona w kluczowych procesach międzynarodowych. Innymi słowy, trendy globalne, które zwykle zaprzętały publicystów oraz odbiorców ambitnej prasy czy wyspecjalizowanych kanałów na YouTube, teraz mają bezpośrednie przełożenie na polską politykę. I przez najbliższe lata to się nie zmieni.

Jeszcze kilka miesięcy temu wszystko wskazywało na to, że Nawrocki jest po prostu kolejnym przedstawicielem nowej generacji radykalnej, reakcyjnej prawicy, który lepiej rozumie nastroje społeczne i łatwo dochodzi do władzy. Po stronie progresywnej dominowała mieszanka depresji i paraliżującej wściekłości, trwały wojny domowe, brakowało pomysłów na odwrócenie trendu. Walka zdawała się przegrana – jak podsumował to były spin doktor czasów Tony’ego Blaira Alistair Campbell, liberalowie walczyli nie ze zwykłymi rywalami, ale z całym zeitgeistem.

Tymczasem w październiku i na początku listopada coś zaczęło się zmieniać. W Holandii skrajna prawica została odsunięta od władzy, premierem zostanie najprawdopodobniej Rob Jetten, charyzmatyczny, fanatycznie proeuropejski liberal. We Włoszech pierwszy raz od lat lewicy udało się wyprowadzić na ulicę setki tysięcy przeciwników rządu Giorgii Meloni. A w USA administracja Trumpa zaczęła się potykać o własne nogi.

Prezydent jest rekordowo niepopularny, gospodarka i giełda rosną wyłącznie na papierze, sztucznie napompowane inwestycjami w infrastrukturę dla sztucznej inteligencji. Obecny shutdown, czyli zawieszenie pracy instytucji federalnych i rządu, jest już najdłuższym w historii kraju. W dodatku 4 listopada Republikanie zaliczyli klęskę we wszystkich ważnych wyborach lokalnych – a pokonali ich kandydaci bardzo zróżnicowani, od socjalisty Zohrana Mamdaniego, przez centrystkę Abigail Spanberger, po konfrontacyjnego Gawina Newsoma, który będzie mógł przerysować mapy okręgów wyborczych w Kalifornii, żeby pomóc swojej partii.

Ża wcześniej wieszczyc globalną liberalną kontrofensywę, niemniej nagle nic już nie wydaje się nieuniknione. Zwłaszcza w Stanach. A dla Nawrockiego to kluczowe, bo właśnie na bliskim, rozumianym w kategoriach bilateralnych sojuszu z Trumpem jego obóz opierał całą swoją doktrynę polityki zagranicznej.

Nie ma wątpliwości, że pozycja wyjściowa tej ekipy w Waszyngtonie była bardzo dobra. Nawrocki spotkał się z Trumpem jeszcze w czasie kampanii, potem do Polski przyjechała szefowa departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego Kristi Noem, bardzo przez prezydenta lubiana. Potem, już po zaprzysiężeniu, była oficjalna wizyta w Białym Domu. A po niej same zachwyty, bo Trump rzucił do reporterów, że nie wyklucza nawet zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce. Niektórzy krajowi publicyści pisali wręcz „o wymarzo- nym debiucie Nawrockiego na scenie międzynarodowej”. Takie komentarze są jednak pozbawione sensu, gdy mowa o obecnej administracji w Stanach Zjednoczonych.

Metodologia badań nad obozem Make America Great Again jest prosta. Po pierwsze – Trump i jego ludzie to dwa odmienne byty. Prezydent nie uprawia polityki, nie uzna-

Orbán od lat demonstuje, że widzi siebie w roli niekwestionowanego przywódcy europejskich narodowych populistów, inni mają być w cieniu. Największą szansą dla Nawrockiego byłoby przejęcie przez skrajną prawicę władzy w dużym kraju europejskim, najlepiej we Francji

je strategii, nie trzyma się żadnych dokumentów, nawet tych, które osobiście podpisał, i wtycznych eksperckich, nawet tych, które pochwalil – o wszystkim decydują impuls i własny instynkt. Wokół niego istnieje cała konstelacja frakcji, jak koterie na średniowiecznym dworze, nawzajem się zwalczających. Po drugie – wszyscy w administracji Trumpa się boją, nikt nie zdecyduje się zaprzeczyć jego słowom. Po trzecie – większość frakcyjnych liderów wyciągnęła lekcję z przeszłości i wie, że aby przetrwać i osiągnąć swoje cele, trzeba prezydenta długo urabiać na jeden konkretny temat, a innym wpływowym graczom po prostu nie wchodzić w drogę.

Kiedy więc Nawrocki poleciał we wrześniu do USA i usłyszał o opcji dodatkowych żołnierzy, na nikim w waszyngtońskich gabinetach i korytarzach nie zrobiło to żadnego wrażenia, bo każdy już tam wie, że prezydent raz coś powie, a następnego dnia całkowicie zmieni zdanie. To samo zresztą usłyszała zaraz po wizycie Nawrockiego delegacja polskiego MSZ, która też była wtedy za oceanem. Nasi dyplomaci spotkali się wtedy z Elbridgem Colbym, szefem departamentu planowania polityki w Pentagonie i jednym z największych zwolenników wycofania się z zaangażowania Ameryki w sprawy europejskie. Kiedy Polacy całkiem poważnie podziękowali mu za słowa Trumpa wypowiedziane przy Nawrockim, Colby odpowiedział, żeby się raczej do nich nie przywiązywali i „nie traktowali wszystkich słów prezydenta dosłownie”. Niedługo potem Amerykanie ogłosili decyzję o zredukowaniu liczby żołnierzy stacjonujących w Rumunii.

A w międzyczasie na niekorzyść Nawrockiego i całego obozu PiS zmienił się też układ sił w samym Białym Domu.

Dotychczas kluczem do sukcesów propagandowych, jak zdjęcie z Trumpem w czasie kampanii czy wizyta członka rządu tego kalibru co Kristi Noem, był otwarty kanał komunikacyjny pomiędzy politykami PiS, zwłaszcza Marcinem Mastalerkiem, i Susie Wiles, szefową kampanii Trumpa, która po 20 stycznia została kierowniczką personelu w Białym Domu. A Wiles od kilku tygodni jest daleko na marginesie wewnętrznych rozgrywek.

Były amerykański dyplomata związany z kilkoma administracjami Partii Demokratycznej tłumaczy mi, że Wiles została skarcona, bo to ona była pomysłodawczynią umieszczenia Pete’a Hegsetha na czele Departamentu Obrony (propagandowo nazywanego obecnie Departamentem Wojny) i promotorką byłego prezentera Fox News. A Hegseth od początku kadencji zalicza wpadkę za wpadką, nie tylko wizerunkowo.

Opinia publiczna wie o słynnej Signalgacie, kiedy redaktor naczelny „The Atlantic” Jeff Goldberg został omyłkowo dodany do wewnętrznego czatu na Sygnalu, gdzie planowano ataki na pozycje Hutich w Jemenie. Ale wpa-

dek było więcej, bo Hegseth zabrał ze sobą do kierownictwa Pentagonu całą masę ludzi niekompetentnych, bez doświadczenia, w dodatku mających problemy natury, nazwijmy to, wychowawczej – pracownicy Pentagonu, którzy odeszli w ostatnich miesiącach, opowiadają o nieustannych awanturach, krzykach na korytarzach, mobbingu i wzajemnych oskarżeniach o nielojalność, co prowadziło do atmosfery paranoi. Jeden z najważniejszych departamentów amerykańskiego rządu dryfował, nie zdradzał żadnej inicjatywy, a codzienną pracę paraliżowały ciągle wybuchy szefa, który koncentrował się na tropieniu przecieków do prasy, a nie na zarządzaniu największą armią świata. Z kilku źródeł w Waszyngtonie usłyszałem w ostatnich tygodniach, że Pentagon może na tej chwili określić jednym słowem: syf.

Jeremy Shapiro, dyrektor do spraw badań w Europejskiej Radzie do spraw Stosunków Międzynarodowych (ECFR), a wcześniej dyplomata pracujący dla Hillary Clinton i Johna Kerry’ego w Departamencie Stanu, zdradza mi, że dziś Departamentem Obrony vel Wojny ręcznie zarządza Białą Dom. – Prezydent wysłał tam swoich ludzi, którzy po prostu uruchomili departament od zera. Ponieważ jednak ta administracja nie dba w ogóle o wizerunek publiczny, nie ma potrzeby usuwania samego Hegsetha. On tam zostanie, ale nie będzie realizował zadań strategicznych. To zresztą widać po tematach, którymi się zajmuje. Wytyka żołnierzom zarost, krytykuje liberalizm obyczajowy w wojsku, zwalcza programy dla kobiet w armii – a przecież mowa o sekretarzu obrony USA.

Moi waszyngtońscy rozmówcy są zgodni – Hegseth okazał się sporą porażką tej administracji, ale nie jest w niczym interesie wywalenie go, bo dość łatwo można wykorzystać go jako pacynkę. Dlatego potężniejsi od niego dają mu się wykrzyknąć na temat „facetów w sukienkach”, wykorzystując zasoby Pentagonu do własnych celów. Ofiarą tego przetasowania jest jednak Susie Wiles, matka chrzestna tej nominacji, która Hegsetha osobiście bardzo lubi.

Co to oznacza dla Nawrockiego i PiS? Bardzo dużo, bo szefowa personelu Białego Domu była głównym kanałem doświadczenia do Trumpa.

Ta administracja w całości opiera się na osobistych relacjach, koneksjach i układach. Procedury, relacje, strategie, jawne kanały komunikacji – to przeszłość. Sukces można osiągnąć jedynie dzięki temu, że zna się właściwe osoby. A co gorsza – dla różnych prawicowych pielgrzymów ze świata wieszających się pańskiej kłamki – operację propagandowe wokół ruchu MAGA mające zaskarbić sympatię Trumpa na zasadzie „w Polsce/Czechach/Węgrzech mnie pochwalili” niewiele tutaj znaczą, bo prezydent w ogóle ich nie zauważa. Po chlebstwo musi usłyszeć osobiście, od gościa

albo któregoś z dworzan, który je przekaże. A kluczowa z punktu widzenia PiS dworzanka popadła w nielaskę.

Polska prawica podtrzymuje mit o Nawrockim jako najważniejszym sojuszniku Trumpa w Europie, bo dzięki temu wciąż zyskuje punkty w krajowym elektoracie. Dlatego na rocznicę wyborów prezydenckich z 2024 roku TV Republika zorganizowała specjalny program nadawany z Mar-a-Lago, posiadłości Trumpa na Florydzie, w którym główną rolę odgrywał Michał Rachoń. Jego brat Nikodem, wcześniej pracujący w kancelarii Andrzeja Dudy, był obok Mastalerka głównym łącznikiem pomiędzy środowiskiem PiS a ruchem MAGA. Trzeba przyznać, że Rachoń z logo CPAC – głównej konferencji amerykańskiej prawicy, na której altrightowcy spotykają się z konserwatystami, republikanami i Tea Party, republikańskim ludowym odprysku będącym prototypem MAGA – przeplatany przebitkami tropikalnych krajobrazów z Florydy wygląda imponująco. Tyle że to nie przekłada się na realny wpływ w Waszyngtonie.

Jeśli coś pociesza realistów z kancelarii Nawrockiego, to fakt, że na mapie jest jeden punkt, z którego ktoś spogląda w kierunku polskiego Pałacu Prezydenckiego z nadzieją. Też symboliczny – to Budapeszt.

Zwykliśmy uważać, że Węgry Orbana są punktem odniesienia, azyłem duchowym i realnym dla środowisk Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. Tymczasem, choć minister sprawiedliwości, jeden z najpotężniejszych przez lata ludzi w Polsce, szuka schronienia nad Balatonem, niepostrzeżenie rolę się odwróciły. Pierwszy raz od 15 lat Viktorowi Orbánowi zagląda strach w oczy, bo już za kilka miesięcy naprawdę może przegrać wybory. Co prawda doświadczenia innych współczesnych autokracji uczą, że taka porażka niekoniecznie musi oznaczać utratę władzy, ale w poczynaniu reżimu wkradła się niepewność. Tisza, opozycyjna partia Petera Magyara, ma nad Fideszem od 4 do 10 punktów procentowych przewagi w sondażach. Oczywiście Orbán wolałby mimo wszystko wygrać głosowanie, więc na razie walczy z Magyarem na miękko – kupił ostatni duży dziennik, którego nie kontrolował ani rząd, ani zblatowani z nim oligarchowie. Sieje niewyobrażalną wręcz propagandę na forum unijnym, i to w samym jej sercu. W Brukseli swoją delegaturę ma Kolegium Macieja Korwina, paranaukowy instytut współpracujący blisko z Ordo Iuris, a ostatnio z Heritage Foundation, programowym zapleczem MAGA. Niedawno węgierska ambasada w Brukseli zorganizowała konferencję z okazji rocznicy napaści Armii Czerwonej na Węgry w 1956 roku. Zaprezentowana interpretacja historii była banalną wręcz opowieścią – Unię przedstawił jako kontynuatorkę polityki ZSRR, bo tak jak Sowietci chcieli zniszczyć węgierską suwerenność 69 lat temu, tak Wspólnota robi to dzisiaj. Na tle mówniczy, z której przemawiali prelegenci, ustawiono flagi: węgierską i polską.

Ale na arenie międzynarodowej Orbán też ma problemy. Trump, dość niespodziewanie, nałożył sankcje na rosyjskie koncerty państwowe, co oznacza kłopoty dla kupujących od Kremla ropę Węgrów. Premier co prawda wykorzystał wizytę w Waszyngtonie, by wyprosić wyjątek dla siebie, niemniej boleśnie odczuł, że nawet on, ideologiczny krewniak lubiany przez trumpistów, kojarzony przez samego Trumpa i cieszący się względami Bibiego Netnajahu – co stanowi niezły kanał dostępu do waszyngtońskich gabinetów – nie ma żadnego wpływu na to, co robi Białą Dom. A poza tym Trump na razie niczego nie postanowił, tylko „rozważa”, jeśli zaś postanowi, to za kilka dni lub tygodni węgierski wyjątek może mu się odwdziżyć i cofnie promesę.

W Europie nie jest lepiej. Unia coraz poważniej rozważa systemowe obchodzenie weta, bardzo chce tego choćby szef Rady Europejskiej Antonio Costa. Jeśli do tego dojdzie, Orbán straci jedyne narzędzie szantażu bruk-

selskich elit. Jak tleniu potrzebuje więc sojuszników, i to takich gotowych iść w zaparte. Wbrew powszechnej opinii takim sojusznikiem nie jest premier Słowacji Robert Fico, interesowny pragmatyk, którego dość łatwo namówić do zmiany zdania. Nie do końca wiadomo, w którym kierunku pójdzie w Czechach Andrej Babiš – ale jego motywacje są podobne do tych słowackiego kolegi. Obecnie bardziej koncentruje się na walce z Zielonym Ładem niż na wstrzymaniu pomocy dla Kijowa, bo jest nie prorosyjski, tylko eurosceptyczny, a i to wybiórczo.

Dlatego Węgrzy tak ciepło wypowiadają się o Nawrockim – prorządowe media przez całe lato pisały o nim jako o wielkim polskim patriocie, a sporo analiz i wypowiedzi wpisywało go w szerszy, unijny kontekst. Już dzień po polskiej drugiej turze wyborów Péter Szijjártó, minister spraw zagranicznych i jednocześnie główny internetowy propagandzista Orbána, stwierdził, że dzięki wygranej Nawrockiego „polsko-węgierskie stosunki mogą wreszcie wrócić na właściwy kurs”, wyrażając nadzieję, że zaraz tak samo będzie w całym Wyszehradzie, który „zamieni się w najpotężniejszy wewnętrzny sojusz w Unii Europejskiej”. A czym ten sojusz miałby się zajmować? Oczywiście osłabianiem koalicji ukraińskiej, ale też zwalczaniem imigracji.

I tak wracamy do punktu wyjścia, bo migracja przestaje rozgrzewać do czerwoności nawet pravicowe elektoraty. Nie dlatego, że została jakoś radykalnie ograniczona – dane Eurostatu i Frontexu pokazują wprawdzie spore spadki względem dwóch ostatnich lat, ale oznacza to tylko powrót do poziomu z okresu okołopandemicznego, gdy o azyl na terenie Unii aplikowało około 400 tysięcy osób rocznie. Po prostu wyborcy mają większe zmartwienia, bar-

dziej realne, mniej fantomowe. W całej Europie problemem są wysokie koszty życia, kryzsy mieszkaniowe, rosnące bezrobocie wśród młodych i lęki związane z rewolucją technologiczną napędzaną przez sztuczną inteligencję. A w krajach nieliberalnych, jak Węgry, gdzie oligarchia przyczyniła się do znaczącego osłabienia gospodarki, problemy te są odczuwalne jeszcze mocniej niż w państwach stabilnych, notujących choćby minimalny wzrost.

W tak skomplikowanym pejzażu geopolitycznym Nawrocki nie ma specjalnych szans na odegranie jakiegś znaczącej roli. Po części nie z własnej winy – w Polsce nie obowiązuje system prezydencki, punktem odniesienia dla zagranicznych partnerów jest Tusk, ewentualnie Sikorski. Dlatego prezydent jest skazany na szukanie sobie niszy, ewentualnie na aktywność tam, gdzie rząd grzeszy zaniechaniem.

I w tym jego ludzie upatrują furtek, w które mogliby wstawić stopę. Zasoby, zwłaszcza kadrowe, polskiej dyplomacji są mocno ograniczone – między innymi dlatego nie stać nas na prowadzenie tak zwanej dyplomacji wielowektorowej. A im bliżej kampanii przed wyborami 2027 roku, tym zaniechań będzie więcej, bo Sikorski i Tusk skupią się siłą rzeczy na tym, co w kraju. Więc przed Nawrockim powinny się otworzyć nowe możliwości na drugim międzynarodowym planie, nie tak spektakularnym, ale nie mniej istotnym. Jeszcze nie musi myśleć o walce o reelekcję, a w kampanię parlamentarną może się nie angażować, skoro upatrzył sobie rolę arbitra sporów na prawicy, ojca chrzestnego nowego konserwatywnego sojuszu – opowiedzenie się jednoznacznie po stronie albo PiS, albo Konfederacji mogłoby ten plan zniweczyć.

Problem w tym, że na tym drugim planie też może zabraknąć mu partnerów.

Grupa Wyszehradzka skreca w całości na prawo, ale nawet jeśli Orbán utrzyma się przy

władzy, relacje Babiša, Fico i Nawrockiego z Budapesztem nie będą bezproblemowe. Doskonale widać było to w okresie rządów Zjednoczonej Prawicy, kiedy PiS, z samym Jarosławem Kaczyńskim na czele, był przekonany, że Orbána zwasalizuje, bo prymat Polski nad Węgrami w europrawicowym obozie wydawał się po prostu funkcją geografii, wielkości i znaczenia państwa. Tak się jednak nie stało, Orbán od lat demonstruje, że widzi siebie w roli niekwestionowanego przywódcy europejskich narodowych populistów, inni mają być w cieniu. Z krajami bałtyckimi może uda się utrzymać dobrą współpracę, tyle że trudno budować pozycję w polskim społeczeństwie na częstych wizytach w Tallinie i Rydze.

Największą szansą dla Nawrockiego byłoby przejście przez skrajną prawicę władzy w dużym kraju europejskim, najlepiej w mającej system prezydencki Francji. To całkiem możliwe, bo obóz Macrona już praktycznie nie istnieje, a Jordan Bardella, namaszczony przez Marine Le Pen młody lider Zjednoczenia Narodowego, ma spore szanse na triumf – a tym bardziej ona sama, jeśli zdąży z apelacją od wyroku. Tyle że Polska na takim aliansie niewiele by zyskała. Oboje już publiczne mówią, że pod ich rządami Francja ograniczy gwarancje bezpieczeństwa dla sojuszników, a o współdzieleniu parasola nuklearnego – o co Polska zabiegała w Paryżu – nie chcą nawet słyszeć.

Świętym Graalem byłby spektakularny sukces w relacjach z USA. I znów – teoretycznie Nawrockiemu, ideologicznie bliiskiemu MAGA, powinno być łatwiej niż Tuskowi i Sikorskiemu, nie mówiąc o Rafale Trzaskowskim. Tyle że na taki sukces szanse są bardzo małe, bo Amerykanie nie mają interesu w tym, żeby Polsce cokolwiek oferować. Już teraz widać, że polityka obecnej administracji nie będzie izolacjonistyczna, lecz, jak mówi się w modnym

żargonie analityków, projekcja siły przesuwająca się na Amerykę Łacińską.

W czasie pracy nad tym tekstem usłyszałem od kilkorga rozmówców z Waszyngtonu, w tym byłych pracowników placówek dyplomatycznych w Caracas, że interwencja militarna w Wenezueli jest kwestią dwóch, góra trzech tygodni. Trump nie szczędzi też grosza, ratując ekscentrycznego, radykalnie libertariańskiego i reakcyjnego jednocześnie prezydenta Argentyny Javiera Mileia 40 miliardami dolarów na chwilę przed wyborami połówkowymi do tamtejszego parlamentu. Do tego dojdzie niemal pewna intensyfikacja represji w polityce wewnętrznej przed midterms, przyszłorocznym głosowaniem do Kongresu. Mundurowi będą kierowani mrozącą na ulice amerykańskich miast, propagandowo na granicę z Meksykiem, pewnie też do pilnowania lokali wyborczych, a nie na wschodnią flankę NATO.

O sukces Nawrockiemu trudno będzie nawet na papierze. Trzy główne dokumenty amerykańskiej dyplomacji, czyli strategia bezpieczeństwa, strategia polityki zagranicznej i przegląd obecności wojsk, wciąż nie zostały opublikowane i niewykluczone, że nigdy nie wyjdą z szuflady. A jeden z rozmówców radził mi, by – jeśli jednak zostaną opublikowane – po prostu je zignorować, bo Trump i tak nie będzie trzymał się jakiegokolwiek planu. Więc Warszawa może liczyć co najwyżej na amerykańskie inwestycje w sektor energetyczny, zwłaszcza w atom, ale to procesy długotrwałe, w których na efekty trzeba czekać, więc ich użyteczność w polityce partyjnej jest ograniczona.

W takim otoczeniu międzynarodowym trudno poruszać się komuś, kto nie ma doświadczenia, zaplecza, a w dodatku reprezentuje kraj mało znaczący dla globalnych procesów. Co nie znaczy, że prezydent nie będzie o sprawach zagranicznych dużo mówił. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34404947

W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ” DODATEK SPECJALNY

EMERYTURY I WALORYZACJA

- Które emerytury i renty wzrosną od stycznia? O ile?
- Czy będzie druga waloryzacja we wrześniu przyszłego roku?
- Biedaemerytury kobiet. Czy da się polepszyć sytuację?
- Renta wdowia. Czy przepisy mogą oznaczać także obniżkę świadczeń?
- Gdzie sprawdzić, ile mam państwowych i prywatnych składek na emeryturę?

wyborcza

EMERYTURY I WALORYZACJA

Środa, 19 listopada 2025 | Redakcja prowadząca Beata Żurek

Wyborcza.pl

Emerytura

Dla większości wystarczy jej na ledwie 10 dni w miesiącu

Polak uważa, że na emeryturze będzie potrzebować 5-8 tys. zł miesięcznie, ale od razu dodaje, że spodziewa się dostać mniej niż 3 tys. zł. To i tak optymistycznie założenie, przynajmniej w przypadku kobiet.

Leszek Kosteżewski

Na początku kilka liczb. Obecnie przeciętna emerytura wypłacana przez ZUS wynosi 4 043 zł brutto. W danych ZUS widać jednak wyraźne różnice w zależności od płci. Świadczenie mężczyznom to średnio ok. 5 tys. zł brutto, a kobiety – nieco ponad 3,4 tys. zł brutto. Prawie 40 proc. pań dostaje emeryturę niższą niż 2,8 tys. zł, a tylko co szósta – więcej niż 5 tys. zł. U mężczyzn sytuacja wygląda zupełnie inaczej: ponad 40 proc. ma powyżej 5 tys. zł, a prawie co piąty – więcej niż 6,5 zł. Skąd tak duże różnice na niekorzyść kobiet? Powodów jest kilka.

- niższy o 5 lat w porównaniu z mężczyznami wiek emerytalny (60 lat u Polki i 65 u Polaka). A mniej lat pracy, to mniej odliczonych składek
- niższe zarobki. W listopadzie 2024 roku średnie miesięczne wynagrodzenie brutto kobiet było niższe od wynagrodzenia mężczyzn o 856,91 zł, co stanowiło różnicę na poziomie 9,7 proc.
- kobiety tracą też z powodu przerw w pracy związanych z urodzeniem i wychowaniem dziecka. Z badań Eurostatu wynika, że w Polsce kobiety dwa razy częściej niż w innych krajach UE deklarowały obowiązki opiekuńcze jako powód bierności zawodowej.

Jest źle, będzie gorzej

Sytuacja kobiet na emeryturze w przyszłości będzie jeszcze gorsza. Mężczyźni też zresztą nie mają powodów do optymizmu – mówi dr Maciej Wigowski z Instytutu Emerytalnego, były wiceprezes ZUS. Polscy (zarówno kobiety jak i mężczyźni) zdają sobie sprawę, że przyszłość nie rysuje się w różowych barwach. Tak przynajmniej wynika z najnowszego raportu Prudential Family Index 2025.

W raporcie zapytano pracujących rodaków – ile by im wystarczyło pieniędzy do przeżycia na emeryturze. 42 proc. respondentów zapew-

niało, że potrzebować będą od 5 tys. do 8 tys. zł miesięcznie, ale jednocześnie niemal tyle samo (44 proc.) przyznało, że spodziewa się świadczenia poniżej 3 tys. zł.

Czy ten pesymizm jest uzasadniony? Jak najbardziej. Dziś tzw. stopa zastępnia, czyli stosunek średniej emerytury do średniej pensji, wynosi ok. 50 proc. Ale już w 2040 roku według ZUS przeciętna emerytura ma wyność załówek 37 proc. przeciętnej pensji, a w następnej dekadzie spadnie do ok. 30 proc.

Przed działającymi trzydziesto- i czterdziestoletni rysuje się więc ponura rzeczywistość. W prostym przekształceniu ich emerytura będzie wynosić poniżej 1/3 ostatniej pensji.

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

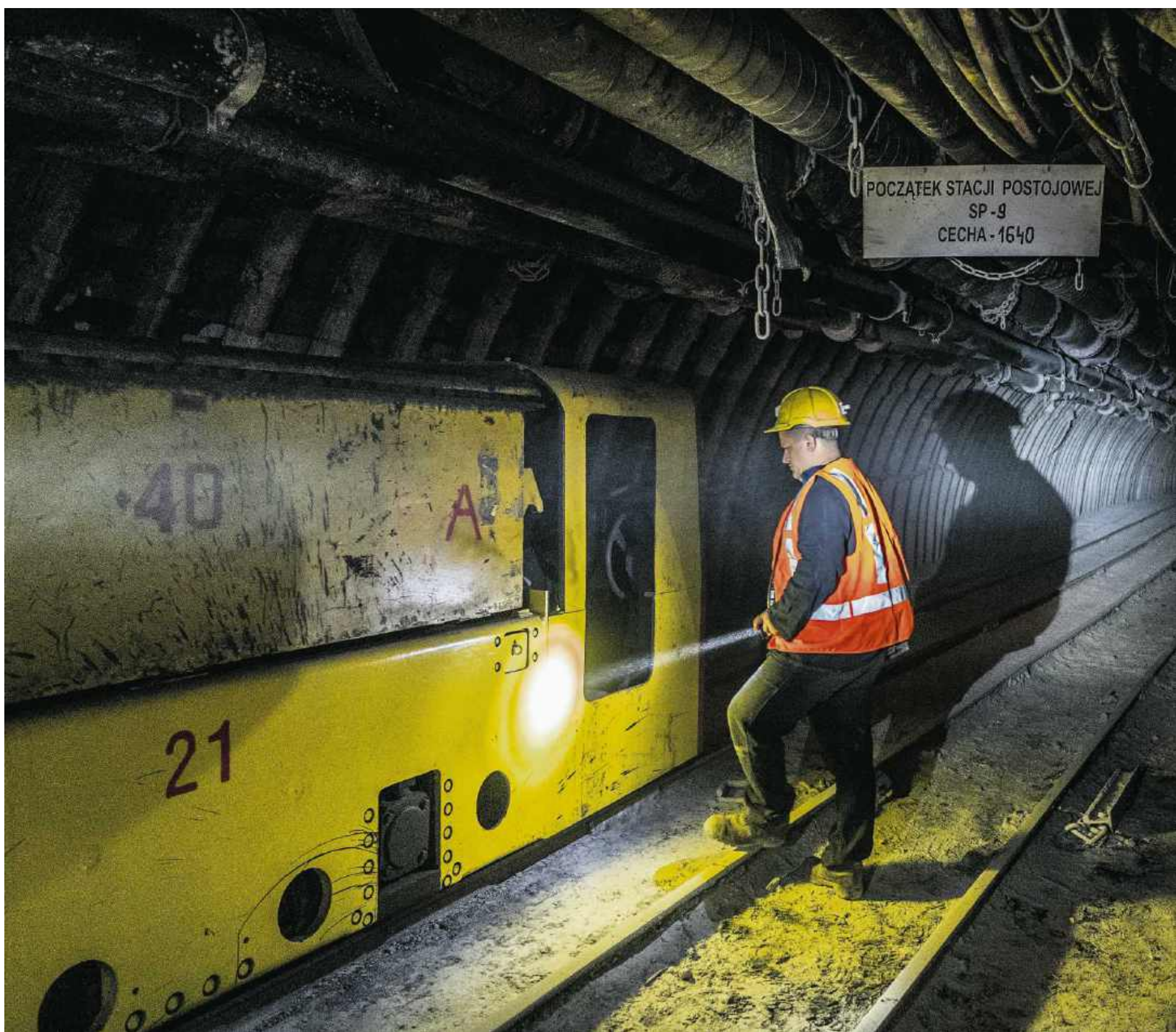
Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura

Emerytura



Adrian Karpeta

Upadek Jastrzębskiej Spółki Węglowej? Chłopie, o czym ty mówisz!? – denerwuje się górnik, którego zatrzymuję na bramie kopalni Zofiówka.

– JSW ma dwumiliardową stratę, a wy wychodzicie na ulice. Sami mówicie, że JSW padnie... – przypominam.

– Kto wychodzi!? Związkowcy wychodzą! To oni się boją, że stracą wpływy i pieniądze. Ja normalnie tego dnia pracowałem – mówi górnik nie bez emocji. Po chwili się uspokaja.

– Wiesz, o czym teraz myślę? Niedługo wypłacę Barbórkę, zabiorę rodzinę gdzieś na all inclusive, może do Marsa Alam. W Egipcie teraz fajna pogoda, ponad 20 stopni – dodaje.

Upadek JSW? To bujdy

Pytam kolejnego górnika i też jest zdziwiony. – Jastrzębska Spółka Węglowa upadnie? To bujdy! Ekipa, która do tego doprowadzi, zostanie zmieciona ze sceny politycznej, jak nie ogólnopolskiej, to przynajmniej śląskiej. Przecież JSW to nie tylko kopalnie w Jastrzębiu-Zdroju, ale także zakłady wydobywcze w Pawłowicach, Ornontowicach, Knurowie. A w Zofiówce pod ziemią leży 87 milionów ton węgla koksowego do wydobycia – mówi.

Koledzy oddali życie, a kopalnię rozbierają

Mieszkańcy osiedla Przyjaźń, po drugiej stronie miasta, gdzie stoją resztki po kopalni Jas-Mos, którą zamknę-

ODCHUDZONE KOPALNIE *i* PUSTE BLOKI

Jastrzębie-Zdrój mogłeś albo kochać, albo nienawidzić.

Albo szedłeś do kopalni, albo stąd wyjeżdżałeś.

Nie było i wciąż nie ma stanów pośrednich.



◀ **Kopalnia Zofiówka. W 2018 roku zginęło tu 5 górników podczas wstrząsu górotworu. Rok później (6.05.2019) odsłonięto tu tablicę upamiętniającą zabitych.**

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

▶ **Protest górników związkowców z Jastrzębskiej Spółki Węglowej na rondzie przy dawnej kopalni Moszczenica. Jastrzębie Zdrój (14.10.2025)**

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

▶ **40. rocznica pacyfikacji kopalni Manifest Lipcowy – obecnie Zofiówka w Jastrzębiu Zdroju (15.12.2021)**

FOT. DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL



to 31 grudnia 2022 roku, patrzą na to inaczej. – Wszystko jest możliwe, spółka może upaść. Nasi koledzy tu ginęli, wybuch pyłu węglowego zmiotł dziesięciu chłopaków. Za co oddali życie? Za to, że kopalnia jest dziś rozbierana – mówi gorzko Damian w drodze do swojej altany w pobliskim ogródku działkowym. Emerytem został w wieku 55 lat.

Emerytem górniczym można zostać nawet w wieku 40-kilku lat. Wystarczy przepracować 25 lat pod ziemią. Prawo do emerytury górniczej mają także mężczyźni, którzy ukończyli 55. rok życia i mają co najmniej 25-letni staż pracy, w tym 5 lat przepracowanych pod ziemią. Do stażu liczy się już szkoła górnicza. W 2024 roku średnia emerytura górnicza wyniosła 6997,21 zł.

63-letni Marek na emeryturze jest dopiero trzeci rok, ale tylko dlatego, że po odrobieniu wojska w 1985 roku zachciało mu się lepszego zarobku i zaczął szukać szczęścia za granicą. Perspektywy okazały się nie tak świetlane, jak myślał, więc wrócił na Śląsk i poszedł do kopalni Jas-Mos. Robota była pewna i mieszkanie wygodne, w bloku przy kopalni. – Do bramy zakładu miałem z domu trzy minuty, a inni przyjeżdżali nawet z Koniakowa. Szanowało się robotę – mówi.

Jego syn też poszedł na Jas-Mos, ale kiedy kopalnię zamykano, przenieśli go na Zofiówkę. – Jak to jest, że za Tuska JSW miała problemy, za PiS odżyła, przynosiła zyski, a jak PO wraca do władzy, automatycznie wracają kłopoty spółki? – pyta Marek.

Nie czeka na odpowiedź. Sam stawia diagnozę. Uważa, że gdy w górniczej spółce jest więcej „umysłowych” niż górników, to tak się to kończy. – Na ile „długopisów”

ten jeden górnik ze ściany czy przodka musi zapracować? – pyta retorycznie.

Kiedy szyb kopalni rozbierano, bolało go serce. – Syn mówił, że wystarczyło 30 metrów zbić i byłaby nowa ściana, węgiel można było jeszcze wydobywać – mówi.

Górnicy dobrze wiedzą, że Jastrzębska Spółka Węglowa jest smaczną polityczną konfiturą. Po każdej zmianie władzy zmienia się zarząd górniczego giganta i zarządy tzw. spółek córek JSW. Każda ekipa polityczna wprowadza do zarządów swoich ludzi.

W czasie rządów Zjednoczonej Prawicy mówiło się, że „wielkim kadrowym” w JSW jest poseł PiS Grzegorz Matusiak, a w JSW i w spółkach córkach pracę dostawali działacze i politycy prawicy. Przykładowo stanowisko dyrektorskie w spółce Szkolenie i Górnictwo otrzymał były poseł PiS Grzegorz J., skazany później na karę więzienia za przyjmowanie łapówek w zamian za rekomendowanie znajomych na stanowiska w spółkach córek JSW i nadużycia władzy.

Dom Andrzeja stoi przed likwidowanym Jas-Mosem. – Był tu pierwszy, moi dziadkowie postawili go ponad sto lat temu, dopiero wiele lat później wybudowano tutaj kopalnię [otwarto ją 4 grudnia 1962 roku – red.]. Mój ojciec pracował w Przedsiębiorstwie Budowy Szybów. Stawiał tę kopalnię – mówi Andrzej.

Sam też „robił” na dole, ale nie w spółce górniczej, tylko w prywatnej firmie. – Rozjeżdżaliśmy przodki, przygotowywaliśmy ściany. Zarabialiśmy jedną trzecią tego, co górnicy zatrudnieni w kopalni, a pracowaliśmy raz tyle. Oni siedzieli, tabakę wączali i się z nas śmiali, a myśmy zapierdzielali – mówi.

Jego zdaniem górnicy zarabiają za dużo. – To jedna z tych grup zawodowych, która wiecznie ma mało. A jak dostaną flapsy [ekwiwalent pieniężny za posiłki regeneracyjne – red.], to kupują jedzenie na cały miesiąc. Ja muszę kupować żywność za rentę, pan za wypłatę, nie dostajemy na to żadnych ekstra pieniędzy – mówi gorzko.

Dodaje, że dobrze nie będzie, bo Jastrzębską Spółkę Węglową trawi rak. – To związki zawodowe. Masa nierobów, która zarabia duże pieniądze. I jeszcze rada nadzorcza, której członkowie dostają pieniądze za kilka dni siedzenia – mówi.

Sprawdzam – w JSW jest więcej członków związków zawodowych niż samych pracowników. Jak to możliwe? Ostatnie dane, jakie znajduję, pokazują, że na dzień 31 grudnia 2020 roku w związkach zapisanych było 37 813 osób, co oznaczało, że tzw. wskaźnik uzwiązkowienia wynosił 123,6 proc.! W całej grupie kapitałowej JSW działało 135 organizacji związkowych!

Zamkną kopalnię? Będziemy mieli drugi Wałbrzych

Przed bramą likwidowanej kopalni Jas-Mos wciąż stoi zardzewiała tablica informacyjna z komunikatami działu socjalnego i związków zawodowych. Za jedną z szyb przypomnienie: „W 1989 r. coś poszło nie tak... Polsko! Obudź się! Wstań z kolan”. Obok informacja, że w związku z planowanym powiększeniem drżyny ratowniczej kopalniana stacja ratownictwa górniczego poszukuje chętnych do zasilenia jej szeregów. Trzeba mieć skończony 23 rok życia i przepracowane

co najmniej 24 miesiące na dole kopalni. Wiadac, że podniszczona tablica nieczynnej kopalni wciąż jest dobrym nośnikiem informacji, bo wiszą na niej również całkiem współczesne zaproszenia na wycieczkę do Dubaju (grudzień 2025 r.) i rejs po Wyspach Kanaryjskich (styczeń 2026 r.).

Na przykopalnianym osiedlu już tak optymistycznie nie jest. – Ludzie liczą każdą złotówkę, jest mniejszy utarg – mówi dziewczyna, która prowadzi tu mały butik odzieżowy. Sąsiaduje z barem piwnym, który padł razem z kopalnią. Wśród bloków przechadzają się emeryci. Nawet orlik, otwierany hucznie latem 2017 roku przez urodzonego w Jastrzębiu Kamila Glika, jest pusty, chociaż popołudnie, świeci słońce i jest plus dziesięć na dworze.

– Za chwilę będzie tu „trzynasta dzielnica” – wieszczą młoda kobieta.

– A jak JSW padnie i zaczną się zamykać firmy kooperujące z górnictwem, to będziemy tu mieli drugi Wałbrzych albo i gorzej – uważa Marek. Ten sam, który mówił nam o górnikach pracujących na „długopisy” w biurze JSW.

Jastrzębska Spółka Węglowa nie upadnie, chociaż pierwsze półrocze 2025 roku zamknęła stratą sięgającą 2,08 mld zł i już w marcu 2026 roku grozi jej utrata płynności finansowej. Teoretycznie sama JSW może ogłosić upadłość, ale kopalnie nie znikną z prostej przyczyny – wydobywa się w nich węgiel koksujący. Bez węgla kokсового nie ma stali, a bez niej – cywilizacji, jaką znamy, czyli samochodów, nowoczesnych biurów czy mostów. A nawet wiatraków, które są źródłem energii odnawialnej. Każda tona węgla kokсового to około 0,70 tony koksu, który umożliwia wytworzenie od 1,6 do 2,1 tony surówki hutniczej.

170 tys. zł odprawy i górniczy urlop

Jedno jest pewne – górniczy gigant musi się przygotować na restrukturyzację. Zatrudnienie zostanie zmniejszone w sposób naturalny. Górnicy JSW będą mogli skorzystać z jednorazowych odpaw w wysokości 170 tys. zł w przypadku odejścia z pracy. Podobnie było w latach 1998-2002, kiedy „za Buzka” wypłacano górnikom po 56 tys. zł.

To właśnie wtedy w Jastrzębiu-Zdroju otwarto jeden z pierwszych salonów samochodowych marki Daewoo na Śląsku. Odprowa starczyła na lanosa dla męża i matiza dla żony. Wielu dało się skusić.

Górnicy na pięć lat przed emeryturą (pracownicy zakładów przeróbki na cztery lata przed emeryturą) będą mogli skorzystać z urlopów, oznaczających świadczenie socjalne w wysokości 80 proc. miesięcznego wynagrodzenia bez obowiązku świadczenia pracy. Takich przywilejów nie ma żadna inna branża w Polsce. – Wystarczyło jedno wyjście górników na ulice. Niewielka w sumie grupa osób przeszła przez miasto, trochę pokrzyzeli, pogrozili palcem, puscili jakieś petardy i wywalczyli – mówi Janek, który na targowisku sprzedaje odzież i w ten sposób żywi rodzinę.

Inwestorzy boją się szkód górniczych

W Jastrzębiu-Zdroju przez ostatnie dekadę, w czasie których mówi się o transformacji Śląska, nie wypracowano żadnej alternatywy dla górnictwa. Dlaczego się nie udało? – pytamy Mariana Janeckiego, który przez



• Osiedle Przyjaźń przy zamkniętej w 2022 roku kopalni Jas-Mos w Jastrzębiu Zdroju (29.10.2025) FOT. DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Miasto wciąż koncentruje się na obronie górnictwa, zamiast planować przyszłość. Specjalna strefa ekonomiczna, nowe kierunki kształcenia zawodowego, szukanie inwestorów niegórnictw. To może być kosztowny brak wyobraźni

dwanaście lat, od 2002 do 2014 roku rządził tym górniczym miastem.

– Było wiele przyczyn. Firmy, które do nas się zgłaszały, szukając terenów pod inwestycje, odstraszały szkody górnicze. Lokalni, znając ten problem i wiedząc, jak się przed nim zabezpieczyć, nie bali się. Dzięki temu powstał i z powodzeniem działa np. Prymat [znany producent przypraw – red.], a Zakład Odmetanowania Kopalni na szkodach górniczych wybudował hale – mówi Marian Janecki.

A jeśli nie ma szkód, to są wzgórza, pagórki. Trudno tu znaleźć działkę równą jak stół i postawić duży zakład.

Kopalnie tak płacą, że odstraszały innych

Ale przecież zakład nie musi być od razu duży. Lokalną gospodarkę często nakręcają małe i średnie przedsiębiorstwa. I tu problemem okazała się obecność Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Jak to możliwe?

– JSW wchłaniała ludzi do pracy, oferując im lepsze warunki płacy, niż mogli zapewnici inni pracodawcy. Jakby tego było mało, na początku lat dwutysięcznych JSW się „odbiła” i zaczęła przyjmować nowych pracowników, nawet po 1,5-2 tys. ludzi. Jak

w takiej sytuacji hydraulik czy inny fachowiec miał otwierać swoją działalność i walczyć o klienta samodzielnie, skoro miał ofertę stabilnej, dobrze płatnej pracy w JSW? – pyta były prezydent Jastrzębia-Zdroju.

W 2023 roku średnia miesięczna płaca w Jastrzębskiej Spółce Węglowej wyniosła 17 516,55 zł brutto. Kwota nieosiągalna u innego pracodawcy w tym mieście. Wyższa o kilka tysięcy zł niż w sąsiedniej Polskiej Grupie Górniczej. – Górnicy spotykają się na gwarkach, na wakacjach i wkurzają się, porównując swoje wypłaty. Bo w czym górnik z Chwałowic [kopalnia w Rybniku, należąca do PGG – red.] jest gorszy od tego z Zofiówki, że ma miesięcznie kilka tysięcy złotych mniej? – pyta żona jednego z górników.

Elity wyjechały

Andrzej Kinasiewicz, były dyrektor szkoły górniczej w Jastrzębiu-Zdroju, który w latach 80. XX wieku jeździł po Polsce i werbował młodych mężczyzn do pracy w jastrzębskich kopalniach, wskazuje jeszcze jedną przyczynę dzisiejszych problemów gospodarczych Jastrzębia-Zdroju: odpływ elit.

– Młodzi ludzie, którzy wyjeżdżali na studia do Krakowa, Wrocławia i innych dużych miast, bardzo rzadko tutaj wracali. Mieli obawy, że nie znajdą tutaj satysfakcjonującej pracy. Zostało wyssane z naszego miasta to, co najlepsze, dawni jastrzębianie budują dobrobyt innych miast w Polsce i na świecie – uważa Andrzej Kinasiewicz.

Swoje zrobił też kulejący układ komunikacyjny. Spójrzmy na sąsiednie Żory, przez lata uważane za górniczą sypialnię. Miały jedną kopalnię, która została zamknięta już w 1997 roku, ale wygrały dobrym układem komunikacyjnym. Miasto przecina popularna wiślanica (Droga Krajowa 81), łącząca Żory z jednej strony z Katowicami, z drugiej z Beskidami. Jest kolej, pociągnięto tu autostradę A1. Dziś Żory szczycą się prężną strefą ekonomiczną i boorem mieszkaniowym.

A w Jastrzębiu-Zdroju? W lutym 2001 roku odjechał stąd ostatni pociąg. Linia kolejowa ma być reaktywowana, pociągi mają znów jeździć od 2029 roku. Obecny prezydent miasta Michał Urgoł widzi w tym szansę na zatrzymanie mieszkańców.

– Dziś wiele osób, które pracują w Katowicach lub innych częściach aglomeracji, szuka mieszkania bliżej pracy, bo dojazd z Jastrzębia samochodem czy autobusem zajmuje ponad półtorej godziny. Jeśli pociąg pozwoli dotrzeć do Katowic w mniej niż godzinę, będzie to poważny atut nie tylko dla mieszkańców, ale dla wszystkich, którzy szukają dobrego miejsca do życia – uważa prezydent Urgoł.

Tam, gdzie kiedyś była praca, duma i wspólnota

Tylko czy Jastrzębie-Zdrój wciąż będzie dobrym miejscem do życia? – Powoli staje się miastem emerytów, często z wysokimi górniczymi świadczeniami, ale także z poczuciem utraty sensu i społecznego statusu. Tam, gdzie kiedyś była praca, duma i wspólnota, dziś pojawia się beczynność, izolacja i frustracja. To klasyczny proces deindustrializacji, w którym ekonomiczny upadek pociąga za sobą erozję więzi i znaczeń. Pojawia się próżnia, nie tylko gospodarcza, ale też kulturowa i emocjonalna – wyjaśnia Mirosław Górka, socjolog Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, który obserwuje Jastrzębie z sąsiedniego Rybnika.

Jaki los czeka Jastrzębie-Zdrój? Czy skurczy się do 3 tys. mieszkańców jak w latach 60. XX wieku, gdy było jeszcze popularnym uzdrowiskiem? Dziś, z blisko 105-tysięcznego miasta (w 1991 roku), został ośrodek liczący 82 tys. mieszkańców. To wciąż dużo.

Rozwój to nie wybór JSW albo coś innego

– Dla nas rozwój miasta to nie wybór między „JSW albo coś innego”. To podejście dwutorowe: z jednej strony obrona i wsparcie dla JSW jako filaru lokalnej gospodarki, a z drugiej aktywne tworzenie nowych możliwości, które uniezależnią nas od jednej branży. Wierzę, że tylko w taki sposób możemy zapewnić mieszkańcom stabilną przyszłość, opartą na różnorodności, nowoczesności i współpracy – mówi prezydent Michał Urgoł.

Pytamy o konkrety. – Przygotowujemy grunty inwestycyjne, mamy ponad 150 hektarów terenów pod nowe przedsięwzięcia, w tym m.in. teren po kopalni Jas-Mos, 55 hektarów przy ul. Powstańców Śląskich, dodatkowe 18 ha wzdłuż Drogi Główniej Południowej. Współpracujemy z Katowicką Specjalną Strefą Ekonomiczną, Polską Agencją Inwestycji i Handlu oraz Śląskim Centrum Obsługi Inwestora, aby skutecznie przyciągać inwestorów spoza sektora górniczego – wyliczają w magistracie.

– Miasto ma korzystne położenie, a bliskość granicy z Czechami to realny atut. W epoce, gdy przemysł i logistyka szukają nowych lokalizacji, Jastrzębie-Zdrój może stać się ważnym punktem transgranicznej współpracy – uważa socjolog Mirosław Górka.

Czy miasto się odrodzi?

Socjolog podkreśla, że wymaga to długofalowego myślenia o rozwoju. – Tymczasem obserwuję miasto, które wciąż koncentruje się na obronie górnictwa, zamiast planować przyszłość. Nie widać szerokiej debaty o tworzeniu specjalnych stref ekonomicznych, nowych kierunkach kształcenia zawodowego czy o tym, jak przyciągać inwestorów, dla których węgiel nie będzie już punktem odniesienia. To brak wyobraźni, który może okazać się kosztowny – dodaje.

Górka uważa, że jeśli Jastrzębie-Zdrój nie odnajdzie nowego sposobu na siebie, stanie się miastem pamięci, miejscem, które żyje wspomnieniem dawnej świetności. – Ale wciąż istnieje szansa na inny scenariusz. To społeczność, która już raz potrafiła się zorganizować, przyjechać z różnych stron kraju i zbudować miasto od zera. W tym sensie Jastrzębie-Zdrój ma w swoim DNA zdolność do odradzania się. Jeśli znajdzie w sobie odwagę, by zdefiniować nową tożsamość, może stać się symbolem przemiany po epoce węgla, miastem, które przestało żyć przeszłością i nauczyło się myśleć o przyszłości – podsumowuje.

– Tylko czy będzie się komu odradzać? Kopalnie zostaną, ale czy ludzie? Proszę spojrzeć na parkingi przed biurem JSW i pod kopalniami. Tam już teraz więcej jest „obcych” rejestracji niż jastrzębskich. Zostaną tu odchudzone kopalnie i puste bloki – mówi gorzko jeden z działkowców przy Jas-Mosie. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY: WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZY: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska. GRAFICY: Paweł Kapusta, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Historia dwóch statków

Być patriotą dziś to nie bronić się przed światem, tylko umieć w nim działać – spokojnie, bez lęku i bez kompleksów.



Marcin Matczak

Polska znowu stoi przed kluczowym wyborem. Chodzi o wybór między patriotyzmem otwarcia i współpracy a patriotyzmem izolacji i wrogości. W tym wyborze chodzi o to, jak myślimy o świecie zewnętrznym: czy widzimy w nim przede wszystkim szansę na sojusz, czy nieustanne zagrożenie.

Jak zdecydować, która opcja jest lepsza?

W 1864 roku dwa brytyjskie statki – „Grafton” i „Invercauld” – rozbiły się niemal jednocześnie na tej samej wyspie Auckland, położonej daleko na południe od Nowej Zelandii. Obie grupy rozbitków miały podobne warunki: chłód, głód i samotność. Różniło je jedno – sposób, w jaki postanowiły przetrwać. Pięciu rozbitków z „Graftona” od początku ustaliło zasady: podział zadań, wspólne decyzje, troska o siebie nawzajem. Po dwóch latach wszyscy żyli.

Żałoga „Invercaulda” była pięć razy liczniejsza, ale zamiast współpracy wybrała rywalizację i nieufność. Ranni byli porzucani, jedzenie rozdzielano niesprawiedliwie, klótnie prowadziły do przemocy. Przeżyło tylko trzech.

Ta historia, opisana przez Josepha Henricha w książce „Tajemnica naszego sukcesu”, to eksperyment na ludzkiej naturze: przetrwali nie silniejsi, lecz ci, którzy potrafili zaufać i współdziałać. „Grafton” i „Invercauld” to dwie miniatury społeczeństwa – jedno oparte na współpracy, drugie na egoizmie i strachu.

Polska między zaufaniem a lękiem

W ostatnich latach w Polsce dominuje język obłożonej twierdzy. PiS przedstawia Zachód jako zagrożenie, a Unię Europejską jako system wyzysku. Konfederacja doprowadziła ten sposób myślenia do skrajności: Polexit stał się dla niej obietnicą „wolności”, a „suwerenność” – prawem do wiecznego gniewu. W tej logice każde porozumienie z Unią to kapitulacja, a każda różnica zdań to dowód odwagi. To się dobrze sprzedaje, bo jest proste. Nie wymaga wiedzy, tylko emocji. Łatwiej obiecać ludziom, że będą sami o sobie decydować niż wyjaśnić, jak współpracować w złożonym świecie.

Kusząca prostota gniewu

Izolacjonizm daje złudne poczucie kontroli. Kiedy świat zmienia się szybciej, niż potrafimy to zrozumieć, kusi nas, by zatrzaskać przed nim drzwi. Tak było z hasłami „zbudujmy mur” w USA Trumpa i „przywróćmy kontrolę” w Wielkiej Brytanii za czasów Brexitu. Po wyjściu z Unii okazało się jednak, że kontrola nie wróciła. Przyszły za to osłabiona gospodarka, mniej inwestycji i problemy, głównie dla małych firm. Ale gniew pozostał – i zawsze można go na jakiegoś zewnętrznego albo wewnętrznego wroga przenieść.

W Polsce jest podobnie. „Suwerenność” staje się wyrzutem obrażonego dziecka, które wszędzie szuka winnych swojego złego samopoczucia, a największym patriotą wydaje się ten, kto najgłośniej wyzywa sąsiadów. Tymczasem polityka, która żywi się tylko gniewem, długo na takiej diecie nie pociągnie.

Otwartość to dojrzałość, nie słabość

W debacie publicznej otwartość przedstawia się dziś jako naiwność, współpracę jako brak charakteru, a kompromis jako zdradę. To wygodne, bo zwalnia z myślenia i tłumaczenia złożonych decyzji. Ale świat nie premiuje oburzonych, tylko skutecznych.

Weźmy temat imigracji. Prawica od lat przedstawia prostą, ale fałszywą alternatywę: albo zamknijmy granice, albo wpuszczmy konia trojańskiego. Tymczasem dojrzałe państwo potrafi robić obie rzeczy naraz: chronić swoje granice i wpuszczać ludzi, którzy chcą tu żyć i pracować. Starzejące się społeczeństwo potrzebuje nowych rąk do pracy, a wielu przybyszów już mówi po polsku, płaci tu podatki, edukuje dzieci w polskich szkołach i może stać się cenną częścią naszego społeczeństwa. Taka kontrolowana otwartość pozwala strategicznie planować, a nie tylko w panice reagować.

Ewolucja po stronie współpracy

Historia i biologia mówią jednym głosem: żeby przetrwać, trzeba się otworzyć. Ludzie podbili świat nie dzięki sile, lecz dzięki umiejętności współpracy z innymi. I prawo, i państwo, i pieniądze to wynalazki oparte na zaufaniu. Frans de Waal, Johan Norberg czy Jared Diamond od lat pokazywali bądź pokazują to samo: zamknięcie oznacza stagnację, a otwartość – rozwój.

W świecie gospodarek splecionych jak ni-gdy dotąd przemoc się nie opłaca, a handel staje się najlepszą gwarancją pokoju. Jak mawia psycholog Steven Pinker, jeśli z kimś handlujesz, ten ktoś jest dla ciebie bardziej wartościowy żywy niż martwy. Otwartość nie jest więc moralną fanaberią, tylko najlepszą strategią przetrwania.

Polska wyobraźnia obłożona

W pewnym sensie zrozumiałe jest, skąd w nas ten lęk przed otwartością. Historia zaborów, okupacji i zdrad nauczyła nas podejrzliwości. Ale wieczne poczucie obłożenia to po prostu zły pomysł na to, jak odnaleźć się w nowoczesności. Politycy, którzy żerują na strachu, nie rozwiązują problemów – tylko je konserwują, by mieć czym straszyć.

A kraj, który nie ufa nikomu, z czasem przestaje ufać sam sobie.

Patriotyzm otwarty, w przeciwieństwie do zamkniętego nie daje natychmiastowej ulgi. Wymaga cierpliwości, wiedzy, umiejętności. Mówi, że bezpieczeństwo tworzą skrupulatnie budowane sojusze, nie samotność, a siłę państwa mierzy się skutecznością działania, nie decybelami krzyku. Dotyczy to szczególnie miejsca Polski w Europie. Ona nie jest zagrożeniem, ale przestrzenią współpracy, na której kształt możemy mieć wielki wpływ.

Mądra otwartość

Jeśli patriotyzm oznacza chęć budowania silnego kraju, to zamknięcie i nieufność od tego nie doprowadzą. Zamiast rozwijać wspólnotę, zamiast Polaków w grupę sfrustrowanych kibiców, dla których naturalnym sposobem interakcji z innymi jest ustawka. Budować silną Polskę może tylko patriotyzm mądrze otwarty – taki, który potrafi łączyć empatię z rozsądkiem i ostrożność z zaufaniem.

Być patriotą dziś to nie bronić się przed światem, tylko umieć w nim działać – spokojnie, bez lęku i bez kompleksów. Rozumieć prostą prawdę: silny kraj nie boi się obcych wpływów, bo potrafi sam wpływać na innych.

Żałoga „Graftona” przetrwała, bo umiała współpracować. Żałoga „Invercaulda” zginęła, bo nie umiała tego robić. Polska też przetrwa i rozkwitnie, jeśli będzie współpracować. Bo obłożone twierdze są emocjonalnie wygodne – ale nie da się w nich normalnie, szczęśliwie żyć. ●

Imperium

Do tej pory w pisowskiej narracji Francuzi byli raczej niegroźni, choć od kiedy ponoć nauczyliśmy ich jeść widelcami, a więc przedmiotami stosunkowo ostrymi, to rzeczywiście nie mamy pewności, jaki użytek z nich zrobić.



Michał Rusinek

Na konwencji Prawa i Sprawiedliwości w Katowicach Jarosław Kaczyński przedstawił wizję przyszłości. Polska, według niego, ma dziś przed sobą dwie opcje: pierwszą określił mianem „niemiecko-brukelskiej”; zakłada ona powstanie „państwa hegemonialnego”. „Wszystko, co zaczęło się po II wojnie światowej, ma zostać sfinalizowane jako wielkie zwycięstwo Niemiec i powstanie czegoś w rodzaju nowego imperium” – powiedział.

Ciekawe, że nie jest to opcja berlińsko-brukelska, co byłoby bardziej logiczne. Nie może być też opcją niemiecko-belgijską, bo nie Belgia jest naszym domniemanym wrogiem, a Unia Europejska z siedzibą w Brukseli. No i, rzecz jasna, Niemcy. „Niemcy chcą nam zabrać państwo – mówił dalej Kaczyński. – A Francuzi razem z nimi. Nie wiem, dlaczego, ale tak”. Ja też nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że jednak nie. Do tej pory w pisowskiej narracji Francuzi byli raczej niegroźni, choć od kiedy ponoć nauczyliśmy ich jeść widelcami, a więc przedmiotami stosunkowo ostrymi, to rzeczywiście nie mamy pewności, jaki użytek z nich zrobić. „Biurokracja europejska, no, pali się aż do tego [żeby nam zabrać państwo]. Amerykanie – nie” – stwierdził Kaczyński.

Drugą bowiem opcję przedstawił na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ prezydent USA Donald Trump. Jak zauważył z żalem prezes PiS – nie została ona wtedy przedstawiona precyzyjnie, ale chodzi w niej o coś w rodzaju koalicji „państw demokratycznych” – a dokładniej „tych naprawdę demokratycznych” – w wymiarze światowym. Pozornie nas uspokoił, że ta koncepcja nie ma na celu zlikwidowania Unii Europejskiej, ale jej wyraźnie zreformowanie „w stronę powrotu do suwerenności państw”. Ta „suwerenność”, powtarzana ostatnio przez wszystkich polityków Zjednoczonej Prawicy, wydaje się zaczerpnięta z koncepcji Romana Dmowskiego (państwo suwerenne musi być jednolite narodowo itp.). Ale że suwerenność oznacza niezależność od zewnętrznych wpływów, więc mówiąc o suwerenności trzeba tę zagrażającą nam zewnętrżność wskazać.

Wiemy nie od dziś, że dla Kaczyńskie-go zagrożeniem są Niemcy i Unia. Z pewną podejrzliwością natomiast podchodzimy do sformułowania „naprawdę demokratyczne”. Dlaczego nie po prostu „demokratyczne”? Przysłówek „naprawdę” teoretycznie ma wzmacniać dane pojęcie, ale w rzeczywistości wprowadza niepokój: używając go zakładamy bo-

wiem, że istnieją państwa demokratyczne „na niby”, co poniekąd jest prawdą, ale wiele wskazuje na to, że Jarosław Kaczyński uważa akurat te kraje za demokratyczne „naprawdę”. Przysłówek „naprawdę” sugeruje, że nie chodzi o prawdę obiektywną (o ile taka w ogóle istnieje), ale o prawdę subiektywną, a właściwie retoryczną: to, co wydaje się prawdziwe temu, kto mówi. I do czego próbuje nas przekonać.

Najciekawsze w wypowiedzi prezydenta PiS-u, także ze względu na to, że nowatorskie, wydaje się określenie „imperium”. Przypomnijmy jego historiozoficzną narrację: Niemcy przegrały II wojnę światową, ale zaraz potem postanowiły stworzyć imperium. Chwilę to trwało, ale na naszych oczach ono właśnie powstaje, w wersji niemiecko-brukelskiej.

Imperium, jak wiemy, to struktura polityczna władająca na wielkim obszarze i zorganizowana jest wokół jakiegoś mocarstwa. Jego władza rozciąga się także na inne, podporządkowane jednostki polityczne. Imperium ma charakter ekspansjonistyczny i poszerza się na skutek podbojów. Ma strukturę koncentryczną: władza centralna (mocarstwo) przeciwstawiona jest peryferiom (państwu zależnym). Typowy przykład imperium stanowi cesarstwo rzymskie (imperium to słowo łacińskie). Encyklopedie podają też inne przykłady: imperium osmańskie, mongolskie, imperium brytyjskie, hiszpańskie czy też – a może nawet przede wszystkim – imperium rosyjskie, jak brzmiała oficjalna nazwa Rosji w latach 1721-1917. Było to trzecie pod względem wielkości państwo w historii ludzkości.

W historii Niemiec także pojawiło się *Sacrum Imperium Romanum*, potocznie zwane Pierwszą Rzeszą Niemiecką, ale po polsku nazywane głównie Świętym Cesarstwem Rzymskim. Słowo „imperium” kojarzy nam się przede wszystkim z Rosją lub Związkiem Radzieckim – a to za sprawą książki Ryszarda Kapuścińskiego pod tytułem „Imperium” właśnie, a to ze względu na słowa prezydenta Ronalda Reagana, który w 1983 roku nazwał ZSRR „imperium zła”. I nawet jeśli „Listy do rzymskiego przyjaciela” Josipa Brodzkiego dotyczą starożytnego Rzymu, to i tak wiadomo, że chodzi o imperium sowieckie. „Skoro przyszło już urodzić się w Imperium,/ to najlepiej żyć w prowincji na przymorzu. [...] Co w stolicy? Lizusostwo i szubrawstwo?/ Jak tam Cezar? Czym zajęty? Wciąż kłownia?”. Jakże to wciąż aktualne, prawda?

Aktualne zwłaszcza w kontekście państwa, o którym Jarosław Kaczyński ani razu nie wspomniał w swoim przemówieniu jako o zagrożeniu. Ale język go wyręczył; powiedział to, czego Kaczyński powiedzieć nie zamierzał. Wbrew intencjom mówiącego, który wciąż każe nam wypatrywać zagrożenia z Zachodu, język skierował naszą uwagę na Wschód, gdzie rzeczywiście po upadku ZSRR odrodziło się „coś w rodzaju nowego imperium”. Odwracanie wzroku od niego i szukanie rzekomo złowrogiego imperium na Zachodzie – jest oczywiście korzystne dla Putina i w krótko-wzrocznej perspektywie także dla PiS-u. Ale nie dla nas. ●

Michał Kokot

Raport komisji, która przesłuchiwała Zbigniewa Ziobro, ma ukazać się już w grudniu. Ale wiele dokumentów wciąż nosi klauzulę „tajne” lub nawet „ściśle tajne”. Służby tłumaczą to względami bezpieczeństwa państwa. Czy uda się rozwiązać sprawę Pegasusa przed kolejnymi wyborami?

Zbigniew Ziobro jest na najlepszej drodze do tego, by zostać kolejnym uchodźcą politycznym w państwie Viktora Orbana. Dołączy do swojego zastępcy w Ministerstwie Sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, który na Węgrzech ukrywa się od grudnia zeszłego roku. Pówd ten sam – nadużycia przy rozdzielaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, za które obydwa ścigani są w kraju.

Kolekcjonowanie „uchodźców politycznych”, którzy mają autorytarne ciągoty, to specjalność Orbana. Siedem lat temu jego dyplomata przemycił w bagażniku przez granicę Nikołę Gruewskiego, byłego premiera Macedonii Północnej, oskarżonego o łapownictwo i nadużycia władzy. Ekipa Gruewskiego była znana z masowej inwigilacji Macedończyków – opozycji, dziennikarzy, ale też wielu zwykłych obywateli.

Gdy sprawa ujrzała światło dzienne, a tłumy na ulicach zażądały dymisji Gruewskiego, postanowił z pomocą Węgrów czynniejsze do Budapesztu.

Dzisiaj razem z Romanowskim cieszy się azylem politycznym. Być może wkrótce dołączy do nich Ziobro.

Na Węgrzech będą korzystać z ochrony Orbana, ale – nie ma nic za darmo – jednocześnie staną się jego zakładnikami.

Bo węgierski premier nie przygarnął z ich odruchu serca, ale z kalkulacji politycznej. Orban wspiera od lat reżimy nieliberalne, którym na przeszkodzie stoi demokracja i uczciwa walka polityczna. Wspiera je, bo taki sam system stworzył u siebie.

Na Węgrzech rządzący mają miażdżącą przewagę na rynku medialnym, gospodarkę kontrolują ich oligarchowie, na prowincji rządzą nominaci partyjni Fideszu. Orban wspiera Gruewskiego i jego partię od lat. Węgierscy oligarchowie wykupili i dokapitalizowali macedońskie media szerzące propagandę partii byłego premiera. Część z węgierskich oligarchów przeniosła tam nawet majątki, na wszelki wypadek. Bo nie jest powiedziane, że reżim Orbana nigdy nie upadnie.

Stać się to może już wiosną przyszłego roku, gdy do władzy dojdzie Peter Magyar i jego partia TISZA. Sondaze dają mu kilkanaście punktów procentowych przewagi nad Fideszem Viktora Orbana.

Magyar w wywiadzie dla „Wyborczej” latem tego roku radził Romanowskiemu, by zaczął szukać innego kraju na schronienie. Zapowiedział, że po wygranej TISZ-y i odsunięciu ekipy Orbana od władzy o jego losie zdecyduje niezawisły sąd, a nie polityk. Ten sam los czeka zapewne również Ziobro.

Ziobro prokuratura chce postawić 26 zarzutów, a pierwszy z nich dotyczy polecenia zakupu szpiegowanego Pegasusa z pieniędzy Funduszu Sprawiedliwości – a więc przeznaczonych na pomoc ofiarom przestępstw. Bylemu ministrowi sprawiedliwości grozi do 25 lat więzienia za kierowanie grupą przestępczą, której członkiem – według prokuratury – miał być również Romanowski.

Tylko iPhone. Izraelczycy poszli na łatwiznę?

Dwa lata po przegranych przez PiS wyborach poznaliśmy sporo elementów układanki. Mamy już obraz tego, jak wyglądała inwigilacja za PiS, a także jak skonstruowany był cały system, by zachować pozory jego legalności.

Ci, którzy byli za niego odpowiedzialni, zaprzeczali istnienia systemu – jak Ernest Bejda, szef CBA w latach 2015-20 – albo wyśmiewali

ZIOBRO WSYPAŁ ZASTĘPCĘ

Izraelczycy chcieli 6,2 miliona dolarów, stanęło na 40 milionach złotych. Na utrzymanie Pegasusałożyło nie tylko CBA, również inne służby.



• Zbigniew Ziobro - kolejny „uchodźca polityczny” w kolekcji premiera Węgier Viktora Orbana?

informacje o inwigilacji. Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości i bliski współpracownik Ziobry, krótko po ujawnieniu przez media informacji o Pegasusie kpil: – Pegasus? Mam taką starą konsolę na strychu.

Tymczasem to Woś podpisał się na umowie o przekazaniu pieniędzy dla CBA na Pegasusa. W czerwcu zeszłego roku Sejm uchylił mu immunitet, a prokurator oskarżył o przekroczenie uprawnień i niedopełnienie obowiązków.

Dzięki odtajnieniu części materiałów znamy już prapoczątki Pegasusa w Polsce. Materiały w tej sprawie opublikował RMF FM. Wynika z nich, że kontakt pomiędzy Centralnym Biurem Antykorupcyjnym a spółką Matic, pośrednikiem w zakupie, nastąpił znacznie wcześniej, niż sądzono – bo już we wrześniu 2016 roku. Oznacza to, że najpóźniej kilka miesięcy po wygranych przez PiS wyborach służby dostały polecenie zakupu tego oprogramowania szpiegującego.

CBA zależało na szybkim zorganizowaniu prezentacji możliwości Pegasusa przez przedstawiciela izraelskiej spółki NSO, która go tworzyła. Do przedstawienia doszło w październiku 2016 roku, ale przedstawiciele CBA narzekali, że Izraelczycy poszli na łatwiznę i na spotkanie przynieśli głównie iPhone'y, a nie popularne wówczas w Polsce modele Samsunga, HTC, Sony czy LG.

Później okazało się, że NSO miało dobrze rozpracowany system iOS na iPhone'y, natomiast agenci CBA mieli kłopot ze złamaniem zabezpieczeń w telefonach z oprogramowaniem Android.

Problem polegał również na tym, że CBA zamówiła pakiet tańszy, który obejmował tak zwany system 1-click, a nie 0-click. Polegał on na tym, że użytkownik musiał kliknąć w wysłany przez agenta link udający zwykłą wiadomość, by wrzucić Pegasusa do pamięci urządzenia. Metoda 0-click była niezauważalna

przez właściciela telefonu, który co najwyżej mógł szybciej zużywać baterię ze względu na pracę w tle.

CBA chciała początkowo licencji na 10 inwigilowanych urządzeń, polskie „agencje wywiadowcze” miały prosić o 20, a służby kontrwywiadowcze – o aż 50 licencji.

Oferta Izraelczyków była droga. Za 25 celów żądali 6,2 miliona dolarów.

Kosztowna była zwłaszcza metoda 0-click, którą służby były zainteresowane najbardziej. Padł pomysł nawet finansowania ze środków unijnych, ale odradziła to przedstawicielka NSO.

Negocjacje cenowe przeciągały się, bo polskie służby nie dysponowały tak dużą kwotą. Zniecierpliwiona postawą agenta CBA przedstawicielka NSO napisała, że jest gotowa czekać, aż ten w końcu podesze „jakieś odpowiedzi, a nie tylko pytania”.

Przez kolejne miesiące trwały gorączkowe rozważania, skąd wziąć pieniądze. W końcu dobito targu – system miał kosztować aż 40 milionów złotych. Cena zawierała obsługę techniczną systemu przez najbliższy rok.

Ostatecznie to Ziobro – a przynajmniej tak utrzymywał podczas zeznań przed sejmową komisją śledczą we wrześniu – zdecydował o zakupie Pegasusa ze środków Funduszu Sprawiedliwości.

We wrześniu 2017 roku sprawy potoczyły się już błyskawicznie. 13 września Ziobro zmienił rozporządzeniem przepisy o funduszu dla ofiar przestępstw i rozszerzył go o „zapobieganie przestępczości”.

Dwa dni później Ernest Bejda, szef CBA, poprosił na piśmie o 25 milionów, resztę – 15 milionów – Biuro miało dołożyć ze swoich środków. Ale na utrzymanie systemułożyły też inne służby – tylko Służba Kontrwywiadu Wojskowego przeznaczała na niego 2 miliony zł rocznie.

Testy programu i szkolenia agentów trwały w listopadzie 2017 roku. W grudniu złapani zostali pierwsi inwigilowani.

Ofiary Pegasusa: Misiewicz, Sławomir Nowak, Brejza

Szczegółowo ma opisać to raport sejmowej komisji śledczej, który spodziewany jest za miesiąc i w znacznej mierze już powstał. Jaka będzie jego teza? – Że PiS zakupił Pegasusa po to, by pod pozorem walki z przestępczością kryminalną inwigilować opozycję oraz wszelkich krytyków władzy – słyszę od jednego z członków komisji śledczej ds. Pegasusa.

Wśród inwigilowanych Pegasusem osób rzeczywiście znaleźli się przestępcy kryminalni bez koneksji politycznych. Program był instalowany między innymi na telefonach członków domniemanej mafii lekowej, o której tak chętnie Ziobro i jego współpracownicy opowiadają. Ale pierwszymi osobami byli politycy. Wynika to z listy numerów, na których był instalowany Pegasus, do którego wgląd miała „Wyborcza”, będącą w międzynarodowym konsorcjum śledczym „Pegasus Project”.

Listę otwiera Bartłomiej Misiewicz, były rzecznik i zaufany człowiek ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza, wraz z dawnym posłem PiS Mariuszem Antonim K. Obydwaj byli inwigilowani Pegasusem od grudnia 2017 przez nieco ponad miesiąc. Ciążą na nich zarzuty powoływania się na wpływy w instytucjach państwowych w zamian za załatwienie korzyści.

Kilka dni później, wciąż jeszcze w grudniu 2017 roku, „zapięty” został telefon Sławomira Nowaka, przed laty zaufanego współpracownika Tuska, który odpowiada dzisiaj w procesie o przyjęcie łapówek, gdy po odejściu z polskiej polityki wskutek „afery zegarkowej” stał na czele ukraińskiej Państwowej Służby Dróg Samochodowych Ukravtodor.

Agenci CBA inwigilowali jego telefon bardzo długo – aż do marca 2019 roku (choć zapewne z wieloma przerwami).

Tymczasem we wrześniu tego roku sprawa Nowaka – dotycząca polskiego wątku Ukraińców i rzekomego domagania się łapówek, w czasie gdy był szefem gabinetu politycznego Tuska – została umorzona. To o tym dużo mówił Ziobro przesłuchiwany przed sejmową komisją śledczą do spraw Pegasusa pod koniec września. Twierdził wówczas, że sprawa została „skręcona” przez prokuraturę, bo do jej umorzenia nie było podstaw.

Dla Ziobry proces Nowaka i jego skazanie byłby politycznym złotem, bo prowadziłby wprost do Tuska. Można by snuć kolejne domysły i formułować oskarżenia o korupcję wobec obecnego premiera – a to przecież coś, na czym Ziobro zbudował swoją partię i cały dotychczasowy kapitał polityczny.

W kwietniu 2018 roku zainfekowany został telefon Krzysztofa Brejzy, a chwilę później jego ojca Ryszarda Brejzy oraz Magdaleny Łosko, ówczesnej asystentki posła, która dzisiaj sama zasiada w Sejmie.

Sprawa o rzekomą defraudację środków publicznych przez Brejzów była od początku lipna i opierała się na pomówieniach byłej działaczki PiS. Zorientowali się w tym sami agenci CBA, którzy po trzech latach od wszczęcia sprawy operacyjnego rozpracowania „Jaszczurka” zaczęli ewakuować się ze służby, częściowo znajdując zatrudnienia na ORLEN-owskich posadach.

Podległa Ziobrze prokuratura dokonywała legislacyjnych cudów, byle tylko postawić zarzuty Brejzom. We wrześniu 2023 roku, miesiąc przed wyborami, gdańska prokuratura wniosła nawet o uchylenie immunitetu Krzysztofowi Brejzie. W reakcji jeden z prokuratorów nadzorujących sprawę podał się do dymisji.

Ostatecznie młodszy z Brejzów – podsłuchiwany w 2019 roku, gdy był szefem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej – nie usłyszał nigdy żadnych zarzutów. A śledztwo wobec jego ojca zostało umorzone pod koniec zeszłego roku, zarzuty zaś wycofane. Dodatkowo wobec nadzorującej sprawę gdańskiej prokurator regionalnej z polecenia Ziobry wszczęto postępowanie dyscyplinarne za przekroczenie uprawnień.

Hyundai kontra Pesa. Tramwajem dopaść Trzaskowskiego

W sprawie Pegasusa przewija się jeszcze jedna polityczna sprawa, o której do tej pory nie było głośno. To próba złapania na korupcji ludzi ze stołecznego ratusza, którym kieruje prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

Na początku lipca 2022 roku media obiegrała wiadomość, że do siedziby Tramwajów Warszawskich weszli agenci CBA i zażądali materiałów związanych z nadzorem nad spółkami miejskimi. Mało kto wiedział, że kontrola CBA przetargu na dostawę tramwajów, który wygrał koreański Hyundai, trwała już prawie czwarty rok.

Wiosną 2018 roku agenci zainstalowali Pegasusa na telefonie Marcina Jędrzycki, przedstawiciela Hyundai Rotem, a także jednego z wysokich urzędników Tramwajów Warszawskich. Trzecią inwigilowaną osobą był lobbyist Andrzej Długosz.

Pegasusa na jego telefonie agenci CBA próbowali instalować jeszcze w styczniu 2018 roku, aż zorientowali się, że to stara Nokia, na której to niemożliwe. Dopiero dwa miesiące później zdobyli drugi numer telefonu – na smartfonie. Z naszych informacji wynika, że system łączył się z urządzeniem Długosza 61 razy.

CBA sądziło, a być może raczej wierzyło, że w ratuszu doszło do korupcji. Przeczyło to logice, choćby z tego powodu, że oferta Hyundai była tańsza od Pesy o 500 mln zł. Mimo to śledztwo trwało aż siedem lat. Jak poinformował nas Michał Binkiewicz, rzecznik prokuratury regionalnej w Katowicach, dopiero 18 sierpnia tego roku zostało umorzone „wobec

braku danych dostatecznie uzasadniających popełnienia czynów zabronionych”.

Marcin Jędrzycka, dawny przedstawiciel Hyundai, mówi: – Byłem w tej sprawie przesłuchiwany przez prokuratora w lipcu tego roku. Odniosłem już wtedy wrażenie, że to zwykła formalność zmierzająca do zamknięcia sprawy.

Długosz do dzisiaj nie jest pewien, czy CBA podsłuchiwało go w sprawie Hyundai, czy może doradzania jednemu z zagranicznych inwestorów w sprawie nabycia kopalni na Śląsku, co mogło rządzącemu PiS politycznie nie na rękę. – Liczę, że prokuratura wyjaśni sprawę mojej inwigilacji – mówi.

Jedną z najbardziej ewidentnych politycznych spraw była inwigilacja Pegasusem w latach 2018-19 Jacka Karnowskiego, o czym Wyborcza” napisała jako pierwsza. Ówczesny prezydent Sopotu nie został wtedy o nic oskarżony ani nawet przesłuchany jako świadek.

Jego sprawę prowadziła warszawska delegatura CBA. W czerwcu tego roku Prokuratura Krajowa postawiła zarzut przekroczenia uprawnień byłemu dyrektorowi warszawskiej delegatury CBA i szefowej wydziału operacyjno-śledczego. Chodziło o fabrykowanie wniosków o kontrolę operacyjną, które były kierowane do sądów w sprawie Karnowskiego.

PiS długo forsował narrację, że wszystkie kontrole operacyjne były prowadzone zgodnie z prawem, bo zatwierdzali je sędziowie. Sprawa Karnowskiego przeczy jednak tej tezie, bo prokuratura twierdzi dzisiaj, że to, co w tym przypadku wpisywali do niej agenci, albo było naciągane, albo w ogóle niezgodne z prawdą.

Czy oficer może oszukać sędziego? Ziobro zna słabe strony wymiaru sprawiedliwości

O tym, że służbom łatwo wprowadzać sędziów w błąd, mówił mi w 2022 roku jeden z agentów pracujących nad „sprawą” Krzysztofa Brejzy, gdy zbierałem materiał do książki „Polska na podsłuchu”. Usłyszałem wtedy, że „papier wszystko przyjmie”, a tylko od inwencji piszącego wniosek zależy, czy przejdzie przez sąd.

– Myślisz, że sędziowie weryfikują, co się znajduje w tych dokumentach? – usłyszałem.

Statystyki pokazywały już wtedy, że nie weryfikowali – w 2022 roku warszawski sąd okręgowy „klepnął” wszystkie wnioski o kontrolę operacyjną, jakich chciało CBA.

O tym, dlaczego tak się działo, mówił w październiku tego roku Ireneusz Szulewicz, przewodniczący wydziału karnego w warszawskim sądzie okręgowym. Jego przesłuchanie przed sejmową komisją przeszło w mediach bez echa, choć Szulewicz wyraźnie potwierdził, że sądowa kontrola nad tym, co robią służby jest w zasadzie fikcją.

– Realnie nie mamy możliwości weryfikacji tego, co jest we wniosku. Działamy w zaufaniu do tego, co nam przedstawia służby – mówił Szulewicz.

Nie jest jednak prawdą, że sędzia nie ma możliwości weryfikacji tego, co służby wpisały we wniosku o kontrolę operacyjną. Sędzia – jeśli ma wątpliwości – może wezwać oficer, który składał wniosek i zażądać dodatkowych szczegółów. Tyle, że – jak stwierdził Szulewicz – i tak by to nic nie dało, bo oficer mógłby przedstawiać swoją wersję wydarzeń. Naprawdę? Czy doświadczony sędzia nie jest w stanie wyczuć, że osoba stojąca przed nim fabrykuje zeznania i nie podejmuje próby, by to sprawdzić?

Ziobro, który był architektem tego systemu, z pewnością znał słabe strony wymiaru sprawiedliwości.

Do rozpoznawania wniosków służb specjalnych ustawa przewiduje tylko jeden sąd – Okręgowy w Warszawie. Sędziowie mają tam do przejżenia rocznie po kilka tysięcy wniosków – dziennie może być ich nawet 40. To daje 12 minut na rozpatrzenie jednego wniosku, często o skomplikowanej materii. – Niektóre mają po 8-10 stron uzasadnienia. Po dwóch-trzech godzinach pracy, nawet

z przerwą, mózg tak się lasuje, że trudno dłużej efektywnie pracować. A przecież jest presja, by te wnioski rozpatrzyć jak najszybciej – mówił mi w „Polsce na Podsłuchu” sędzia Piotr Gąciarek.

Przy okazji badania sprawy Krzysztofa Brejzy agenci opowiadali mi, że dla żadnego z nich nie było tajemnicą, który z sędziów ma dyżur w Sądzie Okręgowym. I ze składaniem wniosków o inwigilację czekali do czasu, aż znajdzie się bardziej przychylny.

Kto miał wiedzę o tym, który z sędziów w warszawskim Sądzie Okręgowym rozpoznaje wnioski służb w kancelarii tajnej? Według Szulewicza nie wiedział o tym nawet prezes sądu, a sędziowie ustalali dyżurowanie między sobą.

Zbigniewowi Ziobrze prokuratura chce postawić 26 zarzutów. Byłemu ministrowi sprawiedliwości grozi do 25 lat więzienia za kierowanie grupą przestępczą

Był jednak jeden wyjątek. Nieoczekiwanie w listopadzie 2017 roku – czyli tuż przed tym, jak służby zaczęły używać Pegasusa – weszło rozporządzenie, które nakazywało akceptację grafików sędziów przez wiceprezesa Sądu Okręgowego do spraw karnych. Tak się składało, że był nim akurat wtedy Dariusz Drajewicz, zaufany Ziobry. Niedawno okazało się też, że Drajewicz wydał zgody na inwigilację Pegasusem Romana Giertycha, uchylając zgodę innej sędzi rozpoznającej sprawę przed nim. System stworzony przez Ziobrę działał w najlepsze.

Święczkowski kopiuje nagrania Giertycha

Giertych jest dzisiaj jednym z poszkodowanych w sprawie Pegasusa, którą prowadzi Prokuratura Krajowa. Jego sprawa jest najciekawsza z punktu widzenia zrozumienia organizacji, którą stworzył Ziobro do spółki z koordynatorem służb specjalnych, a później szefem MSWiA Mariuszem Kamińskim i jego prawą ręką Maciejem Wąsikiem.

Jak pisał Wojciech Czuchnowski w „Wyborczej”, wbrew prawu materiały operacyjne z kontroli Giertycha – czyli po prostu zapisy podsłuchów – nielegalnie kazał sobie skopionąć Bogdan Święczkowski, ówczesny zastępca Ziobry. A nagrania z rozmów, które prowadził Giertych, były później publikowane w prawicowych mediach.

To dowód na instrumentalne traktowanie służb do celów politycznych. Święczkowskiemu prokurator chciał za wynoszenie materiałów postawić zarzuty, ale chroni go immunitet jako przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego. Były zastępca Ziobry okazał się znacznie sprytniejszy od pryncypała, który musi ukrywać się u Orbana.

Święczkowski tymczasem w sprawie Pegasusa pełnił rolę tyczącego. To on był taranem, który niszczył opór służb przed używaniem tego oprogramowania. Gdy policja zwracała uwagę, że jest zbyt inwazyjne i za daleko sięga w głąb wolności obywatelskich, Święczkowski prowadził pisemne wywody świadczące, że wcale tak nie jest i powoływał się na chwalebny przykład interpretacji prawnych CBA, które takich wątpliwości nie miało.

Dla ówczesnie rządzących nie liczyły się wątpliwości ABW, która zwracała uwagę, że system nie jest szczelny, bo dane zbierane za pośrednictwem Pegasusa lądują na izraelskich serwerach. Potwierdził to pod koniec września w swoich zeznaniach Ziobro, który przyznał, że analizy prawne w tej sprawie pochodziły od Święczkowskiego. – Ufałem jego kompetencji – zeznał, wsypując dawnego zastępcę.

Agnieszka Kwiatkowska-Gurdak wbrew zapowiedziom Tuska

Raport komisji, która go przesłuchiwała, ma ukazać się w grudniu. Jak słyszę, nie należy jednak spodziewać się wielkich sensacji. Powodem jest fakt, że wiele dokumentów wciąż nosi klauzulę „tajne” lub nawet „ściśle tajne”. A służby nie zamierzają jej znieść, tłumacząc to względami bezpieczeństwa państwa.

To jednak również wygodne tłumaczenie służące ukryciu tego, co dla służb może być niewygodne. Świadczy o tym przykład Agnieszki Kwiatkowskiej-Gurdak, poprzedniej szefowej CBA, która nie udostępniała sejmowej komisji śledczej niemal żadnych informacji, a jeśli już na to się godziła, to dopiero pod naciskiem politycznym.

Kwiatkowska-Gurdak była ostatnią agentką prowadzącą sprawę Brejzy i to tej sprawie zawdzięcza awans na szefową CBA po odsunięciu od władzy Zjednoczonej Prawicy.

Wykryła nieprawidłowości i polityczne motywy, które stały za inwigilacją Krzysztofa Brejzy oraz jego ojca. Zostając szefową Biura, miała przyczynić się do oczyszczenia służby i wyjaśnienia sprawy Pegasusa.

W rzeczywistości zbudowała wokół siebie bizancjum i zakonserwowała istniejący układ.

Oficjalne deklaracje, że za jej rządów doszło do wymiany 80 procent kadry kierowniczej w CBA, okazały się naciągane. Owszem, zmieniły się nazwiska dyrektorów i naczelników, ale najczęściej w ramach przesunąć i wewnętrznych awansów.

Swoim doradcą do spraw międzynarodowych zrobiła Daniela K., byłego wiceszefa Biura za czasów PiS. K. był wtedy politycznie użyteczny, pod koniec października usłyszał zarzuty za wyniesienie piętnastu płyt DVD z korespondencją adwokacką Romana Giertycha, pozyskaną za pomocą Pegasusa i przekazanie jej Bogdanowi Święczkowskiemu.

Gdy sprawa z nominacją K. się wydała, musiał odejść ze służby, ale Kwiatkowska-Gurdak i tak blokowała jego wystąpienie przed sejmową komisją śledczą. Choć rząd Tuska zapowiadał likwidację CBA, przynajmniej część jej decyzji była z tym planem sprzeczna.

Biuro podpisywało umowy o współpracy z uczelniami wyższymi i inwestowało pieniądze w gadżety i informatory, w których na pierwszej stronie witała w swoim gabinecie nowa szefowa Biura.

Polega dopiero w lutym tego roku, gdy musiała sama przed nią zeznawać. Przyszła na posiedzenie z byłym rzecznikiem CBA za czasów PiS. Pozwalała mu na aroganckie zachowanie względem komisji, sprawiając wrażenie, że się dobrze bawi. Wtedy została zmuszona do odejścia ze służby.

Kwiatkowska-Gurdak miała być nadzieją na zmiany i audyt w CBA, a okazała się wielkim rozczarowaniem.

Immunitet Ziobry. Śledztwo w sprawie Funduszu nie jest nowe

Najbardziej odczuwalny zwrot w sprawie Pegasusa nastąpił teraz, za sprawą decyzji prokuratury, która wystąpiła o uchylenie immunitetu Ziobry w związku z nieprawidłowościami w wydatkowaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Były minister sprawiedliwości i prokurator generalny rozpala teraz emocje, bo nie ma odwagi wrócić do Polski i stawić czoła zarzutom, ale w rzeczywistości Prokuratura Krajowa pracuje nad śledztwem od dawna.

Sporo wie o tej sprawie ma również sejmowa komisja śledcza. – Znamy cały mechanizm i wiele szczegółów interesujących dla opinii publicznej. Tyle że to materiały niejawne i nie możemy się nimi dzielić – rozkłada ręce jeden z członków komisji.

Czy uda się rozwiązać sprawę Pegasusa przed kolejnymi wyborami? Śledztwo Prokuratury Krajowej jest ponoć zaawansowane, choć wraz ze sprawą Giertycha doszły nowe okoliczności i konieczność przesłuchania nowych świadków. Zespół nr 3 liczy obecnie czterech prokuratorów, bo jeden z nich przeszedł ostatnio w stan spoczynku. ●



Arbuzowe Aniołki Sauszy

Białoruskie miss, sportsmenki i urzędniczki miały być „najlepszą bronią dyplomatyczną” reżimu. Ale u Łukaszenki pod przykrywką kobiecej dyplomacji kwitnie feudalizm pełną gębą.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Lato 2022 roku było wyjątkowe i w rejonie smolewickim w gospodarstwie Ozierickoje-Agro dojrzewały okazałe arbuzy. Jeden z nich osiągnął 17,5 kilograma i zaistniał w mediach. Ale ten olbrzym wcale nie był najcenniejszym okazem, jaki trzymał w rękach Łukaszenka.

Prezydent ma bowiem wyłącznie dla siebie „arbuzowy batalion”. Pochwalił się nim 29 sierpnia 2019 roku, zaraz po wizycie w Mińsku doradcy Trumpa, Johna Boltona. I od razu po spotkaniu udał się na pole. Towarzyszyły mu dziewczyny młode, atrakcyjne, ubrane w letnie sukienki i sportowe stroje. Na miejscu z uśmiechem podawały arbuzy. Wśród nich były dobrze znane już wtedy: rzeczniczka prezydenta Natalia Ejsmont, gimnastyczka Ksienia Sankiewicz, czy aktorka Marta Hołubiewa, zapamiętana m.in. z serialu „Chcę

być szczęśliwa”. I jeszcze z dziesięć innych, niebawem szerzej zaprezentowanych Białorusinom.

Nie był to jednorazowy happening i Łukaszenka regularnie pojawia się wśród arbuzowego batalionu, bo tak przyjęło się nazywać grupę kobiet, asystującą mu nie tylko przy zbiorach, ale i podczas uroczystości, balów, meczów hokejowych czy zagranicznych wojaży. Są starannie dobrane: to często zwyciężczynie lub finalistki konkursu Miss Białoruś, sportsmenki, studentki elitarnych uczelni, śliczne urzędniczki.

Ich znakiem rozpoznawczym jest właśnie arbuz. Kiedy w lipcu zeszłego roku Eleanora Kaczalousskaja, Miss Białorusi 2023 opublikowała w serwisach społecznościowych zdjęcia z wakacji na okupowanym Krymie, na jednej z fotografii w stroju kąpielowym trzyma w rękach oczywiście arbuza.

Mechanika władzy: Trujillo, Kadafi, Breżniew
Aby przybliżyć się do fenomenu arbuzowego batalionu, sięgniemy do historycznych modeli, w których kobiety

stawały się ważnym, by nie rzec centralnym elementem spektaklu władzy. Porównanie trzech różnych – prawicowej dyktatury Rafaela Trujillo, eklektycznego reżimu Mu’ammara Kaddafiego oraz sowieckiego modelu z czasów Breżniewa – ukazuje, jak odmienne ideologie mogą prowadzić do podobnej instrumentalizacji.

W przypadku Trujillo, rządzącego w Dominikanie od 1930 do 1961 roku, motywacja miała charakter wyraźnie klasowy i teatralny, by nie rzec, karnawalowy. Badaczka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, Lauren Derby opisuje, że jego władza „była oparta w równym stopniu na pożeraniu kobiet podczas podbojów seksualnych, jak i na pożeraniu wrogów państwowych”. Status machismo i „tigra” były tu fundamentem. Zdobywał kobiety z arystokracji, które wcześniej nim gardziły i tak nie tylko zaspokajał żądze, ale dokonywał symbolicznego podboju klasowego.

Równocześnie – konstatuje Lauren – kobiety były najcenniejszymi rekwizytami. W 1955 roku, podczas święta z okazji 25-lecia rządów, ukoronował wła-



• **Kobiety, które towarzyszą Łukaszenko są starannie dobrane: uroda + osiągnięcie. Maryja Wasilewicz z którą tańczy na balu sylwestrowym w Pałacu Niepodległości w Mińsku – to Miss Białorusi z 2018 r., a potem najmłodsza deputowana. Miała 22 lata, kiedy prezydent kazał ją wybrać do parlamentu**

FOT. PRESS SERVICE OF THE PRESIDENT OF THE REPUBLIC OF BELARUS

sną córkę Angelitę. Była żywym symbolem przepychu i potęgi ojca. Promowanie kochanek na królowe karnawału i wystawianie ich podczas oficjalnych ceremonii służyło zaś nie tylko zaspokojeniu jego ego, ale także demonstracji całkowitego panowania nad polityką, porządkiem społecznym i moralnym. Kobiety były żywymi trofeami, dowodząc, że dawni panowie stali się elementem scenografii. Ten wymiar władzy Trujillo opisał Mario Vargas Llosa w „Święcie kozła”.

Kadafi stworzył model bardziej złożony i na pierwszy rzut oka sprzeczny. Oficjalnie głosił wyzwolenie kobiet, a kobieca gwardia przyboczna – tzw. Amazonki – miała ugruntować jego wizerunek postępowego i rewolucyjnego przywódcy. W praktyce między oficjalnym dyskursem a rzeczywistością istniała przepaść. Rekrutacja do elity często wiązała się z przynusem, wykorzystywaniem seksualnym i instrumentalnym upokorzeniem. Kadafi połączył więc wizerunkową modernizację, mającą przemawiać do Zachodu, z mechanizmem zaspokajania własnych popędów.

Czytelnicy „Naszej Niwy”, największej opozycyjnej gazety na Białorusi, byli jeszcze dosadniejsi: **„Wybrał sobie kolejną, pożera je jak cukierki”**, „To przetarg na dostawę świeżego mięsa dla dworu”



• **Prezydent Łukaszenka zbiera arbuzy w towarzystwie swojego atrakcyjnego arbuzowego batalionu (29.08.2019)**

FOT. PRESS SERVICE OF THE PRESIDENT OF THE REPUBLIC OF BELARUS

A równocześnie kobiety i relacje intymne z nimi stały się narzędziem kontroli i szantażu wobec elit. Formalne przywileje były iluzoryczne, uzależnione wyłącznie od lojalności wobec przywódcy.

W radzieckim modelu z czasów Breżniewa kobieta nie była trofeum, lecz trybikiem w maszynie państwowej. Jej ciało, praca i macierzyństwo zostały podporządkowane interesom systemu. Jako przodowniczka pracy, matka-bohaterka czy „nowa obywatelka” służyła masowej legitymizacji reżimu. Jej wartość określała nie osobista przychylność wodza, lecz przydatność dla ideologicznej narracji państwa. A jednocześnie była też niejaka Nina Korowiakowa, dodajmy – nie żona, którą Breżniew nie podzieliłby się z kolegą.

Białoruski arbuzowy batalion jest hybrydą tych modeli. Nie buduje się tu mitu nowej kobiety – jak u Breżniewa, nie dokonuje klasowych podbojów – jak u Trujillo, nie inwestuje w iluzję emancypacji – jak u Kadafigo. Tu kobieta przestaje być reprezentantką państwa, klasy czy ideologii, staje się znakiem przynależności do władcy, żywym potwierdzeniem dominacji dyktatora. A jednocześnie rodziny i prowincjonalni promotorzy są wciągani w system zależności. Awans córki czy podopiecznej jest jak kredyt zaciągnięty u mafii i tak Łukaszenka oplata siecią całe grupy społeczne, od małych miasteczek po stołeczne elity.

Przy czym w samym centrum tego systemu są proste mechanizmy. Powiedzielibyśmy – parafrazując Derby, która pisała o Trujillo – wszystko zaczyna się od pożarcia arbuza.

Casting czy catering?

Finał konkursu Miss Białoruś 2025 mógłby uchodzić za zwykłe święto urody, gdyby nie szczegóły. Podczas finału uczestniczki prezentowały się w koszulkach, na których wypisano cytaty z Łukaszenki: „Kobiety są naszą najlepszą bronią dyplomatyczną”, „Powołanie kobiety to upiększanie świata” i „Białoruskie kobiety to prawdziwe pracownice”. To nie przypadkowe slogany, lecz – jak się może zdawać – credo systemu, który wprost ma wiązać kobiece piękno z polityczną misją.

Mechanizm wykorzystuje postsowieckie instytucje, rytuały i estetykę, ale w istocie ma charakter głęboko osobisty, a nie postsowiecki. W Związku Radzieckim kobieta była wszak symbolem państwa, na Białorusi piękno kobiet stało się atrybutem przynależnym władzy Łukaszenki. Oficjalne materiały prasowe, jak ten opublikowany przez agencję BiełTA, pełne są sformułowań wiążących sukces kobiet z przychylnością władzy. Jednocześnie cytowano ministra kultury Rusłana Czerneckiego: „To doskonała szansa, by pokazać całemu światu, jak u nas wszystko jest wspaniale i jakie białoruskie dziewczyny są najlepsze”. Nowa miss, Alona Kuczeruk, miała mówić: „Uważam, patrząc na mój przykład, że Białoruś to kraj możliwości”. W tym oficjalnym dyskursie mieszały się więc dwie narracje – z jednej strony może mniej wyeksponowana, że najpiękniejsze kobiety towarzyszą Łukaszenko, a z drugiej – że piękne kobiety to soft power kraju.

Podobny entuzjazm panował w komentarzach pod transmisją rządowej telewizji Capital TV: „U nas na Białorusi wszystkie imprezy przebiegają godnie. Wszystkie dziewczyny to piękności”, „Jaki wspaniały konkurs piękności na Białorusi!!! Reżyserom i wszystkim, którzy brali udział w tej pracy, wielkie dzięki!!!”.

Zdarzały się jednak i głosy mniej pochwalne, sugerujące, że za fasadą spontaniczności i elegancji kryje się wyreżyserowany spektakl, a ostateczny werdykt to element szerszego planu: „Mnie ciekawi, kto decyduje, która dziewczyna pod jakim numerem będzie występować”, „Wszystko to bardzo wspaniale, ale pytania do widzów to przesada [tegoroczna edycja zakładała ich udział], wszystko ustawione, tylko chyba głupi nie zrozumie”, „Zepsuto wrażenie uczciwości”.

Czytelnicy „Naszej Niwy”, najważniejszej gazety opozycyjnej w Białorusi, byli jeszcze dosadniejsi. „Wybrał sobie kolejną, pożera je jak cukierki”, „To nie konkurs, to przetarg na dostawę świeżego mięsa dla dworu” – komentowali pokonkursowe artykuły.

Coitus interruptus

Oto sześć portretów dziewcząt Łukaszenki, choć dałoby się przygotować ich trzy razy tyle, a i to nie byłby pe-

len rejestr. Ich historie odsłaniają prawidłowości, które wierczyłyaby naturalna pointa. Za każdym razem musieliśmy jednak opowieść przerwać. Nie ma weryfikowalnych relacji świadków lub bezpośrednich uczestników. I choć dla Białorusinów pewne rzeczy są oczywiste, my nie znaleźliśmy historii „spod koldry”. Granica między faktem a domysłem pozostaje nienaruszona, stosunek – przerywany.

Maryja Wasilewicz: od miss do deputowanej

Punktem wejścia był dla niej konkurs Miss Białoruś w 2018 roku, który wygrała. 22-letnia wówczas Maryja, absolwentka ekonomii, szybko stała się żywym symbolem reżimu. Jej awans był niewytłumaczalny w standardowych kategoriach kariery politycznej. W 2019 roku, pomimo publicznych wątpliwości szefowej Centralnej Komisji Wyborczej Li-dii Jermoszyny co do „dojrzałości” kandydatki, Wasilewicz została deputowaną. Sam Łukaszenka ostro krytykował sceptyków: „Zawsze mówimy: młodzież to nasza przyszłość, przed młodzieżą – wszystko. A ilu młodych wystartowało? Pięcioro? [...] Ale oni wiedzą to, czego my nie wiemy, oni wiedzą to, co wie młodzież!”.

Maryja nie mogła więc nie zostać wybrana do izby reprezentantów i tam przygotowała projekt ustawy „O odpowiedzialnym traktowaniu zwierząt”. Bywała u boku prezydenta na meczach hokeja, gdzie ten publicznie ją obejmował. Podróżowała z nim zagranicę. W 2020 roku, w szczytowym momencie opozycyjnych protestów, odwiedziła pobitych demonstrantów w szpitalu i miała powiedzieć: „Jako przedstawicielka władzy państwowej – chociaż może nie mam do tego uprawnień – przynosiłam ludziom przeprosiny za doznane przez nich obrażenia. [...] po ludzku jest mi bardzo, bardzo przykro”.

O drugą kadencję w parlamencie nie pozwolono jej już się ubiegać. Insiderzy wskazują, że jej pozycja osłabła wraz z pojawieniem się nowych faworyt. Po zakończeniu kadencji związała się z biznesem farmaceutycznym, założyła spółkę Amalem. Firma, bez historii finansowej, otrzymała kredyt, równowartość 1,7 mln zł. Co zyskała? Mieszkanie w Mińsku, samochód, pozycję. Co straciła? Autonomię – stała się przedmiotem powszechnej oceny. I spokój – w 2020 roku nieznani sprawcy zniszczyli jej SUV-a Geely Atlas. Mówiła później, że nie czuje złości do sprawców, lecz „próbuję zrozumieć motywację człowieka”.

Uładziena Zajcewa: od celniczki do „oficerki” protokołu

Finalistka Miss Białoruś 2021. Karię zaczęła w mundurze inspektor Mohylewskiej Służby Celnej. Z celniczki stała się „oficerem” – tak określono ją w oficjalnej delegacji na szczyt klimatyczny w Dubaju w 2023 roku. To ona, wraz z ekshokeistą Dmitrym Baskowym, należała do grupy czterech osób, które na stojąco oklaskiwały przemówienie Łukaszenki, reszta sali milczała.

Towarzyszyła Łukaszence na święcie Kupali czy balach noworocznych i podkpiwano, że stała się obowiązującym elementem protokołu dyplomatycznego. Jej życie prywatne toczy się między drogimi mińskimi restauracjami – Lebiażij na śniadania, Bierozka na kolacje – a wyjazdami do Moskwy, gdzie miała spędzić ostatniego sylwestra. Z mediów społecznościowych usunęła wideo, na którym ponoć było słyhać, jak w barze karaoke w Mohylewie śpiewała fałszując „Oj, łuk-luczok, złototaja łukowka” – ludową piosenkę o złotej cebuli, po rosyjsku „łuk”, co trudno nie uznać za aluzję do Łukaszenki.

Co zyskała? Przepustkę do ścisłej elity. Co straciła? Anonimowość i możliwość kariery poza systemem. Groteska jej historii objawiła się w komentarzach internautów, którzy na widok jej tańca z wicepremierem Iharem Pietrysenką na balu w 2024 roku pytali: „Cóż to, zdegradowano oficerkę Zajcewą?”.

Światłana Kanaszonak: władza przez intymność

Tym razem to nie finalistka konkursu miss. Medyczka Światłana Kanaszonak została osobistą lekarką Łukaszenki i tak znalazła się w centrum władzy. Jej rola wykraczała daleko poza obowiązki zawodowe. To jej powierzono opiekę nad Pupsiem, szpicem miniaturowym Łukaszenki. Na oficjalnych zdjęciach z balu w 2024 roku widać ją, jak w paradowej sukni wchodzi pod ramię z wicepremierem administracji prezydenta, Uładzimierem Piercawem. Jej atutem jest absolutna dyskrecja, dzięki czemu ma dostęp do najintymniejszych sfer życia przywódcy.

Nazwisko Kanaszonak pojawia się także w kontekście biznesu – była współwłaścicielką salonu kosmetycznego Iris, który później przekształcił się w Antiage Clinic, należący już do jej następczyni, nowej osobistej lekarki Łukaszenki, Jeleny Kazak. Tam elita reżimu za państwowe pieniądze korzysta z zabiegów medycyny estetycznej i luksusowych terapii.

Co zyskała Kanaszonak? Pozycję nieukalnej. I pewnie miłość Pupsika. Co straciła? Poza zawodowym prestiżem, niewątpliwie spokój. Dostęp do najtajniejszych informacji o stanie zdrowia 71-letniego mężczy-

Później tańczyła w rosyjskim Brińsku na koncercie rockowego Lube. W życiu prywatnym również preferuje restaurację Lebiażij oraz podróże do Paryża, który nazywa „szczęściem”, a nie „zaszczanym miastem”, jak głosiła w 2023 roku mińska propaganda. Co zyskała? Pracę pogodynki w państwowej telewizji, samochód, chwilową sławę. Co straciła? M.in. wizerunek osoby inteligentnej.

Karina Kisiałowa: ta, która wypadła z karuzeli

Absolwentka Moskiewskiego Instytutu Lotniczego, uczestniczka m.in. konkursów Miss Eco International oraz Miss Earth. Pod koniec września 2024 roku ogłosiła, że wygrała narodowy konkurs Miss Universe Belarus, który sama podobno zorganizowała po zakupieniu licencji od organizatorów światowych. Ale zamiast do Meksyku na finał, trafiła do aresztu. Śledztwo toczyło się w sprawie сутenerstwa oraz oszustw. Oficjalnie nikt nie potwierdził tych zarzutów, choć sam Łukaszenka podpisał dekret, który od 1 marca 2025 roku wyłączała na organizację konkursów z użyciem słów „Białoruś” oraz „białoruski” przynajmniej Narodowej Szkole Piękna.

Na Białorusi przyjął się model rajfura – prowincjonalni decydenci zaczęli szukać najpiękniejszej w swoim regionie, zakładzie, departamencie, by zwrócić na siebie uwagę Mińska

zny czyni z niej idealną zakładniczkę. To więź silniejsza niż jakakolwiek umowa – bo oparta na strachu przed ujawnieniem tajemnic, które mogłyby obalić mit potęgi starzejącego się władcy.

Eleanora Kaczałouskaja: miss w epoce sankcji

Dla tej Miss Białoruś 2023 bonusem była Narodowa Szkoła Piękna, gdzie pracowała jako menedżerka. Jej awans był gwałtowny i przypadł na czas, gdy reżim, odizolowany na międzynarodowej arenie, potrzebował nowej, świeżej twarzy. Kaczałouskaja, po tym jak pierwotna zwyciężczyni krajowych eliminacji do Miss Universe – Karina Kisiałowa – trafiła do aresztu (o czym niżej), zajęła jej miejsce i poleciała na finał do Meksyku.

Jej droga usiana jest farsowymi incydentami. Podczas finału Miss Białoruś nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, kto napisał „Pau-linkę”, sztukę uważaną za narodową świętość, pióra Janki Kupali; na marginesie utwór oddaje dramatyzm białoruskiego inteligenta, który musi odnaleźć się między polską a rosyjską kulturą, choć bynajmniej nie jest to krytyka Polski. Później Kaczałouskaja tłumaczyła w telewizji: „W tej sekundzie mój świat po prostu runął. To taki ogromny publiczny wstyd”.

To ona pozowała w zeszłym roku na Krymie z arbuzem i odgryzała się Ukraińcom w komentarzach. Na aluzyjne pytanie, czy arbuz też jest kradziony, Eleanora odpowiedziała: „biedny człowieku”. Inna osoba po ukraińsku wytknęła: „To Ukraina i nie jesteście miłe widziani na naszej ziemi”. Dziewczyna odpisała po rosyjsku: „Niestety wy [tj. Ukraińcy] nie jesteście nigdzie miłe widziani”.

Kisiałowa wyszła na wolność w lipcu 2025 roku. W swoim pierwszym poście w mediach społecznościowych napisała, że jej konto zhakowano, a w statusie umieściła zdanie: „Zwycięzców się nie sądzi”.

Co zyskała? Paradoksalnie na plus trzeba zaliczyć kilkumiesięczny pobyt w areszcie. Co straciła? Szansę na karierę przy Łukaszence. Jej historia odsłania prawdę o systemie: ten, kto próbuje grać własnymi kartami, odpada. Choć kto wie, czy nie wyjdzie to jej na dobre. Nie zrekrutowano jej do arbuzowego batalionu i ma szansę na normalne życie po Łukaszence.

Alena Kuczeruk: nowa geopolityka reżimu

Jej zwycięstwo w Miss Białoruś 2025 to najbardziej wymowny i zarazem najbardziej zaangażowany politycznie wybór w historii konkursu. Osiemnastoletnia studentka szkoły muzycznej z Nowopołocka, w przeciwieństwie do finalistek od lat kręcących się w orbicie władzy, była nową twarzą. Jednak jej pochodzenie natychmiast wywołało burzę. Urodziła się w Doniecku na Ukrainie, a na Białoruś trafiła w dzieciństwie. Podczas gali powiedziała: „Białoruś jest dla mnie przede wszystkim ojczyzną” oraz „Wydaje mi się, jakbym urodziła się tutaj”. Ale i tak odezwano się grono oburzonych. „Miss Białoruś powinna być rodowitą Białorusinką! To jakiś żart?” – pisał jeden z komentatorów. Inni dziwili się, że przecież w stawce były ładniejsze.

Jednak dla wtajemniczonych wybór Kuczeruk to nie przypadek, a celowy zabieg polityczny. Według jednej z interpretacji to sygnał, że Białoruś może być nowym domem dla uchodźców z ogarniętego wojną regionu.

Według innej, czarniejszej, może być zapowiedzią np. ingerencji militarnej Białorusi.

Co zyskała? Biżuterię, produkowanego na Białorusi BelGee X50 o wartości ok. 70 tysięcy złotych i bilet wstępu do elity. Co straciła? Ukraińską tożsamość i stała się narzędziem w rękach reżimu, który wspiera niszczenie jej pierwszej ojczyzny.

Pogonić feudała

Doszło do tego, że na Białorusi co chwila organizowane są przeróżne lokalne lub branżowe konkursy piękności. Przyjął się model rajfura – prowincjonalni decydenci zaczęli szukać najpiękniejszej w swoim regionie, zakładzie, departamencie, aby zwrócić na siebie uwagę Mińska. Kolejarze zorganizowali więc konkurs Piękna Kolei Białoruskich, służby celne – Miss Celnik, a nawet w jednej z najsurowszych kolonii karnych w Mohylewie wyłoniono „najpiękniejszą funkcjonariuszkę”.

Wśród finalistek była 18-letnia Ewelina Markarowa, która potem wzięła udział w eliminacjach Miss Białoruś 2025 i z dumą mówiła, że od dziecka jej marzeniem była praca w mundurze. Obecnie, jako młodsza sierżant, „siedzi w części dyżurnej i nadzoruje skazanych”. Jest „zachwycona” i ma „dobre relacje” z osadzonymi. W komentarzach internauci nazwali ją „sadystką”.

Równocześnie castingi, zarówno te centralne, jak i mniejszej rangi, zamiast pełnić funkcję selekcji, stały się nagrodą dla kobiet i ich promotorów. Sama Miss Białoruś 2025 była co prawda wyjątkiem, ale faktem jest, że już wśród finalistek znalazły się kobiety, które wcześniej krążyły w orbicie Łukaszenki – Daria Bazylewa, Witalia Żamko czy Krystina Bielskaja. Innymi słowy, szły tam jego faworyty, a ich pozycja była z góry ustalona przez dyktatora.

Kolejnym efektem jest postępująca instytucjonalizacja patologii. Jej symbolem jest wspomniana już Narodowa Szkoła Piękna. To swego rodzaju „pralnia” dla kobiet, które trzeba legitymizować. Dziś pani X jest dyrektorką szkoły, jutro – ekspertką w komisji konstytucyjnej. Szkoła nadaje cywilny, przyzwoity płaszcz karierom, których źródło jest jednoznaczne. W szerszej perspektywie dla państwa oznacza to erozję meritokratycznych mechanizmów, gdzie systemowo lojalność całkowicie zastąpi kompetencje, a piękna buzia i kształtna pupa są gwarancją awansu. Dla kobiet skutkuje to instrumentalizacją ich cielesności.

Tymczasem sytuacja demograficzna Białorusi jest zła. Liczba urodzeń jest półtora raza niższa niż w 2019 roku i 2024 roku w kraju zanotowano historyczne minimum – na 1000 osób przyszło na świat zaledwie 6,5 dziecka. To wynik gorszy niż na Litwie (7,7), a porównywalny jedynie z ogarniętą wojną Ukrainą (ok. 6,0) oraz – niestety – Polską (za pierwsze półrocze 2025 r. – 6,2). Kult pięknych kobiet nie ma zatem żadnego przełożenia na dzietność. Trudno też dostrzec w tym promocję rodziny, jak za czasów Breżniewa. Można za to zauważyć elementy zbieżne z systemem Kaddafiego – bo Łukaszenka wykorzystuje kobiety propagandowo, ale najbliżej mu do dominikańskiego kozła, „pożera-cza” arystokraty.

Inna rzecz, że biologia jest nieubłagana i mimo postępów medycyny, starzejący się dyktator nie będzie wiecznym Priapem. Sięga więc po model władzy, do którego mu najbliżej i który kompensuje jego kompleksy, tak jak niegdyś Trujillo. Tamten wybrał karnawałową maskaradę arystokraty, Łukaszenka – feudalny rytuał suwerena. W tym świecie *prima noctis* – prawo pierwszej nocy – nie musi być literalne. Wystarczy sam widok młodych kobiet, które dla kariery lub zmanipulowane stają się emblematami jego potęgi.

Nadzieja w tym, że na Białorusi Łukaszenka już dawno przestał reprezentować obywateli. Może młodsze pokolenie postawi na autentyczność, a nie sztuczną męskość i... przegoni feudała. ●

PALERMO *jak* NARKOTYK

Krzesła na wynajem, groby, w których pochowano kilkadziesiąt osób, karykatury inkwizytorów, sztuczne ognie o północy przez cały rok, przydomowe ołtarzyki, grillowanie cielecych jelit pod mostem na obwodnicy...

Agnieszka Kwiatek



1 • Słynny barokowy Plac Quattro Canti („Cztery narożniki”): cztery budynki po cztery kondygnacje, a na nich m.in. fontanny czterech pór roku i rzeźby patronów czterech dzielnic miasta. Nazywany także „teatrem słońca”, bo słońce oświetla każdą fasadę przynajmniej raz dziennie

Kiedy redaktorka „Wyborczej” zaproponowała mi napisanie tekstu o „mniej oczywistych miejscach” z Palermo, pomyślałam „przecież tu wszystko jest takie nieoczywiste i... od czego by zacząć i czego nie pominąć”. Wybór nie będzie łatwy.

W linii prostej Warszawę od Palermo dzieli 1677 km, niby nie dużo, a jednak wystarczająco daleko, żeby trafić do rzeczywistości zdecydowanie odmiennej i porywającej. Ja trafiłam tu w 2012 r. Wcześniej mieszkałam przez pięć lat w Neapolu, więc specyfika południowych Włoch nie była mi obca. Aklimatyzacja w Palermo nie była jednak bezbolesna. Dzisiaj, po latach, z radością pokazuję przybyšom lokalne cuda i objaśniam kwestie nieoczywiste. Na wyznaczonej trasie atrakcji nie może zabraknąć największego we Włoszech teatru opery Teatro Massimo, przepięknego placu Quattro Canti (fot. 1) imponującej fontanny na Piazza Pretoria czy promenady nadmorskiej. Potem zawsze stawiam właśnie na miejsca, których nie ma na pierwszych stronach przewodników.

Bloki z wielkiej płyty na cmentarzu

W kościołach pełno jest dzieł sztuki i grobowców zasłużonych postaci. Śmiem jednak twierdzić, że równie zdumiewające są dzieła sztuki na grobach mniej zasłużonych, którzy spoczywają na cmentarzach miejskich: Cimitero di Sant’Orsola czy Santa Maria Dei Rotoli

Cimitero di Sant’Orsola bezspornie można uznać za muzeum rzeźby pod gołym niebem lub przeniesiony do przestrzeni miejskiej album ze starymi fotografiami palermian.

Nagrobki są bogato zdobione i rzeźbiorne. Może to być np. marmurowy lew o rozmiarach prawdziwego lwa, otoczony żelaznym ogrodzeniem z mieczy, toporów i tarczy. Nad wieloma grobami wiszą latarnie z kutego żelaza, które kształtem i krętymi zdobieniami przypominają dawne latarnie uliczne. Niegdyś umieszczano w nich znicze, dzisiaj groby ozdabia się kwiatami, prawdziwymi bądź sztucznymi oraz sercami z plastiku.

Na cmentarzu Santa Maria Dei Rotoli najbardziej zachwyciła mnie rzeźba kłęczącej młodej kobiety, która wpatruje się w fotografię pochowanego tu młodego mężczyzny.

Przechadzając się po Sant’Orsola alejkami porośniętymi śródziemnomorską roślinnością, widzimy też jak zmieniały się portretowe trendy. Najstarsze zdjęcia są oprawione w owalne, pozłacane ramki, nowsze są umieszczone na marmurowych tabliczkach, które wyglądają jak kamienne strony ksiąg, a tym najnowszym daleko do dostojności dawnych fotografii i przedstawiają zmarłych w sytuacjach życia codziennego np. podczas plażowania.

Od lat mówi się, że mieszkańcy Palermo nie mają prawa umierać, bo brakuje tu miejsca na pochówki, a to tłumaczy, dlaczego w wielu grobach pochowanych jest aż kilkadziesiąt osób. (fot. 5)

Na placu w sercu cmentarza znajdują się groby najbardziej okazałe: rodzinne mauzolea, które świadczą o zamożności pochowanych w nich palermian. Te przepiękne budowle kontrastują ze wschodnią częścią cmentarza, która przypomina wielopiętrowe bloki mieszkalne.

Z daleka widzimy wielkie płyty podzielone na tysiące mniejszych a ich przeznaczenie nie od razu jest jasne. Z bliska wątpliwości już nie ma: to gigantyczne kolumniady, z drabinami na kółkach, dzięki którym można się dostać do najwyższych nisz z urnami. (fot. 4)



2 • 15 lipca to hucznie obchodzone święto patronki miasta Świętej Rozalii



3 • Miejska plaża w Mondello z widokiem na pobliskie góry

FOT. FRANCESCO MILITELLO MIRTO/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES FOT. AGNIESZKA KWIATEK

Z wizytą u inkwizytora

W Palermo nie wolno pominąć przepięknego placu Piazza Marina, który przylega do corso Vittorio Emanuele, czyli głównej arterii starówki. To taki miejscowy salon: jest tu jedna z siedzib burmistrza i rektorat Università degli Studi di Palermo. W środkowej części znajduje się zabytkowy park Villa Garibaldi, w którym można podziwiać dwa olbrzymie fikusy przywiezione z naukowych ekspedycji w Australii ponad 150 lat temu. Mają charakterystyczne korzenie powietrzne, które łatwo można pomylić z pniami.

Po ochach i achach nad imponującymi fikusami idziemy do dawnego więzienia i siedziby trybunału Świętej Inkwizycji na tyłach XIV-wiecznego gotyckiego Palazzo Steri. Teraz w pałacu odbywają się koncerty muzyki jazzowej, kongresy i spotkania. Bywali tu m.in. król Hiszpanii Filip VI oraz literaccy nobliści: Władysław Szymborska i Mario Vargas Llosa.

Aż trudno uwierzyć, że Piazza Marina była ongiś świadkiem publicznych egzekucji. Przypominają o tym więzienne cele, w całości pokryte napisami i rysunkami wykonanymi przez dawnych skazańców. Długo były zamalowane, ale w 2004 roku farbę usunięto i już można je zobaczyć. Więźniowie robili te inskrypcje mieszając mleko z białkiem jaj, więc dopiero z upływem lat nabrały ciemniejszych odcieni. Na ścianach są wiersze, opowieści i modlitwy w różnych językach: angielskim, hiszpańskim, włoskim, sycylijskim, i po łacinie. Są też rysunki i karykatury. Tych najbardziej dosadnych, ośmieszających hiszpańskich inkwizytorów, trzeba szukać z dala od drzwi i tam, gdzie już nie sięgał wzrok strażników.

Choć rok po zniesieniu Inkwizycji na Sycylii, tj. w 1784 r., Hiszpanie zniszczyli wszystkie dokumenty świadczące o wyrokach i torturach, jakim poddawano więźniów, to dzięki archiwom w Madrycie udało się odtworzyć losy wielu z nich. Warto wybrać się na zwiedzanie z przewodnikiem, aby lepiej zrozumieć zapiski i poznać historie ich autorów.

Patronka i złoto pomarańczy

Palermo bywa nazywane Conca d'oro, czyli złotą kotliną. Skąd ta nazwa? Według najbardziej poetyckiego wytłumaczenia pochodzi od złocistego koloru drzew pomarańczy, które dawniej porastały kotlinę.

Miasto otoczone jest górami, które sprzyjają uprawianiu trekkingu, a najbardziej uczęszczaną górą w okolicy jest Monte Pellegrino (ok. 600 m n.p.m.) Można się dostać na szczyt pieszo lub autobusem, to także ulubiona meta kolarzy górskich, ale dla palermian zapewne najważniejszym powodem do odwiedzin jest

jakby przytwierdzone do skały sanktuarium uwielbianej patronki miasta św. Rozalii.

Świętą szanują tu wszyscy – nieważne czy są religijni czy nie. (fot. 6) Palermianie pieszczotliwie nazywają ją la Santuzza, co w wolnym tłumaczeniu oznacza nasza świętunia. Przypisuje się jej uwolnienie od epidemii dżumy w 1624 r., ale mieszkańcy zwracają się do niej ze wszystkimi problemami, także zdrowotnymi i sercowymi. Przychodzą też, by jej podziękować i przynoszą przedmioty nawiązujące do otrzymanej łaski: kask motocyklowy (za ocalenie z wypadku), śliniaczek (narodziny dziecka) czy srebrne ex voto w kształcie wyleczonej części ciała.

15 lipca – dzień patronki Palermo – jest wolnym od pracy. Wielka drewniana łódź na kołach, w której przemieszcza się olbrzymia statua Świętej Rozalii, wyrusza spod katedry i „płyń” w kierunku morza. (fot. 2) W tej podróży uświetnionej m.in. występami artystów uczestniczą tysiące palermian i turystów. Zgodnie z tradycją kiedy pochód dotrze do serca starówki, czyli na plac Quattro Canti, burmistrz Palermo trzykrotnie woła Viva Santa Rosalia e viva Palermo, a mieszkańcy odpowiadają mu wiwatami, oklaskami lub gwizdami. Ta reakcja to jednocześnie ocena pracy

włodarza miasta. W tym roku po trzykrotnym okrzyku rozległy się gwizdy.

Z wizytą u pustelnika

Inne miejsca do trekkingu:

- Góra Cuccio (1000 m n.p.m.), ale trzeba pamiętać, że pogoda jest tu zmienna i nawet w ciepłe dni warto zabrać ciepłą odzież.
- zdecydowanie łatwiejsza i bez pogodyw niespodzianek jest trasa w rezerwacie przyrody Capo Gallo, tuż za plażą miejską w Mondello. Po jednej stronie ścieżki góry, częściowo porośnięte drzewami, a po drugiej – bezkresne turkusowe morze, do którego można zejść w wielu punktach. Ale tutaj plażuje się na skałach i trzeba uważać, kiedy się schodzi do morza w takich „nie piaszczystych” warunkach.

Na szczycie Monte Gallo (ok. 500 m n.p.m.), znajduje się dawny punkt obserwacyjny Królewskiej Marynarki Wojennej Burbonów z czasów Królestwa Obojga Sycylii. Obecnie to pustelnia, w której prawie 30 lat temu zamieszkał człowiek o imieniu Israel, tak przynajmniej przedstawił się kilku osobom, które wpuścił do swojej pracowni. Pomimo podeszłego wieku Israel od lat wyrabia ceramikę, z której robi wielobarwne mozaiki. Układa na ścianach, kolumnach i sufitach dawnego semafora. Wejście zajmuje jakieś 1,5 godziny (wiadomo że schodzi się trochę szybciej), a niektórzy przynoszą pustelnikowi żywność albo leki, żeby go wesprzeć i podziękować mu za możliwość obejrzenia jego prac.

Szlak ołtarzyków

Spacerując i oglądając główne zabytki, warto poszukać na ulicach osobliwych form tutejszej ekspresji czyli kapliczek i przydomowych ołtarzyków. Te pierwsze można znaleźć głównie w Kalsie, dzielnicy należącej do Starówki. Kapliczki już w czasach panowania Greków i Rzymian, stawiano w miejscach, w których wydarzył się jakiś cud. Pojawiały się także na szlakach i były znakami drogowymi dla podróżnych, a na terenach rolnych wyznaczały granice.

Bardziej współczesne kapliczki mają przeróżne formy, ale obowiązkowo jest tam wizerunek świętego/tych oraz sztuczne kwiaty i znicze. Większość ołtarzyków znajduje się jednak nie na ulicach, lecz w dzielnicowych sklepach i to w całym mieście. Niektóre sklepy bardziej przypominają świątynie niż punkty handlowe. Nie dziwi zatem, gdy u rzeźnika cała ściana zawieszona jest portretami zmarłych ozdobionych różańcami i kwiatami. Uśmiechają się oni do pracowników i klientów także przy kasie i znad lodówek z mięsem. Podobne

„scenografie” zobaczyć w każdym sklepie, piekarni, lodziarni czy w drogerii.

Plażowanie

Palermo to miasto skąpane w słońcu, a tłumy na plażach są nawet w listopadzie. Dokuczliwe upały stają się bardziej znośne, jeśli jest się szczęśliwym posiadaczem domu nad morzem lub w górach, a duża część Sycylijczyków takie posiada. Tańszą opcją jest abonament ok. 1000 euro za sezon, który w kąpielisku, pozwala korzystać z leżaków, parasoli i pryszniców.

Choć dostęp do morza jest nieodpłatny, to o darmowy kąciek na piasku w sezonie bardzo trudno. Na przykład większość na przepięknej miejskiej plaży w dzielnicy Mondello (fot. 3) zajmują płatne kąpieliska, a wynajęcie leżaka z parasolem na cały dzień kosztuje 15 euro.

Kiedy pod koniec września z Mondello znikają leżaki, można się wygodnie ulokować na piasku lub wynająć sobie plastikowe krzesło za 3 euro od lokalsów szukających sposobu na dorobienie.

Deszcz szkodzi szkołom

Nadejście dni deszczowych jesienią powoduje chaos i narzekanie. Na ulice centrum wylegają wtedy sprzedawcy parasoli ratujący tych, którzy nie sprawdzili prognozy pogody. Wiele osób ze skuterów przesiada się do samochodu, a to powoduje zwiększenie i tak już natężonego ruchu. Kiedy włoska mama dzieci w wieku przedszkolnym lub wczesnoszkolnym widzi rano, że pada deszczu, od razu pyta na grupie rodziców na Whatsappie: „Mamy, która z was posyła dzisiaj dzieci do szkoły?” I okazuje się, że w takie dni szkolne klasy są w połowie puste.

Zdarza się, że podczas wyjątkowo silnych opadów władze miasta zamykają szkoły. Dlaczego? Żeby zmniejszyć liczbę osób, które mogą utknąć w samochodach pod mostami z powodu niedrożnych studzienek. Problem zapchanych studzienek odżywa za każdym razem, gdy w czasie ulewy są straty materialne lub nawet ofiary śmiertelne, a potem cichnie, kiedy opadną emocje, by powrócić przy kolejnym wielkim deszczu.

Pora zimowa w Segesta

Klimat powoduje, że domy Sycylijczyków są przede wszystkim przystosowane do walki z uciążliwymi upałami – grube mury, wysokie sufit i brak centralnego ogrzewania. Dlatego, kiedy zimową porą powietrze przeszywa wilgocią do szpiku kości – trudno je nazwać ciepłym gniazdem. Sycylijczycy gromadzą więc w domach pierzyny, koce, termofory, piecy-

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



- Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.





4 • Gigantyczne kolumbarium na cmentarzu Sant'Orsola FOT. AGNIESZKA KWIATEK

5 • Grób wieloosobowy na cmentarzu Sant'Orsola FOT. AGNIESZKA KWIATEK



6 • Św. Rozalia – graffiti w dzielnicy Vucciria FOT. AGNIESZKA KWIATEK



7 • Sprzedawca ośmiornic na targu Ballarò FOT. AGNIESZKA KWIATEK

Podcast

- Alicja Dąbrowska wieloletnia redaktorka działu zagranicznego i podróżniczka w podcaście Poznajmy naszą Europę odwiedza ze swoimi gośćmi wszystkie kraje Unii Europejskiej. Przygląda się kulturze i obyczajom stroniąc od polityki i utartych opinii.
Znajdziecie go na [Wyborcza.pl/podcast](https://wyborcza.pl/podcast) i platformach streamingowych.
Ostatni odcinek to rozmowa z Tessą Capponi-Borawską o związkach włoskiej kuchni ze sztuką, muzyką i architekturą

ki gazowe, elektryczne kaloryfery a swetry pokrywają domowników niczym warstwy cebuli. Jest jednak miejsce na łonie natury, gdzie można zrzucić z siebie metaforyczną cebulę nawet w najzimniejsze dni. To termy w Segesta, z których korzystali już Rzymianie. Po wpisaniu tej nazwy w wyszukiwarce, pojawia się zdjęcie spa znajdującego się w tej miejscowości. Ja mam natomiast na myśli miejsce, gdzie nie znajdziecie kafelków, pryszniców czy basenów.

Można tam dotrzeć tylko samochodem, udając się w kierunku term segestańskich i skrócić w pojawiającą się zupełnie nagle dość stromą, na wpół kamienistą drogę. (Nie polecam wyprawy po deszczach, gdyż w głębi Sytylii może wtedy dojść do lawin błotnych.)

Samochód należy zostawić przy drodze i mniej więcej po 10 minutach wędrówki, dotrzemy do zbiornika, który kształtem i rozmiarem przypomina niewielki staw. Wypełniony jest gorącą wodą, a na dnie ma błotko, którym spragnieni odnowy biologicznej smarują ciała.

Ale jeśli ktoś łaknie przygody i większego wyzwania może iść dalej trasą, która biegnie wzdłuż pionowej ściany górskiej i z której nieustannie spływa woda. Trzeba bardzo uważać, żeby się nie poślizgnąć. Po kilkuset metrach dociera się do dwóch naturalnych zbiorników z gorącą wodą. Tuż za nimi znajduje się jaskinia, która przypomina dymiącą saunę. To idealne miejsce dla miłośników skrajnych temperatur, ponieważ po wyjściu z gorącej jaskini można się zanurzyć w lodowatej rzece, a następnie wskoczyć do zbiorników z gorącą wodą. Ciepły wodosпад wydrążył w skałach wgłębienie przypominające wannę, w której może się wygodnie położyć osoba dorosła.

Kuchnia zamienników

Pobyt w Palermo to nieustanna uczta, a lokale, których liczba w ostatnich latach pomnożyła się, prześcigają się w kuszeniu klientów swoim menu. W sycylijskiej kuchni jest wiele dań tzw. tradycyjnej cucina povera, czyli biednej kuchni, która wykorzystuje wszelkie lokalne składniki i w której nic się nie zmarnuje.

Przykładem cucina povera jest makaron z sosem bez głównego składnika. Tak, tak, bez głównego składnika, bo pasta con le sarde a mare to właśnie makaron z sardynkami, które zostały w morzu lub też do niego uciekły. Makaron podaje się z dzikim koprem, cebulą, pinoli, pomidorem, rodzynkami i kilkoma anchois, które po rozpuszczeniu na gorącej oliwie smakiem przypominają sardynki.

Sycylijczycy także fantazyjnie wykorzystywali i wykorzystują chleb, który miał przypominać smakiem desery lub sery. Ale ciekaw-

sza wydaje mi się historia dania, które często jest przystawką lub daniem głównym w barach na trzech palermiańskich targach: Vucciria, Ballarò i Capo. Mowa o sarde a beccafico, czyli sardynki a la gajówka.

To przykład inspiracji kuchnią ludzi bogatych, w którym wykorzystuje się zamienniki. Rolnicy raczej nie mieli dostępu do gajówek, bo na te ptaki polowali tylko ludzie zamożni. Kucharze na dworach faszeryowali ptaszki i dbali o to, by były serwowane z ogonkami sterczącymi ku górze. Chłopi zastępowali ptaszki sardynkami, które zawijano w kształt litery „u”, czym przypominały gajówki. Aby zamaskować zapach nieświeżych ryb, bo takie chłopi kupowali po niższej cenie, dodawano do nich pomarańcze i otaczano w bulce tartej.

Palermiański street food

Typowe uliczne danie to arancini, czyli smażone kulki ryżowe nadziewane sosem beszamelowym, drobno pokrojoną szynką i mozzarellą (arancine al burro) lub sosem pomidorowym z mięsem i zielonym groszkiem (arancine alla carne), bułka ze śledzioną (panino con la milza), placuszki z ciecierzycy (panelle) i smażone krokietki z ziemniaków z dodatkiem pietruszki i mięty (crocchè).

W Palermo nie marnuje się nawet jelit, przynajmniej nie tych owczych (stiggiole). Są czyszczone, przyprawiane natką pietruszki, porem lub cebulą, nawijane na szaszлык i grillowane. Grillowanie odbywa się zawsze na ulicy, czy to w sąsiedztwie rozpędzonych aut czy to przy zjeździe z obwodnicy, w każdym razie tam, gdzie bez trudu można zatrzymać samochód i wyskoczyć na jelito lub dwa. Kierowcy oczywiście nie baczą na to, czy parkując na środku ulicy spowodują zator, bo taka uliczna konsumpcja jest wpisana w tutejszą tradycję.

Targ – must go

W Palermo koniecznie trzeba zrobić zakupy na targu i własnoręczne przyrządzić dania ze świeżych, lokalnych produktów, o ile oczywiście dysponuje się kuchnią.

Najdłuższym targiem w Palermo i bezspornie najgłośniejszym jest targ Ballarò. (fot. 7) Sprzedawcy przekrzykują się, wymyślają rytmowanki i piosenki, aby zachęcić do kupna produktów. Zwabieni żarliwym optymizmem turyści łatwo mogą paść ofiarą sprzedawców nieuczciwych, którzy wystawiają pięknie produkty, lecz do siatki kładą te leżące z tyłu, mniej okazałe i nie najświeższe. To idealne miejsce do tego, by fotografować lokalny koloryt: i lu-

dzi i stragany z soczyscie barwnymi owocami i warzywami czy różnorodności owoców morza.

Według mnie najbezpieczniejszym pod względem jakości produktów jest targ Capo, który znajduje się tuż za Teatro Massimo.

Nawet przy niewysokim budżecie można przygotować dania godne najlepszych restauracji. Na makaron w wersji rybnej jest wiele sposobów, jednak moje ulubione to linguine z miecznikiem pokrojonym w kostkę, oliwą, czosnkiem, pomidorem, dużą ilością startej skórki z cytryny i sokiem oraz świeżą pietruszką.

Ryba, na którą czekam co roku na wiosnę, to pesce San Pietro o bardzo delikatnym mięsie. Często zdarza się ryba z ikłą, a wtedy będziemy mieć składniki na dwa dania, bo do wcześniej ugotowanych na oleju pomidorów dodaje się dosłownie w ostatniej fazie gotowania jajeczka, które wcześniej zostały wyjęte z osłonki. Dla wzmocnienia smaku warto dodać utartą skórkę cytryny i tak podane linguine czy bucatini bez wątpienia na długo zapadną w pamięć.

Palermo jest miastem, które zdaje się być bezkresne i ma tę niebezpieczną właściwość, że wciąga, a nawet uzależnia. Jeden pobyt często pozostawia w nas poczucie niedosytu, bo nie sposób skosztować wszystkich dobroci gastronomii i zwiedzić wszystkie architektoniczne, kulturowe czy przyrodnicze cuda. Zawsze można więc wyznaczyć sobie nowy cel, chociaż tak przyjemnie wraca się do poznanych już miejsc i smaków. ●

Tekst i więcej zdjęć z Palermo w serwisie Wyborcza.pl

- W cyklu Poznajmy naszą Europę opublikowaliśmy już cztery opowieści niemieckie i dwie włoskie. Wszystkie teksty – na Wyborcza.pl.

Za tydzień ostatnia opowieść włoska – Abruzja. Potem przeniesiemy się Finlandii.

Agnieszka Kwiatek

- Gdańszczanka, hispanistka, tłumaczka, nauczycielka języka i literatury hiszpańskiej w jednym z palermiańskich liceów, organizatorka międzynarodowych wymian uczniowskich, miłośniczka podróży, sztuki, literatury i fotografii. **Autorka książki „W labiryncie południowych Włoch”** (Wydawnictwo Książy Młyn, 2021)



FOT. AGNIESZKA KWIATEK

SPOŁECZEŃSTWO

AGNIESZKA JUCEWICZ: Według najnowszych trendów, jeśli każdy mój posiłek nie będzie zawierał dużej ilości białka, przed śniadaniem nie będę łykać garści suplementów i pić kawy grzybowej, a na spacerzy chodzić w specjalnej kamizelce obciążeniowej, to najpewniej umrę przedwcześnie i w męczarniach, a w najlepszym wypadku będę wyglądać i czuć się na swój wiek. Nie zaszkodziłoby też, gdybym rano i wieczorem prowadziła dzienniczek wdzięczności.

RINA RAPHAEL*: Widzi pani, w wielu tych radach tkwi ziarno prawdy. Prawdą jest, że w naszej diecie musi być trochę białka i że z wiekiem warto włączyć do swoich ćwiczeń trening siłowy. Problemem jest natomiast to, w jaki sposób te zalecenia są formułowane: „MUSISZ kupić tę kamizelkę obciążeniową! Bo jeśli tego nie zrobisz, ryzykujesz, że przegrasz walkę z osteoporozą!”, „MUSISZ zapewnić sobie 30 gramów białka, bo jeśli nie, to stan twoich mięśni się pogorszy, będziesz tyć”. „Bez tej tabletki nie zaśniesz!”. Na końcu większości tych instagramowych czy tiktokowych apeli najczęściej jest ktoś, kto chce nam coś wciśnąć – jakiś suplement, urządzenie, program, metodę. To może być influencer, influencerka, firma, a czasem ktoś, kto podaje się za lekarza. Ostatecznie wszystko sprowadza się do sprzedaży. I do tego głównie odnosi się moja krytyka tej branży – że wzmacnia konsumpcjonizm, indywidualizm i ciągłą produktywność.

Przecież zalecenia, które pani opisała, wymagają nieustannego zabiegania i pilnowania.

Wartość branży „wellness” na świecie na koniec 2023 r. wyceniono na 6,3 biliona dolarów, prognozuje się, że do 2028 r. osiągnie 9 bilionów. Cytuje pani Ruth Whippman, autorkę książki „Ameryka łękliwa. Jak pogoń za szczęściem zmienia nas w naród wykonanych nerwowo ludzkich wraków”, która pisze, że ironią losu jest, że to, co miało służyć naszemu zdrowiu czy relaksowi, koniec końców tę presję zwiększa. „Wellness” staje się jeszcze jednym obowiązkiem.

– W dodatku często zostajemy z tym sami. A nie tak się wszystko zaczęło. Korzenie dbania o siebie były bardziej umiejscowione we wspólnotach i miały swoją strukturę. Ludzie, którzy się interesowali tymi nurtami, częściej się zrzeszali.

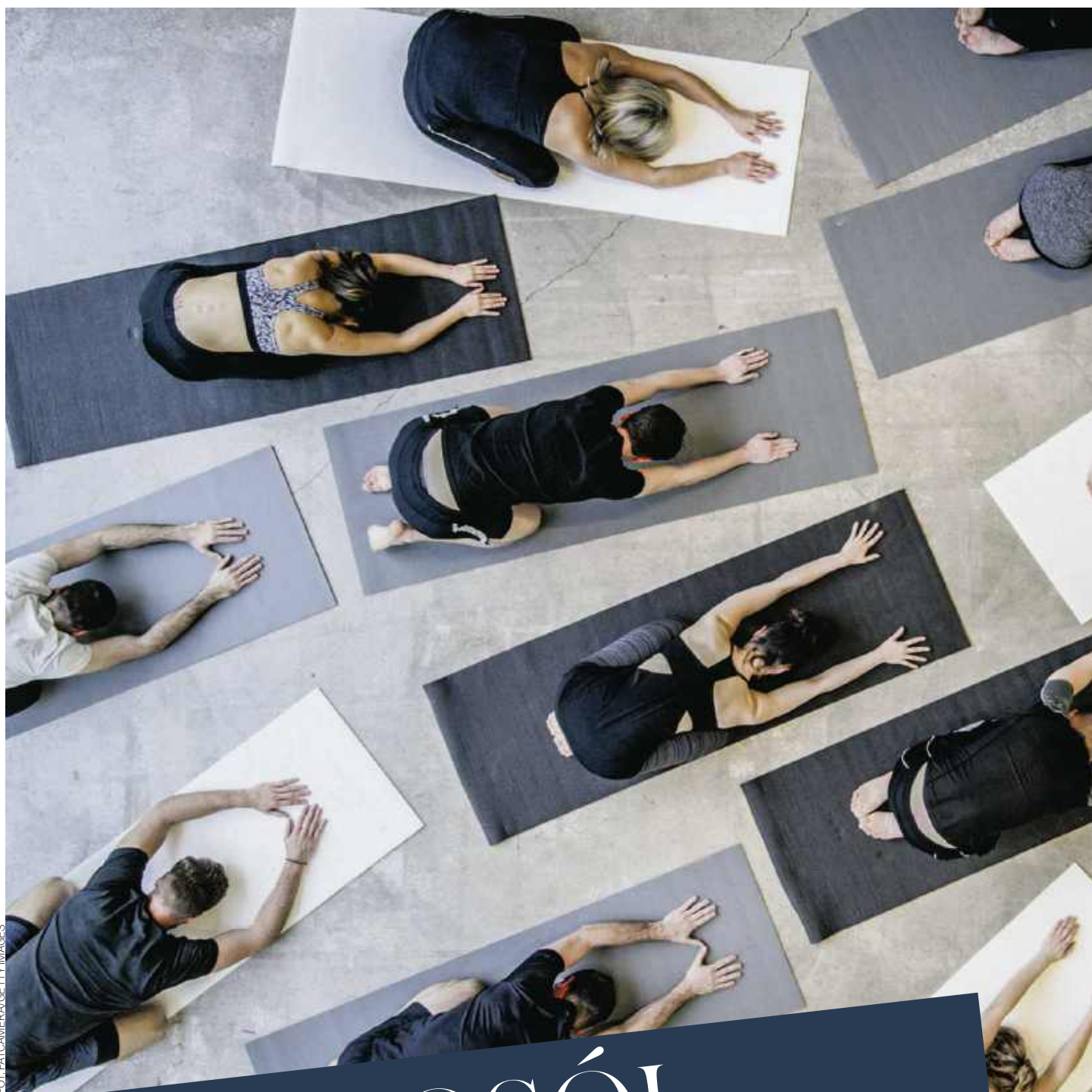
Dziś jest inaczej. To pani ma sobie kupić tę kamizelkę i ją nosić, to pani ma zadbać o wystarczającą ilość białka w diecie, to od pani zależy, czy chce być pani chora czy zdrowa. Ten biznes chce panią przekonać, że wszystko jest w pani rękach.

Tymczasem trendy zdrowotne zmieniają się co chwila. Trudno za nimi nadążyć, nawet jeśli się bardzo chce.

– Zupełnie jak w modzie. W Stanach Zjednoczonych kilka lat temu na topie był błonnik. Wszyscy ciągle o nim rozprawiali, dziś już mało kto o nim mówi. Ludzie, którzy próbują podążać za tymi trendami, czasem wspominają: „A pamiętasz, jak kiedyś zachwycaliśmy się bulionem na kościach?”. „A pamiętasz wodę kokosową, zielone koktajle, kombucę?”. Teraz bardzo modne są na przykład suplementy z mchem morskim.

Na co to jest?

– Chyba na wszystko. Producenci „wellnessowych” nowinek dobrze wiedzą, że mają pewne okienko czasowe, które muszą wykorzystać, żeby dotrzeć ze swoim przekazem do klientów. Bo później większość z nich się zorientuje, że wbrew temu, co im obiecano, nic im to nie dało,



FOT. FATCAMERAGE / TV IMAGES

ROSÓŁ
Z KRYSTALÓW

Byłam przemęczona, przepracowana, zestresowana, źle się odżywiałam i czułam się coraz gorzej.
To wystarczyło

Z **RINĄ RAPHAEL**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „EWANGELIA WELLNESSU. FAŁSZYWA OBIETNICA DOBROSTANU”
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

i płynnie przejdzie do kolejnej rzeczy, licząc, że tym razem stanie się cud: poczuje się lepiej, schudną, będą lepiej spać czy wydarzy się coś jeszcze innego, na czym im zależy.

Wiele pani rozmówczyń podążających za „wellnessowymi” trendami jest wykształconych, dobrze zorientowanych, ma dostęp do wiedzy. Co je tam ciągnie?

– To nie jest kwestia inteligencji czy jej braku. Tylko tego, że jednostka staje twarzą w twarz z kampaniami marketingo-

wymi, do których zatrudniono najlepszych profesjonalistów i na które przeznaczono miliardy. Mało kto jest w stanie z tym wygrać. Chodzi też o siłę naszych przekonań, która również jest niezależna od inteligencji czy wykształcenia. A także o to, że pragniemy mieć wpływ na to, co się z nami dzieje.

Kiedy wkłada pani jakiś suplement do koszyka, ma pani poczucie, że zainwestowała pani w swoją przyszłość, zrobiła coś dla siebie. Wierzy pani w potęgę swojej wiary. I nie można tego nie doceniać. To tak, jakby powiedzieć: „Słuchaj,

znam naprawdę inteligentnych ludzi, ale wyobraź sobie, że wierzą w Boga, choć nie ma żadnych dowodów na to, że on istnieje!”. Nie o to w tym chodzi.

A o co?

– O prosty mechanizm psychologiczny. O to, że nasze przekonania kształtują to, jak się czujemy.

Znam naprawdę wiele osób, które mówią: „Biorę ten mały, głupi suplement i przysięgam, że dzięki niemu mam więcej energii, choć nie ma na to żadnego naukowego potwierdzenia”.



Jak się nie dać nabrać? (na podstawie „Ewangelii wellnessu”)

Pamiętaj, że dobrostan nie jest pojęciem uniwersalnym.

- Bądź świadomy(-a), że wiele zaleceń medycyny profilaktycznej trudno sprecyzować ilościowo, ponieważ opiera się ona na parametrach indywidualnych – dlatego nie należy wierzyć komuś, kto twierdzi, że dany produkt czy metoda terapeutyczna z pewnością pomogą tobie, skoro pomogły jemu.

Kontroluj własne uprzedzenia.

- Gdy masz do czynienia z produktem lansowanym jako „naturalny” lub „wolny od chemii”, zadaj sobie pytania: Czy kupuję go, ponieważ uważam to, co naturalne, za lepsze? Czy faktycznie chcę go przetestować, czy tylko poczuć się bardziej w harmonii z tym, co uważam za wartościowe?

Bądź czujny(-a) na manipulowanie emocjami.

- Influencer tokujący o tym, że jakiś składnik cię wykończy, stara się wzbudzić określone uczucie. Podobnie gdy zapewnia, że dzięki jakiemuś przedmiotowi przeniesiesz się w szlachetniejszą epokę. Spójrz z dystansu i zastanów się, czy wierzysz w rzekome zalety (lub szkodliwość) danej rzeczy.

Żądaj dowodów.

- Gdy ktoś głosi radykalne tezy, lepiej, żeby potrafił ich dowieść.

Oceń swoje źródła informacji.

- Od kogo czerpiesz porady zdrowotne? Czy mają one oficjalnie potwierdzone kwalifikacje? W jakiej dziedzinie się specjalizują? Czy inni eksperci powołują się na nie i je cytują? Odkąd wellness przeniknął do kultury popularnej, lansują go blogerzy, celebryci,

podkasterzy (niektórzy bez żadnych uprawnień).

Przyjrzyj się intencjom.

- Kiedy ktoś promuje jakąś ideę czy produkt, zapytaj: Czy ta osoba lub organizacja ma powiązania z korporacją, marką czy grupą lobbystów? Czy próbuje mi coś sprzedać?

Czy to niezbędne?

- Zastanów się, czy potrzebujesz danej rzeczy. Często dokonujemy zakupów z kategorii wellnessu, kierując się poczuciem braku.

Zidentyfikuj główne stresory.

- Pomyśl, co wywołuje u ciebie stres, ból lub co cię unieszczęśliwia. Zanim zamaskujesz przyczyny niezadowolenia rytuałem wellnesowym, sprawdź, czy w jakiś sposób nie uda ci się wyeliminować pierwotnej przyczyny. (Nie zawsze to możliwe; nie na wszystko mamy wpływ).

Pamiętaj, że nauka wciąż się rozwija.

- Uczeni nieustannie oceniają dawniejsze badania o zdrowotności i prowadzą kolejne, które mogą zmienić zasady uznawane przez nas w przeszłości. To niekoniecznie oznacza, że dawniej naukowcy byli niedokładni lub lekkomyślni, dowodzi raczej tego, że nauka to niekończąca się wędrówka ku dalszej wiedzy.

Odpuść sobie.

- Kontrola – lub jej pozory – to bardzo istotny składnik naszego zdrowia psychicznego. Żeby ją zdobyć, uczynimy wszystko – nawet zawezwiemy duchy, by pomogły nam dostać upragnioną pracę. Jednak w sposób nieunikniony zawsze coś pójdzie nie tak. Zainspiruj się medytacją: wyluzuj odrobinę

Oczywiście, jest ogromna różnica pomiędzy tym, że ktoś zażywa jakieś suplementy, a tym, że na przykład ćwiczy. Niektóre z „wellnessowych” rozwiązań przynoszą nam realne korzyści, chodzi jednak głównie o tę wiarę w to, co nam pomoże. To na niej żeruje branża „wellness”.

W Stanach Zjednoczonych odnosi ona taki sukces również dlatego, że z jednej strony jesteśmy narodem pełnym optymizmu, a z drugiej – konsumpcyjnym.

Co ma pani na myśli, mówiąc, że jesteście optymistami?

– Odważyliśmy się zdobyć Dzikie Zachód, zbudowaliśmy Hollywood, rozwinęliśmy branżę technologiczną. Ale jesteśmy też narodem, który uwielbia kupować. I wierzymy, że to, w co zainwestujemy, zadziała na naszą korzyść. Niestety, drugą stroną optymizmu jest łatwowierność. Dlatego staliśmy się takim wspaniałym rynkiem dla „wellnessu”.

Są jeszcze inne motywacje, które przyciągają do niego ludzi niezależnie od szerokości geograficznej, choćby rozczarowanie konwencjonalną medycyną. Opisuje pani kobiety borykające się z chorobami takimi, jak endometrioza, fibromialgia, które nie znalazły pomocy u lekarzy, ale twierdzą, że znalazły ją na przykład u terapeuty holistycznego. – Temu poświęciłam kilka rozdziałów, bo rozczarowanie systemem opieki zdrowotnej, zwłaszcza wśród kobiet, jest

ogromne. Zdrowie kobiet było przez lata zaniedbane – wiecznie niedofinansowane, niewystarczająco badane, ignorowane. Dopiero od niedawna zaczyna się to zmieniać.

Jest jeszcze kilka rzeczy. Po pierwsze, lekarze nie mają odpowiedzi na wszystko, zwłaszcza jeśli chodzi o złożone choroby przewlekłe. Często więc taka pacjentka słyszy: „nie wiem, jak pani pomóc”, albo „spróbujemy tego leku czy tego rozwiązania, jest 50 proc. szansy, że zadziała”.

Znacząco się to różni od strategii influencerów czy różnych guru, którzy mówią: „Mam dla ciebie lekarstwo! Wystarczy, że spróbujesz mojej metody albo kupisz mój zestaw kryształów”. Ludzie, zwłaszcza ci, którzy cierpią, chcą gwarancji. I w tym branża „wellness” jest bardzo dobra: „Na pewno cię wyleczymy!”, „Rozwiążemy twój problem!”. Niektóre z tych kuracji mogą faktycznie pomóc, inne nic nie dają, a jeszcze inne mogą się okazać niebezpieczne – i to jest problem.



FOT. JOSHUA MICHAEL SHELTON

Rina Raphael

- amerykańska dziennikarka. W swojej pracy skupia się na tematach związanych ze zdrowiem, wellnessem, nowymi technologiami. Współpracuje z „The New York Times”, „The Wall Street Journal”, „Los Angeles Times” i „Fast Company”. **„Ewangelia wellnessu”** (wyd. Czarne, tłum. Hanny Pasierskiej) to jej pierwsza książka reporterska.



Kolejną rzeczą jest to, jak kobiety są traktowane w systemie opieki zdrowotnej. Lekarze nie mają dla nich czasu, nie słuchają ich albo bagatelizują ich problemy. Moje rozmówczynie często mówiły: „Nie sądzę, żeby ci alternatywni terapeuci mieli odpowiedź na moje problemy, ale mój Boże, od razu czuję się lepiej, kiedy spędzam godzinę w ich gabinecie”. Oczywiście płacą za to krocie.

Z kolei wielu lekarzy mówiło mi, że bardzo by chcieli mieć godzinę na pacjentkę, moc z nią porozmawiać nie tylko o tym, co jej dolega, ale w ogóle, jak żyje, ale firmy ubezpieczeniowe tego nie przewidują. Przeciwnie amerykańscy lekarze mają kilkanaście minut na wizytę. Jednak to, że nowoczesna medycyna nie zawsze ma odpowiedź, nie oznacza, że alternatywne kuracje ją mają.

Jak pani pisze: „Sprawdzone metody medyczne gwarantują, że większość z nas dożyje wieku, o jakim nasi przodkowie mogli jedynie pomarzyć”.

– Otóż to.

Dla niektórych „wellness” staje się z kolei kotwicą w niepewnym i chaotycznym świecie. Pozwala im odzyskać poczucie sprawczości, poradzić sobie z lękiem.

– Im bardziej nasza rzeczywistość jest stresująca i nieprzewidywalna, tym bardziej ciągnie nas do tego, co obiecuje pewność i kontrolę. A „wellness” to robi.

Pytanie, do jakiego stopnia jesteśmy w stanie kontrolować rzeczywistość, siebie, swoje życie. Osoby, które są zaangażo-

wane w różne „wellnessowe” rozwiązania, inwestują w nie dużo czasu i pieniędzy często chcą wierzyć, że bardzo.

Prawda jest jednak taka, że nasze ciała w końcu nas zdradzą – zaczną się kurczyć, staną się słabsze. Będziemy się starzeć. Nie da się tego w pełni kontrolować. Nie mówiąc o tym, że pewne schorzenia mają podłoże genetyczne i niewiele da się na to poradzić.

Porównuje pani „wellness” do religii. Jakie są podobieństwa?

– Oczywiście to porównanie jest nieco żartobliwe, zasadniczo uważam jednak, że „wellness” pod pewnymi względami funkcjonuje jak zdekonstruowana religia. Wyposaża swoich wiernych w system zasad. Instruuje ich, co mają robić, a czego nie, na przykład: „Możesz jeść ekologiczne jedzenie, nie możesz tykać fast foodu”.

No, i daje poczucie sensu i celu, które we współczesnym społeczeństwie coraz trudniej znaleźć. Od niedawna jestem mamą i nie potrafię opisać, jak wiele poczucia celu i satysfakcji zyskują rodzice z tego powodu, że karmią swoje dzieci zdrową żywnością.

„Wellness” ma też swoje rytuały, symbole, a niekiedy i wspólnotę, czyli wszystko to, co kiedyś można było znaleźć w kościele. Niektóre firmy wykorzystują to podobieństwo bez owijania w bawełnę, obwieszczając: „Hej, jesteśmy twoim nowym Kościołem!”. Ich trenerzy stają się nowymi kapłanami, a treści motywacyjne czerpią z prawdziwych kazań.

Tyle że wygłaszają je nie z ambony, ale na przykład z siodełka roweru stacjonarnego, jak w opisaniej przez panią firmie Peloton. Ich czołową trenerkę na plakacie reklamowym przedstawiono z wyciągniętą w górę ręką, na rowerze promieniującym fioletową aurą, „niczym Jezusa na dyskotecę – gdyby Jezus podpisał umowę reklamową z Adidasem”.

– Wie pani, nie można też ignorować tego, że wielu wyznawców i wiele wyznawczyń „wellnessu” otrzymuje w pakiecie poczucie przynależności, tożsamość. Jak wejdzie pani do kawiarni w legginsach z matą do jogi pod pachą i zobaczy pani inne kobiety w legginsach i z matą do jogi, łatwiej będzie pani zagaić, bo od razu rozpozna pani swoich. Niewiele się to różni od grupy harleyowców czy właśnie religijnych wyznawców.

A czym „wellness” różni się od religii? – Ostatecznie nie ma żadnego Boga ani Kościoła.

Nie ma też obietnicy życia wiecznego.

– Choć nie każda religia ma ten aspekt. Ale skoro już pani o tym wspomina, niektóre z „wellnessowych” trendów skupiają się na tym, by jak najbardziej wydłużyć to życie, które mamy.

Pamiętam, jak wiele lat temu pojechałam na konferencję poświęconą „pokonaniu śmierci”. Jej uczestnicy, podobnie jak znany przedsiębiorca Brian Johnson, wierzyli, że za pomocą różnych technologii mogą odwrócić starzenie.

Z tego, co się orientuję, ostatnio gorzej mu idzie realizacja tego ambitnego planu. Mimo że wydaje na swój projekt 2 miliony dolarów rocznie.

– Sądzę, że za jakieś 70 lat przekonamy się, czy mu się udało. Choć szczerze mówiąc, wątpię.

Nie ukrywa pani, że jeszcze kilkanaście lat temu sama była fanką „wellnessu”. Czego pani w nim szukała?

– Miałam trzydzistkę, mieszkalam w Nowym Jorku i pracowałam dla tele-

wizyjnego programu „Today”. Byłam przemęczona, przepracowana, zestresowana, źle się odżywiałam i czułam się coraz gorzej. To wystarczyło.

W 2015 roku przeprowadziłam się do Los Angeles, bo wydawało mi się, że zdrowiej się tam żyje. I wtedy wkręciłam się na całego – wypróbowałam chyba wszystkie możliwe ćwiczenia, trendy żywieniowe. Gotowałam rosół na kościach, nawet swojego psa nim karmiłam.

Po czym przekonałam redakcję magazynu „Fast Company”, dla którego pracowałam, że bym pozwoliła mi opisywać tę branżę na pełen etat. Dzięki temu mogłam przeprowadzić rozmowy z szefami najpopularniejszych siłowni, SPA, producentami suplementów i innych produktów.

Rozmawiałam z Gwyneth Paltrow, założycielką słynnego Goopa, z Dave’em Aspreyem, twórcą biohackingu, z osobami odpowiedzialnymi za kampanie reklamowe.

Jednak im bardziej się w to zagłębiałam, tym więcej miałam zastrzeżeń. Odkryłam na przykład, że wiele produktów sprzedawanych pod etykietką „wellnessu” nie ma żadnych naukowych podstaw albo są one bardzo marne.

To znaczy?

– Wiele producentów suplementów w ogóle nie bada swoich produktów. Opierają się na przebadanej skuteczności poszczególnych składników aktywnych, a przecież nie wiadomo, jak te składniki działają w połączeniu ze sobą. Albo czy to działanie występuje, kiedy w preparacie jest tylko szczypta danej substancji.

Nawet, jeśli pokazywano mi jakieś badania, to często były one tak źle zaprojektowane albo próba była tak mała, że nie miały żadnej wartości. Ale producenci się zorientowali, że ludzie powoli zaczynają mieć dość „wellnessu”. Zmądrzeli i coraz częściej szukają naukowych dowodów. Pomógł w tym też trochę COVID-19.

W jakim sensie?

– Choćby w takim, że w pandemii wiele osób straciło dostęp do części usług. Na przykład nie mogły kupić swojego ulubionego olejka CBD, po czym się okazywało, że tak naprawdę w ogóle go nie potrzebowały. Dochodziły więc do wniosku, że następnym razem nie dadzą się nabrać.

Biznes „wellnessowy” wyczuwa tę zmianę, w związku z tym coraz częściej stosuje manipulacyjną taktykę sciencewashingu.

**„Oparty na dowodach”,
„Potwierdzony badaniami”,
„Przetestowany klinicznie”
– to nie są wiążące terminy**

Czyli naukowej ściemy.

– Dokładnie tak. „Oparty na dowodach”, „potwierdzony badaniami”, „przetestowany klinicznie” – to nie są wiążące terminy. Część ludzi, widząc je, wyobraża sobie laboratorium i ludzi w białych fartuchach, a to może oznaczać tyle, że dany produkt został przetestowany na czymś psie albo na czyjeś matce.

Do promocji „wellnessowych” produktów używa się też często takich okrągłych słówek, jak „wspomaga”, na przykład równowagę hormonalną, „wzmacnia” czy „wspiera”, powiedzmy: odporność, albo „promuje”. Ale co to oznacza dokładnie i jakie są na to dowody? Nie wiadomo.

Zostawiła pani sobie coś z tamtego okresu zachwyty „wellnessem”?

– Wciąż uwielbiam chodzić na siłownię. Lubie zabiegi SPA. Ale nie daję się już nabrać na te różne produkty, których działania nie są udowodnione. Na pewno nie kupię już żadnego „napoju probiotycznego”, rosółu na kościach czy innych, modnych napojów funkcjonalnych.

Gdybym miała coś doradzać innym, tobym powiedziała tak: jeśli komuś sprawiają przyjemność ćwiczenia, zabiegi „wellnessowe”, a nawet smakuje mu koktajl z mchem morskim – w porządku, niech się tym cieszy. Byłoby tylko nie decydował się na to wyłącznie pod wpływem reklamy i bez sprawdzenia, czy to, co mu obiecano, ma jakieś pokrycie.

Jakie jest niebezpieczeństwo wejścia zbyt głęboko w „wellness”?

– Odpowiem tak: wszystko w nadmiarze może szkodzić, a obsesja na punkcie czegośkolwiek nigdy nie jest fajna. Problemem jest to, że kiedy za bardzo się w coś wciągamy, często tego nie zauważamy.

Niebezpieczne wydają mi się też sytuacje, kiedy ludzie z dużymi problemami zdrowotnymi tak kurczowo trzymają się alternatywnych kuracji, że nie zauważają faktu albo go ignorują, że obok istnieje medyczne rozwiązanie ich problemu.

Na przykład leczyć się z nowotworu za pomocą niesprawdzonych metod.

– Na przykład. Poza wszystkim zbytnie zawieszenie filozofii „wellness” często, moim zdaniem, prowadzi do dużego zaabsorbowania sobą, swoim ciałem. A ono, jak sobie powiedziałyśmy, w końcu nas zawiedzie. Dążenie do sprawności i świetnego samopoczucia za wszelką cenę, obsesja na tym punkcie ostatecznie bywają puste. Nie dają spełnienia.

Jak odróżnić obsesję od, dajmy na to, hobby?

– Czasem jest to trudne. Ale problem pojawia się chyba wtedy, kiedy to hobby w znaczący sposób odbija się na innych sferach życia, pojawiają się różne straty. Na przykład ktoś rezygnuje ze spotkań ze znajomymi, bo wszędzie, gdzie pójdzie, jedzenie jest niewystarczająco „czyste”.

Albo weźmy opaski czy inne urządzenia monitorujące aktywność. Poznałam kobietę, która tak się uzależniła od tych pomiarów, że nie mogła zjeść obiadu z mężem na mieście, bo bała się, że nie będzie w stanie dobrze policzyć kalorii zawartych w posiłku.

„Wellness” powoli wkracza do firm w formie różnych rozwiązań i benefitów. Co pani o tym sądzi?

– Szczerze? Że większość z nich to ściema. Jak spytać ludzi, czym jest dla nich „wellness” w kontekście pracy, większość odpowie: urlop, więcej wolnego, krótsze godziny. Tego prawnie pragną pracownicy. A pracodawcy na to: „a może warsztat z mindfulness?”, „karnet na jogę?”. Badania pokazują, że osobami, które faktycznie korzystają z takich rozwiązań, są osoby, które i tak wcześniej to robiły.

Czasem pracodawca uważa, że pracownik sam sobie powinien poradzić ze szkodliwymi warunkami pracy. Mam teraz na myśli pielęgniarkę, o której pani pisze, a która w pandemii pracowała na oddziale intensywnej opieki.

– Bo znacznie łatwiej jest przerzucić obowiązek dbania o siebie na jednostkę, niż zmienić system. Łatwiej jest wysłać kogoś na jogę, niż przyznać, że warunki pracy, które się stworzyły, są nieludzkie. Albo wziąć się do reformy ochrony zdrowia.

Pielęgniarka, o której pani mówi, tak jak i jej koleżanki pracowała bez wytchnienia. Często nie miała czasu się załatwić, zjeść. Kiedy w końcu nie wytrzymała i poskarżyła się przełożonym, usłyszała: „A co pani robi, żeby

się odstresować?”. Ona nie potrzebowała kąpieli w pianie czy medytacji, tylko dnia przerwy, snu, czasu z bliskimi.

Ciekawe zresztą, że branża „wellness” bardzo rzadko wspiera to, co jest udowodnionym filarem dobrostanu, a mianowicie – wsparcie społeczne, bycie z innymi, pielęgnowanie głębokich relacji. Wszystko przeważnie sprowadza się do przebywania w swoim pałacu, w swoim komforcie, w własnej wannie, wśród swoich świeczek.

Dlaczego?

– Bo prawdziwą wspólnotę trudno zmonetyzować.

Jak można się próbować obronić przed tym zalewem informacji pseudozdrowotnych, przed tym, co w tej branży nieuczciwe?

– Na pewno warto ćwiczyć krytyczne myślenie, szukać zaufanych źródeł informacji. Problemem jest jednak to, że coraz trudniej je znaleźć. Nawet media głównego nurtu, które opisują świat „wellness”, nie robią dobrej roboty i czasem się ją dezinformację.

Osobiście staram się śledzić to, co piszą konkretni ludzie, do których mam zaufanie – dobrzy reporterzy i reporterki, naukowcy i naukowczynie. Niestety, nie wszyscy lekarze są wiarygodni.

Niektórzy przedstawiają się jako lekarze, choć później się okazuje, że nie mają wykształcenia medycznego. Albo wypowiadają się na tematy bardzo odległe od ich specjalizacji.

– Warto więc być ostrożnym. Jeśli widzę, że ktoś z całą mocą coś twierdzi, staram się znaleźć dowody naukowe, które by to potwierdzały. Bo, jeśli coś brzmi zbyt dobrze, aby mogło być prawdziwe, prawdopodobnie tak nie jest.

O dietę informacyjną powinniśmy się troszczyć tak samo, jak troszczymy się o to, co jemy. I pamiętać, że to nie jest równa gra. W tym sensie, że różni „wellnessowi” influencerzy czy guru mają zwykle większe zasięgi niż naukowcy czy rzetelni dziennikarze. Jest ich też znacznie więcej.

No i są dostępni – można do nich napisać prywatną wiadomość, nawiązać relację. Przeciwny lekarz czy naukowiec, nawet jeśli próbuje być obecny w mediach społecznościowych i na przykład prostować różne pseudonaukowe bzdury, nie dysponuje takimi pieniędzmi i czasem, bo ma mnóstwo pracy do zrobienia. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34400479

DO 22 LISTOPADA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na grudzień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



**CENA
179,90 zł**
OSZCZĘDZISZ
CO NAJMNIEJ
46 zł**



**Dostęp także do
Wyborcza.pl***

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi.

Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55

(od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

We wtorek w „Wyborczej” wyjątkowy **kalendarz przyrodniczy**

Świstak, żubr, foki, bociany, jelenie i wiele innych zwierzaków
z Puszczy Białowieskiej, gór i z ujścia Wisły
na zdjęciach **Adama Wajraka**



POLECA

Adam Wajrak

GAZETA
wyborcza

SPONSOR

HOYA
FOR THE VISIONARIES

FEJKOWY PIES I MISKA POMYJ

„Zdjęć krokodyla w domu ministra Żurka nie mamy, ale jest niezawodna sztuczna inteligencja”. Naprawdę jest się czego bać.

Krystian Buczek

Niemowlę siedzi naprzeciw owczarka niemieckiego, za nimi widać sporą biblioteczkę. Nagle mebel przechyla się i leci prosto na dziecko. Pies momentalnie podrywa się na równe łapy i odsuwa malucha, ratując przed przygnieceniem. W kadr wbiega mężczyzna: „O mój Boże, uratowałeś ją, już dobrze, już dobrze”. Video trwa 10 sekund. Obejrzano je na TikToku 64 miliony razy, polubiono 2,6 miliona razy, ma 17,5 tysiąca komentarzy.

Komentarzy do cudu, który nigdy się nie wydarzył.

Realizm klipu zaskakuje, ale każde kolejne obejrzenie pokazuje nowe nielogiczności.

Kto właściwie ten film nagrywa (ujęcie lekko się porusza) i czemu ta osoba nie reaguje? Szafka dziecięca jest gigantyczna, zasłania sobą drzwi. Dlaczego w ogóle upada? Dziecko odsunięte przez psa zaczyna się przedziwnie wyginać, mężczyzna mówi szybko, ale bez emocji, jego spojrzenie jest nieobecne, nie szuka kontaktu wzrokowego ani z dzieckiem, ani ze zwierzęciem.

Otóż filmik z bohaterskim psem został wygenerowany za pomocą sztucznej inteligencji Sora 2, narzędzia od firmy OpenAI. Wystarczy wpisać krótki prompt (instrukcję tekstową) i po minucie, dwóch otrzymujemy gotowy materiał w kilku wariantach.

Pod wideo tysiące komentarzy, że to robota AI, które „staje się niebezpieczne”, ale liczne są też takie: „Ten pies to anioł”, „owczarki niemieckie to wspaniałe zwierzęta”, „bohater!”. Na platformach społecznościowych krąży wiele kopii tego klipu, łatwo można znaleźć też mnóstwo jego wariantów: czasem na dziecko spada telewizor albo maluch wyciąga rękę w stronę niezabezpieczonego gniazda, a pies w ostatniej chwili ratuje je przed porażeniem prądem, czworonóg odstrasza te niedźwiedzia grizzly albo węża.

Możliwe, że twórca filmiku zarobił na tym kilkaset dolarów. Ale dlaczego ostatnio socialowe feedy pełne są takich produkcji, a ich wyświetlenia idą w miliony?

Drogi i ekskluzywny, ale hit

Czym różni się Sora 2 od innych modeli generatywnej sztucznej inteligencji do tworzenia wideo? Sprzężeniem z platformą społecznościową przypominającą mocno TikToka, realizmem generowanych treści i możliwością realistycznego włączania w krótkie filmy prawdziwych osób.

Choć aplikacja początkowo dostępna była wyłącznie na iOS w USA i Kanadzie i do korzystania z niej potrzebne jest zaproszenie lub bardzo droga subskrypcja (istnieją rozległe społeczności np. na X czy Reddite, które taki



• Filmik autorstwa Alslop czyli AI pomyj. Donald Trump do muzyki z filmu „Top Gun” zrzuca na protestujących łajno. To sam Biały Dom opublikował na swoich kanałach coś tak żenującego. Nowa technologia wideo przeraża swoją łatwością generowania cyfrowych śmieci

mi zaproszeniami się dzielą i handlują), z marszu stała się hitem mobilnego sklepu Apple. Tylko w pierwszych dniach od pojawienia się została pobrana milion razy.

Szybko przylgnęło do niej miano „SlopToka” (od „AI slop”, czyli AI pomyj, treści bezużytecznych, wyprodukowanych najmniejszym nakładem sił i kreatywności). Ci, którym dane było z niej skorzystać, często mówią o surrealistycznym doświadczeniu scrollowania przez kolejne, szalenie szybkie, dziwaczne scenki, w których umieszczono prawdziwych – za ich zgodą lub bez – oraz fikcyjnych ludzi.

Te nagrania – od wygenerowanych bohaterów zwierząt w wypadkach, po postaci z popkultury w absurdalnych scenariuszach – przesiadają na platformy społecznościowe, a gospodarka twórców (creator economy) nie radzi sobie z tym zalewem. Facebook, Instagram, X, TikTok, YouTube – wszystkie serwisy mają systemy monetyzacji, które nagradzają angażujące treści. Wygenerowane scenki świetnie się oglądają, a łatwość generowania sprawia, że sprytni użytkownicy mogą testować wiralowość nowych filmików bez końca.

Doskonała technologia generowania wideo to gratka dla oszustów wykorzystujących napięcia społeczne do nabijania wyświetleń (np. już pojawiły się feйки przedstawiające „roszczeniowych” Amerykanów, wściekłych po wstrzymaniu programu bonów żywnościowych SNAP), to narzędzie do wzmacniania negatywnego przekazu przez polityków (myślę, że więcej filmów AI możemy się wkrótce spodziewać na polskiej scenie politycznej).

To demokratyzacja produkcji treści wideo na niespotykaną skalę, której efekty będą się nam odbijać czkawką.

Wsuwaj pomyje, świnko

Teoretycznie, dodając film, na większości platform można zaznaczyć, że materiał jest wytworem AI, i łączy się to z wyłączeniem zarabiania, ale w praktyce nikt dobrowolnie tego

robić nie chce, a big techy, zapatrzony w nową technologię, nie palą się do flagowania treści i egzekwowania ograniczeń. FB potrafi sygnalizować „ograniczoną oryginalność treści”, ale szef Mety Mark Zuckerberg jest wielkim orędownikiem twórców AI na swojej platformie – równolegle z Sorą 2 powstał sloptok Mety o nazwie Meta Vibes.

Obrazkowych treści AI pełno w naszych feedach, a będzie ich jeszcze więcej.

29 października na konferencji omawiającej wyniki finansowe firmy Zuckerberg mówił tak: „Media społecznościowe przeszły już dwie ery. W pierwszej wszystkie treści pochodziły od znajomych, rodziny i obserwowanych kont. W drugiej dodaliśmy wszystkie treści od twórców. Teraz, gdy sztuczna inteligencja ułatwia tworzenie i remiksowanie treści, dodamy jeszcze jeden, ogromny zbiór kontentu”.

Dla włodarzy platform kontent to kontent, ważne, żeby było zaangażowanie.

„Wiemy, że kochacie te internetowe wideopomyje, a my w Mecie chcemy, żebyście się nimi udławili. Jedźcie swoje pomyje, świnki!” – sparodiował Zuckerberga i jego poważny ton komik Michael Kosta z The Daily Show.

Świat płonie po erotycznej pogawędce

Meta chce nam dać więcej AI na Facebooku, a OpenAI zaczyna wykorzystywać strategie biznesowe i rozwiązania kojarzone z platformami społecznościowymi. Pod koniec września firma ogłosiła testy usługi GPT Pulse. Raz dziennie dla użytkowników wyższych poziomów subskrypcji chat podsuwa „puls dnia”, spersonalizowany zbiór ciekawostek/porad/aktualności w jakiejś mierze powiązany z indywidualną historią rozmów z AI. Brzmi, jak znany z platform społecznościowych feed, tylko w formie informacyjnej (slop) piguły. Idealne miejsce, w które w przyszłości będzie można wcisnąć, oczywiście spersonalizowane, reklamy.

Później pojawił się GPT Atlas, czyli wzmocniona przez AI wyszukiwarka, konkurencja dla

Google’a i jego „Przeglądu od AI”. Szef OpenAI Sam Altman ogłosił też, że firma chce zacząć traktować „dorosłych jak dorosłych” i chat będzie mógł wchodzić z pełnoletnimi użytkownikami w bardziej intymne interakcje i służyć np. do tworzenia tekstowych treści erotycznych.

To zwrot, który zaobserwowaliśmy już na platformie społecznościowej Elona Muska – szef X wprost zachęca do generowania erotycznych obrazków i testowania możliwości Groka, modelu firmy xAI w tym zakresie.

Według Altmana jego firma była ostrożna przy tworzeniu ChataGPT z uwagi na zdrowie psychiczne wrażliwych użytkowników. Bo na świecie coraz powszechniej podnosi się problem psychozy AI – zaburzenia, w którym relacja z „pomocnym, przyjaźniakiem” czatem pogłębia psychiczne problemy użytkownika, izoluje od rodziny, lekańskiej pomocy.

Teraz, gdy zdaniem Altmana (uwaga, w temacie zabezpieczeń modeli językowych trzeba mu wierzyć na słowo) OpenAI jest w stanie pokonać te przeszkody i złagodzić poważne problemy ze zdrowiem psychicznym – nie zdradził jednak, w jaki sposób – restrykcje dotyczące erotyki można połączyć. Nie da się ukryć, że użytkownik uzależniony od rozmowy z „przyjaźniakiem, flirtującym, seksownym” czatem będzie spędzał z nim więcej czasu, łatwiej będzie można monetyzować jego zaangażowanie.

Superinteligencja się oddala

Bo ostatecznie o zarabianie tu chodzi. I to jak najszybciej. Tym bardziej że marzenia o superinteligencji (AGI), która miałaby kompletnie przeobrazić rynek pracy i przejąć obowiązki białych kołnierzyków, nie chcą się zmateriałizować. W głośnym raporcie MIT czytamy, że 95 proc. narzędzi AI wdrożonych obecnie w firmach nie przynosi oczekiwanych ulatwień i oszczędności.

Zresztą ów pęd ku superinteligencji może się zakończyć krachem. Być może jesteśmy świadkami wzrostu największej bańki spekulacji

FOT. DONALD TRUMP/TRUTH SOCIAL

cyjnej w historii (przerastającej banikę internetową z 2000 roku).

Niepokoją grafy z raportów „Bloomberga” i „New York Timesa”, które krążą od października wszędzie tam, gdzie są sceptycy szału na AI. Pokazano na nich transfery finansowe między Nvidią, producentem kart graficznych i najdroższą firmą na świecie, a OpenAI i innymi start-upami AI oraz firmami obsługującymi centra danych (m.in. Oracle).

OpenAI i inne firmy AI kupują ogromne liczby kart graficznych, tworząc nieposkromiony na nie popyt, który wywindował Nvidię na szczyt rynku finansowego. Jednocześnie Nvidia inwestuje miliardy w OpenAI, a firma Sama Altmana podpisuje kontrakty z Oracle opiewające na kwoty rzędu 300 miliardów dolarów. Dla skali: koszt całego programu Apollo w przeliczeniu na dzisiejsze dolary wyniósł 260-300 miliardów.

Gigantyczne inwestycje w centra danych i moc obliczeniową mają swoje odzwierciedlenie w kosztach generowania wideo. Nie od dziś wiemy, że OpenAI przepala pieniądze, generując odpowiedzi swoich czatów.

Z treściami wideo jest podobnie. Według różnych źródeł jedno generowanie 10-sekundowego filmu w modelu Sora 2 może kosztować 3-5 dolarów (zużywamy energię, zasoby wody, minerały). A do jednego udanego wideo czasem prowadzi kilka, kilkanaście prób generowania. Koszty z pewnością idą w miliony dolarów dziennie.

Trzeba zatem wrócić do starych sposobów na zarabianie znanych z Facebooka i innych platform społecznościowych – dochodu z reklam. Dlatego w maju 2025 szefową aplikacji OpenAI (CEO of Applications) została Fidji Simo, która dekadę spędziła w Mecie jako szefowa aplikacji Facebooka, a wcześniej wiceszefowa monetyzacji, wideo, gier i dyrektorka ds. zarządzania produktem. ChatGPT i inne usługi OpenAI muszą zacząć na siebie zarabiać.

Śmierć rzeczywistości świetnie się ogląda

Popularność Sory 2 ma jeszcze inny aspekt. Otóż nowinką, która dała aplikacji dodatkowe paliwo do wiralowej popularności, jest możliwość generowania filmów nie tylko z samym sobą czy celebrytami, którzy wyrazili zgodę na użycie swojej twarzy (zrobił to m.in. Altman), ale także ze znanymi, nieżyjącymi osobami (OpenAI określa je jako postaci historyczne).

Platforma została więc zalana deepfake’ami Martina Luthera Kinga, Stephena Hawkinga, królowej Elżbiety czy Robina Williamsa. Spad-

kobiercy Kinga zdecydowanie zaprotestowali, co powstrzymało (przynajmniej na razie) produkcję kolejnych „dzieł”, nierzadko rasistowskich i obscenicznych.

Córka Robina Williamsa Zelda Williams przytłoczona nagraniami, które zaczęła dostawać, wystosowała apel: „Uwierzcie mi, to ostatnia rzecz, której chciałby mój ojciec”. YouTube’owy komentator Alex Pearlman w wideo opublikowanym po premierze aplikacji komentował: „Rzeczywistość umarła, nie możemy ufać naszym pierwszym reakcjom na żaden obraz, który widzimy. W swoim feedzie mam pana Rogersa przeprowadzającego wywiad z Tupakiem Shakurem. Kiedyś mogliśmy ufać archiwalnym nagraniom, bo kto chciałby je zmieniać? Sam Altman zdecydował, że powinniśmy przekreślać rzeczywistość”.

Prawa do wizerunku, prawa autorskie? MPA (Motion Picture Association), stowarzyszenie reprezentujące interesy największych studiów filmowych i platform streamingowych, pogroziło palcem i wezwało do większej kontroli firmy nad tym, co jest generowane w aplikacji. I tyle.

Zresztą, sposób działania OpenAI nie może dziwić – przecież modele całej branży wyszkolono m.in. na materiałach pozyskanych nielegalnie (sama Meta ściągnęła 81 terabajtów książek). To Mark Zuckerberg powiedział, a Musk i jego departament DOGE spopularyzowali motto: „Break things and move fast”, czyli działaj szybko, nie zważając na nic.

Uwierz i nie uwierz

Filmiki generowane w nowej Sorze bardzo często przypominają ujęcia z kamerek go pro, policyjnych body camów, kamer monitoringu czy w dzwonek przy drzwiach. To nie przypadek: w takich materiałach łatwiej ukryć gorszą rozdzielczość filmów AI, błędy obrazu. Bardzo możliwe, że tego typu nagrania stanowią znaczną część milionów godzin materiałów, na których ten model AI szkolono.

Wygląda na to, że umożliwienie szybkiego realistycznego generowania wideo z dźwiękiem pogrzebało wiarygodność nagrań jako obrazu obiektywnej rzeczywistości.

Mechanizm udostępniania własnego wizerunku w aplikacji do produkcji AI wideo przez innych użytkowników to prosta droga do manipulacji i prześladowania w internecie – nie trudno wyobrazić sobie sytuację, w której szkolni stręczyciele nagrywają kogoś, materiał przechodzi weryfikację aplikacji, po czym jest multiplikowany przez oprawców w upokarzających scenariuszach.

■
*Firmy technologiczne
zawsze dążyły,
by ich aplikacje w obsłudze były,
FRICTIONLESS,
czyli proste, bezproblemowe,
bez żadnych tarć*

Oczywiście big techy będą mówiły o ograniczeniach i zabezpieczeniach, ale widzimy za każdym razem, jak łatwo zabezpieczenia modeli sztucznej inteligencji obejść – np. zmuszać czaty do rozmawiania na tematy „zakazane”.

Nie ma sposobu, by ustrzec się przed fejkami – niewiele mówiący laikowi znak wodny, który pojawia się na filmikach Sory, można banalnie prosto, a jakże, za pomocą narzędzi AI usunąć. Nasi dziadkowie, ba, nasi rodzice nie rozpoznają mikroskopijnych artefaktów obrazu, nierealności przedstawionych sytuacji. Nieufność wobec obrazu będzie miała także swój rewers: z pewnością znajdą się manipulatorzy, którzy znaki wodne umieszczają na prawdziwych nagraniach z zamieszek czy brutalnych interwencji policji.

„Altman buduje dezinformacyjną fabrykę i socialmediową apkę. Musimy użyć własnego mózgu, żeby zadać sobie pytanie: dlaczego i jak na tym korzysta? To, co robi Sora, daje Altmanowi uwagę, kupuje mu czas i pozwala pozyskać jeszcze więcej pieniędzy od inwestorów, naciagać kolejnych jeszcze trochę dłużej” – twierdzi Adam Conover, lewicowy youtuber i komentator polityczny.

Kto pierwszy wciśnie enter

Zdjęcia, filmy AI są w stałym repertuarze polityków prawicy. Przykład daje „Król Trump”, który co chwila obsadza siebie w różnych wygenerowanych przez AI scenariuszach. Kto pamięta jeszcze przerażający i groteskowy film „Trump Gaza” z początku roku?

W międzyczasie, gdy nasilały się kontrowersje wokół wyciszenia sprawy akt Epsteina, prezydent USA raczył nas np. fikcyjnymi scenkami z aresztowania Obamy w Białym Domu, zdjęciami demokratów w więziennych pasiakach, swoim wizerunkiem w papieskich szatach. Na początku października prezydenckie kon-

to wrzuciło stylizowany na materiał newsowy wytwór AI o cudownych leczniczych łóżkach.

Apogeum przyszło podczas masowych protestów „No Kings”. Białe Dom opublikował na swoich kanałach nagranie AI, w którym przy muzyce z filmu „Top Gun” (oczywiście bez poszanowania praw autorskich twórców) prezydent USA w koronie na głowie w myśliwcu „King Trump” zrzuca na protestujących łajno.

Kilka lat temu takie wideo nie powstałoby (i nie zebraloby milionów reakcji), ponieważ wymagałoby to intensywnej pracy wielu osób: napisania scenariusza, zatrudnienia animatorów, zatwierdzenia przez szereg urzędników. Na różnych etapach taka produkcja wywołałaby, jeśli nie opór, to pytanie o sensowność działań i wydawanych środków.

To ta łatwość, z jaką przychodzi generowanie wideo, jest głównym grzechem nowej technologii. Firmy technologiczne zawsze dążyły, by ich aplikacje w obsłudze były, jak świetnie ujął to youtuber, pisarz i popularyzator nauki Hank Green, frictionless, czyli proste, bezproblemowe, bez żadnych tarć.

Te tarcia były nieodłączną częścią ludzkiej kreatywności i społecznego porządku. Tworząc sztukę, zwłaszcza wideo, nasza wizja ściera się z wizją innych osób, z obiektywną rzeczywistością i jej ograniczeniami. Rzeczywistość jest inna, bardziej skomplikowana? W dobie generatywnej AI tym gorzej dla rzeczywistości. Gdy przed wygenerowaniem filmu np. obrażającego politycznego przeciwnika czy grupę społeczną powstrzymuje użytkownika wyłącznie kapitał społecznej wrażliwości i empatii, zgadnijmy, kto się nie zawaha, by wcisnąć enter.

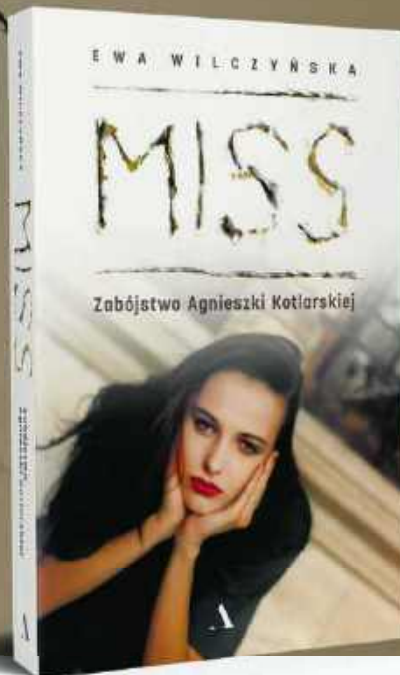
Tylko patrzeć, kiedy za przykładem zza wielkiej wody pójda polscy politycy. Na razie w komunikacji politycznej w Polsce agresywnego korzystania z AI w mainstreamie nie widać, ale w takich materiałach lubuje się np. Telewizja Republika, w której regularnie pojawiają się twory AI – np. Waldemar Żurek z krokodylem w wannie („Zdjęć krokodyla w domu ministra Żurka nie mamy, ale jest niezawodna sztuczna inteligencja”).

W sierpniu Magdalena Ogórek w programie w wPolsce24 z uśmiechem na ustach podała fejkowe zdjęcie przedstawiające czekających potulnie w korytarzu na Trumpa polityków UE. Po zwróceniu uwagi, że zdjęcie zostało wygenerowane przez AI, stwierdziła: „Jeżeli fejk, to śmieszny”. Czy ma znaczenie, że pies uratował niemowlęcia i nie było żadnej upadającej biblioteczki? Dla wielu ludzi absolutnie nie. Dlatego jest się czego bać. ●

REKLAMA

Kraj/34403608

PORUSZAJĄCY
REPORTAŻ
O CENIE SŁAWY,
toksycznych relacjach
i pragnieniu miłości,
która czasem przybiera
najstraszniejszą
z możliwych form.



„
Zwycięstwo w wyborach miss otwierało drzwi do wielkiej kariery – w modelingu, biznesie, a czasem także w bajkowym życiu prywatnym. Ale blask fleszy miał też swoją mroczną stronę. Obok zachwyty pojawiały się obsesję, fanatyzm i dramaty. Najtragiczniejszym symbolem tego czasu jest historia Agnieszki Kotlarskiej, miss, która zginęła z rąk wielbiciela.

EWA WACHOWICZ

producentka, dziennikarka i prezenterka telewizyjna, Miss Polonia 1992

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA
www.wydawnictwoagora.pl

KULTURALNY
SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo
Agora

KULTURA

Hit *z Kijowa*

Spektakle Iwana Urywskiego przyciągają w Polsce tłumy. Ukraińscy widzowie tęsknią za kontaktem ze swoją kulturą. I sporo za ten kontakt płacą.

Witold Mrozek

Król Makbet jest bardzo zmęczony. Tyran i uzurpator ślania się na nogach, twarz ma zakrwawioną, ostatkiem sił trzyma się władzy. Ale wyzwolicielem też ledwo stoi, brudny, wycieńczony. Wojna wreszcie się kończy, ale optymizmu w tym niewiele – ukraiński „Makbet”, którego 11 listopada pokazał w Teatrze Polskim w Warszawie dyrektor Andrzej Seweryn, a który dwa dni wcześniej miał europejską premierę w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim.

Ten „Makbet” – intensywny, wyrazisty, nieoczywisty – trwa ledwo półtorej godziny.

– Musimy robić krótkie spektakle, bo w Kijowie nigdy nie wiadomo, kiedy będzie alarm powietrzny – mówi 35-letni reżyser

Iwan Urywski na spotkaniu z publicznością w Gdańsku. Sala wypełniona po brzegi, na rozmowie po premierze zostali głównie ukraińscy widzowie. A przede wszystkim: ukraińskie widzki.

Hit z Kijowa w Warszawie

W samym Kijowie dostać dziś bilet na spektakl Urywskiego to nie lada sztuka. Miejsca w Teatrze im. Iwana Franki rozchodzą się błyskawicznie – Ukraińcy w czasie wojny w ogóle chętnie chodzą do teatru. Tylko dzięki znajomościom i statusowi zagranicznego dziennikarza obejrzałem przed rokiem w stolicy Ukrainy „Czarownicę z Konotopu”, która nawet na tle poruszenia w ukraińskim teatrze bije rekordy – to absolutny hit frekwencyjny i medialny.

Na przedstawienie wałą tłumy. Publiczność ściąga ją burleskowy humor i efektowne śpiewy, dowcip, wyestetyzowane obrazy, ludowe stroje i narodowa klasyka. Nowela Hryhorija Kvitki-Osnowjanenki „Czarownica z Konotopu” z 1837 roku mówi zresztą o kryzysie ukraińskiej państwowości. Czyli o kozackim setniku Mykicie, który nie stawia się na wojenne wezwanie hetmana – wówczas narodowego przywódcy – bo w swojej osadzie ściga rzekome czarownice.

– Chcemy pozbyć się fałszywych tradycji, „szarawarskiej folklorystyki”, która przyćmiewała rzeczywistą ukraińską kulturę w czasach radziecki. W „Czarownicę z Konotopu” łączymy ukraińskie stroje z paryską modą, autentyczną muzykę z współczesnym rave

– mówił w Gdańsku Jewhen Nyszczuk, dyrektor Teatru Franki i były ukraiński minister kultury.

„Czarownicy z Konotopu” jest pełno w internecie. Ukraińcy zupełnie nie mają problemu z używaniem w teatrze smartfonów. Streamują, fotografują, wrzucają relacje – promocja działa tu niejako oddolnie. Na Instagramie czy Tiktoku daje to tysiące klipów.

Uśmiecha się tylko, kto nic nie wie

Władza ekranu jest jednym z głównych tematów „Makbeta” Urywskiego. Zamiast trzech wiedźm, które w sztuce Szekspira skłaniają bohatera do zbrodni, są tu trzy wielkie świecące prostokąty, wszędobylsko zaglądające w różne punkty sceny i widowni dzięki ramionom metalowych dźwigów. Elektro-wiedźmy mówią trudnymi do odróżnienia głosami wszystkich aktorów spektaklu – są jak internetowy chór, medialna kakaofonia.

Scenografia Petro Bogomazowa to jedna z najmocniejszych stron kijowskiego przedstawienia. W osobliwy sposób łączy rozmach i czarno-biały minimalizm.

To nie tylko zmęczenie, brud i krew – w tym spektaklu czasu wojny, gdzie część słów to po prostu zapętłone komunikaty z wojskowych krótkofalówek i ogłoszenia z głośników.

Wojenny „Makbet” niesie też mroczny obraz kraju, w którym dzieje się akcja. Szkocja, podkreśla posłaniec, jest „nie matką, a grobem”. „Tam się uśmiecha tylko, kto nic nie wie” – wybrzmiewa szekspirowska kwestia (cytuję tu polskie tłumaczenie Leona Ulricha).

Nie napelnia nadzieją zwycięski Malcolm (Leonid Szerewera), który zastępuje Makbeta (Oleksandr Rudyński) na tronie; ma w kijowskim spektaklu nieco maniakałno, złowrogi rys; niepokojąco brzmi też jego decyzja, by natychmiast mianować sojuszników hrabiami.

„Historia nie jest w »Makbecie« jako wielki mechanizm. Pokazana jest jak koszmar” – pisał wybitny polski eseista Jan Kott w roku 1960. I bohaterowie kijowskiego „Makbeta” nie mogą z niego się obudzić.

Sprzedażowy sukces – ale po cichu

Kijowski „Makbet” w Gdańsku i Warszawie to nie pierwsza wizyta spektaklu Urywskiego w Polsce.



„Czarownica z Konotopu” już do nas przyjeżdżała. W maju 2025 r. do Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku we współpracy z Fundacją BoFolk. Wcześniej grana była m.in. w Teatrze Słowackiego w Krakowie, np. w listopadzie 2024 r. dwukrotnie jednego dnia – choć bez polskich napisów i bez informacji na stronie teatru. Mimo to bilety rozeszły się w kilka godzin.

Informacji nie było, bo krakowski teatr udostępnił przestrzeń na zasadzie wynajmu – spektakl organizowała firma FCA, zajmująca się przede wszystkim produkcjami tras koncertowych. FCA – First Concert Agency – to ukraińska agencja artystyczna zarejestrowana w Tallinie, w Estonii. Spektakl grany był w zasadzie wyłącznie dla ukraińskiej diaspory. Mamy w Polsce równoległy obieg życia kulturalnego – media i instytucje nie za bardzo wciąż go zauważają.

Funkcjonowanie w warunkach komercyjnych nie jest dla ukraińskiego teatru niczym nowym. Choć w Ukrainie znacznie więcej teatrów niż w Polsce ma przy swojej nazwie przymiotnik „narodowy”, oznaczający stałą dotację z budżetu centralnego, to zarazem w znacznie większym stopniu muszą polegać one na wpływach z biletów i na sponsorach – publiczne dofinansowanie jest tam zbyt skromne.



Ukraińcy interesują się polskim teatrem – a czy Polacy mogliby zainteresować się też ukraińskim? Bo „Makabet” Iwana Urywskiego to nie jest jedynie tożsamościowy teatr dla narodowej mniejszości

Teraz „Czarownica z Konotopu” wróci do Polski: 19 stycznia będzie można ją zobaczyć w Teatrze Wielkim w Łodzi, a 21 stycznia – w Teatrze Polskim w Warszawie.

Informacji o styczniowych pokazach „Czarownicy...” nie ma na stronach polskich teatrów. Dlaczego, skoro o „Makbecie” – spektaklu tego samego teatru – informacja jest?

– Pokazy „Makbeta” to forma hybrydowa. Pierwszy raz próbujemy łączyć komercyjne tournée z dyplomacją kulturalną. Chcemy nawiązywać kontakt z kulturalnymi instytucjami w krajach, w których gramy. Prosimy o informacje na stronach internetowych i napisy z tłumaczeniem. Zależy nam na relacjach ze środowiskami kulturalnymi z krajów, gdzie gościmy – mówi „Wyborczej” Anastasja Hajszenec z Teatru Iwana Franki w Kijowie.

▲ **Ukraiński „Makbet” 21 stycznia znowu zagości na deskach Teatru Polskiego w Warszawie**
FOT. JULIA WEBER

Polska sztuka w Ukrainie

W marcu 2025 roku z warsztatami dla młodych reżyserów gościł w Teatrze Franki w Kijowie polski reżyser Jan Klata, świeżo wybrany dyrektor warszawskiego Teatru Narodowego. Chwilę później, w maju, Teatr Franki zorganizował wraz Fundacją Cultura Moderna duży przegląd polskiej dramaturgii – miałem okazję brać w nim udział.

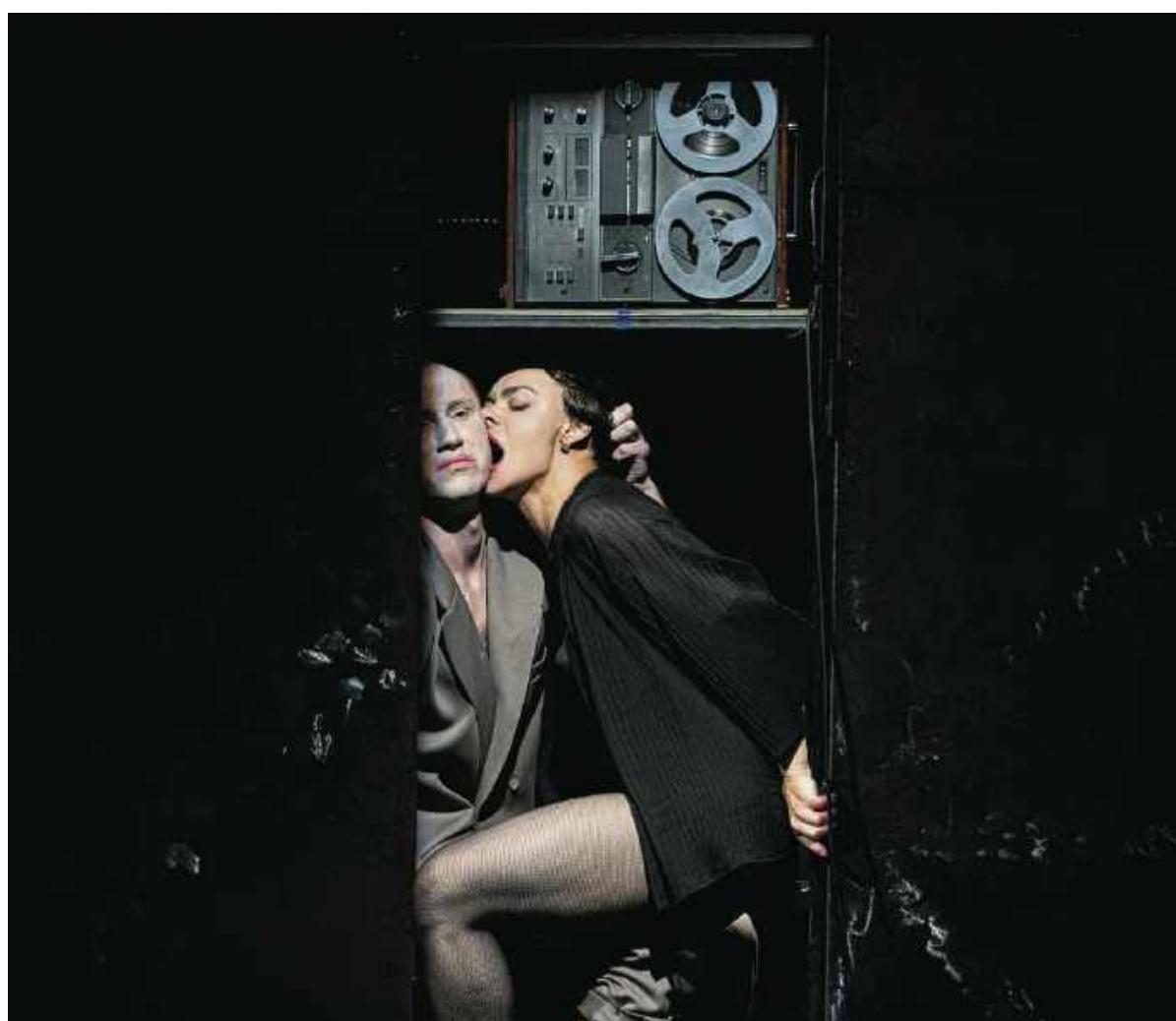
Było tam także, pierwszy raz po ukraińsku, „Do piachu” Tadeusza Różewicza – dramat opowiadający o demoralizacji polskich oddziałów partyzanckich podczas II wojny światowej, w specjalnie na tę okazję przygotowanym tłumaczeniu Marii Jasińskiej. W czytaniu performatywnym na scenie Teatru Franki wziął m. in. lekarz wojskowy, psychiatra specjalizujący się w leczeniu PTSD. Na scenie i widowni byli także artyści-żołnierze.

Sztuka Różewicza, w Polsce wielokrotnie krytykowana jako przedstawiająca wojsko i wojnę w krzywym, drastycznym zwierciadle – w Kijowie odebrana była po prostu jako dramat realistyczny, niemalże dokumentalny.

Ukraińcy interesują się polskim teatrem – a czy Polacy mogliby zainteresować się też ukraińskim? Bo przecież sztuka Urywskiego to nie jest jedynie tożsamościowy



„Kaligule” widziałem jeszcze w Kijowie. **Konflikt o władzę w Imperium Rzymskim przeniesiono w świat XX-wiecznych totalitaryzmów, ogarnięty dyktatorską paranoją, poddany ciągłej inwigilacji**



wy teatr dla narodowej mniejszości. W zeszłym roku jego „**Kaligule**” kijowski teatr grał latem w Awinionie – w ramach offowego festiwalu towarzyszącego głównej, słynnej imprezie. Francuskie recenzje były entuzjastyczne. Ukraiński teatr walczy o widzialność – i stara się być wszędzie tam, gdzie może – na takich zasadach, jak to możliwe. „Czarownica z Konotopu” prosto z Łodzi i Warszawy pojedzie między innymi do Wiednia i Londynu, Barcelony czy Lizbony – wszędzie razem z agencją FCA.

„**Kaligule**” też widziałem jeszcze w Kijowie. Konflikt o władzę w imperium Rzymskim przeniesiony jest tam w świat przypominający XX-wieczne totalitaryzmy, ogarnięty dyktatorską paranoją, poddany ciągłej inwigilacji. Wydany w 1944 dramat Alberta Camusa ukraiński reżyser pokazuje z perspektywy nieustannie podsłuchujących bohaterów funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Przez scenę przewijają się kilometry magnetofonowej taśmy.

Ukraiński teatr: od klasyki do queerowego offu

W polskim świecie teatralnym znany jest przede wszystkim nurt niezależny ukraińskiego teatru, zaangażowany, polityczny – związany z głównie Charkowem i tamtejszym offem.

Na tegorocznym festiwalu Boska Komedia w Krakowie spektakl będzie pokazywać Kostiantyn Vasiukov – twórca charkowskiego Teatru Publicyst, dziś współpracujący między innymi z krakowskim KTO. W jego spektaklu „Eros i Psi” grają Nina Batovska i Kateryna Vasiukova, które same tworzą też wyraziste, feministyczne projekty artystyczne – chociażby „Czuję do ciebie miętę” z Teatru Zagłębia w Sosnowcu, pokazywane na Boskiej Komedii dwa lata temu.

Od lat aktywna w Polsce jest reżyserka Roza Sarkisian – jej dziejącą się w Warszawie sztukę o żalobie i o sytuacji migrantki publikował „Dialog”, w warszawskim Powszechnym wystawiła z kolei spektakl „**Radio Mariia**” o Polsce w przyszłości, gdy przestał istnieć Kościół katolicki.

Natomiast w Dramatycznym za Moniki Strzępki Sarkisian robiła z Fundacją Reszka queerowy kabaret Bliadski Circus. Ten ostatni projekt funkcjonuje do dziś, ale w Berlinie – gdzie artystów gości miejski Maxim Gorki Theater, kierowany przez Shermin Langhoff, imigrantkę z Turcji. Sarkisian zrobiła w teatrze Gorkiego kolejne przedstawienie – znów nie doceniamy, co mamy nad Wisłą.

Na tym tle teatr Iwana Urywskiego – Ukrainka pracującego głównie w Ukrainie, a nie w Polsce czy na Zachodzie – może wydawać się może nie tyle „konserwatywny”, co klasycyzujący. Urywski sięga właściwie tylko po rodzimą i światową klasykę – wystawiał Iwana Frankę, Olę Kobylańską, Alberta Camusa czy Fryderyka Schillera – a nie po szybko rozwijającą się w Ukrainie współczesną dramaturgię, często pisaną przez kobiety – na przykład robiącą karierę również w filmie Natalię Worobyt czy Alinę Sarnatą, lewicową aktywistkę i doktorantkę socjologii, do niedawna też żołnierkę.

Ale też dynamika życia teatralnego w Ukrainie jest inna niż w Polsce – to rzeczywistość bardziej konserwatywnych instytucji, z którymi rywalizuje bardziej z kolei radykalny teatr offowy. Nawet „**Makbet**” Urywskiego – wciąż dość klasyczny, choć zarazem to najlepszy i najbardziej wyrazisty moim zdaniem jego spektakl, z tych, które widziałem, oczywiście – przyjmowany był przez ukraińską krytykę z pewną ostrożnością. Czy forma nie przerosła treści? Czy technologia nie przyćmiła człowieka? – takie pytania stawiali ukraińscy recenzenci.

Ukraiński teatr jest różnorodny – wciąż jednak za mało widoczny na polskich scenach. Teatry w Polsce walczą o widza, czemu nie miałyby zwrócić się do ukraińskich migrantów? Urywski pracował już w teatrach w Kownie i Pradze, dlaczego nie miałby zrobić czegoś w Krakowie czy w Warszawie?

Ukraińscy widzowie tęsknią za kontaktem ze swoją kulturą. I dziś za ten kontakt płacą ceny znacznie wyższe niż chodzący do teatru Polacy – pewnie również dlatego, że okazję do oglądania sztuk ze swojego kraju mają znacznie rzadziej.

Bilety na przyszłoroczne polskie tournée „Czarownicy z Konotopu” kosztują od 140 zł do przeszło 500 zł. Bilety na warszawski pokaz „**Makbeta**” kosztowały od 284 zł do 548 zł. Obejrzenie przedstawienia będzie z pewnością tańsze, gdy ukraiński „**Makbet**” wróci do Polski w wakacje – spektakl Urywskiego będzie można zobaczyć na 30. Międzynarodowym Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku. ●

▲ **Spektakl „Czarownica z Konotopu”, bije w Kijowie rekordy popularności. Obszerne fragmenty są można zobaczyć w internecie**
FOT. JULIA WEBER

◀ **Spektakl „Kaligula” pokazano latem w Awinionie, na imprezie w ramach słynnego festiwalu teatralnego. Francuskie recenzje były entuzjastyczne**
FOT. JULIA WEBER

KTO NIENAWIDZI PISARZY?



Andrzej Poczobut uwięziony przez reżimem Łukaszenki. Spotkanie liderki białoruskiej opozycji Swietłany Cichanouskiej z mieszkańcami Warszawy, na pl. Zamkowym (03.06.2021)

Groźby, tortury, więzienie. W Iranie za wiarę, w Arabii Saudyjskiej za zdjęcie bez chusty, w Chinach za pisanie o seksie. W Izraelu bez powodu. To nie są dobre czasy dla ludzi pióra.

Wojciech Szot

Mahvash Sabet, jedna z przywódczyni irańskich bahaistów, jedzie do Meszhedu, niewielkiego miasta na północy, które jednak jest ważnym ośrodkiem akademickim. Od lat pomaga prześladowanym współwyznawcom w dostępie do edukacji, bo na państwowych uczelniach bahaici nie mają czego szukać. Nie dotrze na miejsce, irańskie władze ją aresztują. Sabet w areszcie czeka ponad dwa lata, w czerwcu 2010 roku dostaje wyrok: 20 lat więzienia za szpiegostwo i działanie na szkodę kraju. PEN America w specjalnym raporcie informuje, że w aresztach i więzieniach jest dziś wielu ludzi pióra – tak wielu po raz pierwszy od dekad.

Bahaici, czyli wróg

„Od dzieciństwa piszę poezję. Moje listy wyglądały jak wiersze, nawet szkolne wypracowania stawały się wierszem. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że poezja to coś, co należy kształcić, pielęgnować i rozwijać. Nigdy nie przypuszczałam, że stanie się moim naj-

wienniejszym towarzyszem. W więzieniu” – pisała Mahvash Sabet we wspomnieniach opublikowanych przez angielski PEN Club. Urodziła się w 1953, w Teheranie skończyła studia, została psycholożką, pracowała jako nauczycielka, ale nie było łatwo. Jest bowiem bahaistką, wyznawczynią religii, która pojawiła się XIX wieku i w świecie islamskim uważana jest za herezję. Bahaistów prześladowano i podczas demokracji Iranu po II wojnie światowej, rządów szacha Rezy Pahlawiego, i po wybuchu rewolucji islamskiej w 1979 roku, gdy uznano, że byli wśród doradców obalonego szacha. Bahaici wciąż są wewnętrznymi wrogami, a ich prześladowania nasiliły się w XXI wieku. Po wybuchu rewolucji Sabet zabroniono pracy w edukacji publicznej. Została dyrektorką Bahaickiego Instytutu Szkolnictwa Wyższego, instytucji działającej jak półtajny uniwersytet. W 2008 roku ją i szóstkę innych przywódców bahaistów aresztowano. W sądzie reprezentowała ich Shirin Ebadi, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z 2003 roku. Wyrok – 20 lat więzienia – dał asumpt do zwiększenia prześladowań. – Około 132 lokali i sklepów należących do bahaickich rodaków zostało zapieczętowanych i zamkniętych pod fałszywym pretekstem w ciągu ostatniego miesiąca – pisała Ebadi w 2016 roku do Wysokiego Komisarza ds. Praw Człowieka przy ONZ. Prawniczka zwracała uwagę, że bahaici nie mogą być zatrudniani w państwowych urzędach i firmach, a także pracować w zawodach, które wymagają urzędowego potwierdzenia, jak gastronomia czy fryzjerstwo. „Nie mogą studiować na uniwersytetach, przez co nie mają dostępu do specjalistycznej wiedzy. Dlatego mogą pracować tylko w małych firmach – pisała Ebadi. – Nadszedł czas, aby irański rząd uznał prawa obywatelskie bahaickich obywateli i zakończył ich prześladowania” – wyzywała. Na próżno.

Podczas pierwszego pobytu w więzieniu Sabet zaczęła pisać wiersze. Używała do tego skrawków papieru i papierowych ręczników, a rękopisy przekazywała rodzinie podczas odwiedzin. Trzy lata po aresztowaniu wiersze trafiły w ręce mieszkającego w Wielkiej Brytanii krewnego poetki. Zostały przełożone na angielski. W 2013 roku ukazał się tom „Prison Poems”. Irańskie władze skróciły jej wyrok. Sabet wyszła z więzienia w 2017 roku, znów trafiła tam w lipcu 2022. Została oskarżona o „udział w grupach działających przeciwko bezpieczeństwu narodowemu”. Wyrok: 10 lat. „Moja mama jest starszą kobietą, która spędza czas w domu, pisząc wiersze. Nie mogą jej nawet zarzucić, że zorganizowała spotkanie. Podczas przesłuchań wielokrotnie analizowali jej wiersze w nadziei, że znajdą coś obciążającego” – mówiła w mediach mieszkająca w Australii córka Sabet. Jej zdaniem podczas przesłuchań poetka była bita i przetrzymywana w izolatce. Z więzienia trafiła też na operację do szpitala. Mahvash Sabet ma 72 lata i jest ikoną walki o wolność pisarzy i pisarek. Jej los jest niejasny. Być może przebywa „na zwolnieniu”, ale – zapewne ze względu na bezpieczeństwo – nie znamy szczegółowych informacji. PEN International przyznało jej tytuł Pisarki Odwagi, a honorowe członkostwo przyznały jej lokalne organizacje PEN w Austrii, Danii i Wielkiej Brytanii. 3 kwietnia 2025 roku Parlament Europejski wezwał do uwolnienia Sabet wraz z innymi więźniami sumienia na całym świecie, a szczególnie w Kamerunie, Białorusi i Iranie, gdzie „przy najwyższym na świecie wskaźniku wyroków śmierci na mieszkańca sytuacja w zakresie praw człowieka nadal się pogarsza”, jak napisali europosłowie. Potępiono „systemowe prześladowania kobiet, dzieci oraz mniejszości etnicznych i religijnych, takich jak chrześcijanie, bahaici, Kurdowie i Beldudziowie”.

Niechlubny ranking. Kto więzi pisarzy i pisarki?

Od sześciu lat rośnie liczba uwięzionych ludzi pióra: pisarzy i dziennikarzy – wynika z Indeksu Wolności Pisania opublikowanego przez PEN America. W 2024 roku znaleźliśmy nazwiska 375 pisarzy przebywających w więzieniach w 40 krajach. Jak zwracają uwagę twórcy Indeksu, można zaobserwować „niepokojące trendy”, jak choćby ten, że do więzień trafia coraz więcej pisarek oraz osób klasyfikowanych jako komentatorzy internetowi, którzy są zatrzymywani za opinie publikowane w Internecie. 80 pisarzy i pisarek przebywa w więzieniach lub aresztach bez postawionych oficjalnie zarzutów.

MJANMA – Wai Moe Naing

10 uwięzionych osób wg raportu PEN America

Na początku lat 20 XXI wieku Mjanma była krajem, który wtrącił do więzień najwięcej pisarzy i pisarek. W 2021 roku państwo zajęło trzecie miejsce w tym strasznym rankingu. Wśród uwięzionych byli Sean Turnell, austrijski profesor ekonomii, autor książki poświęconej systemowi finansowemu Mjanmy, uznany na całym świecie ekspert w tej dziedzinie i doradca legendarnej polityczki Aung San Suu Kyi. Turnell spędził w więzieniu 650 dni. Wśród więźniów reżimu jest Wai Moe Naing, urodzony w 1995 roku, aresztowany w 2021 początkujący pisarz. Naing był jednym z przywódców pokojowych protestów przeciwko zamachowi stanu. Podczas procesu musiał się bronić sam. Aresztowano również chcących go reprezentować prawników. Oskarżono go o morderstwo i porwanie z zamiarem zabójstwa i w 2022 roku skazano na 10 lat więzienia. Kilka miesięcy później sąd dodał 4 lata między innymi za naruszenie przepisów antycovidowych.

W Mjanmie – jak uważa PEN America – rośnie ryzyko dalszych prześladowań. Jednym z powodów może być pozbawienie przez administrację Trumpa środków finansowych Amerykańskiej Agencji ds. Globalnych Mediów (USAGM). To jej fundusze wspierały niezależne media jak Radio Wolna Azja. Na szczęście dla niezależnych mediów sądy amerykańskie wydają wyroki nakazujące rządowi przywrócić finansowanie USAGM.

EGIPT – Ahmed Serag i Ashraf Omar 10 uwięzionych osób

Władze egipskie, jak pisze PEN America, „stosują represyjne taktyki, aby uciszyć dziennikarzy, blogerów, aktywistów i literatów”.

Na początku 2025 roku aresztowały dziennikarza Ahmeda Seraga. Nastąpiło to tuż po wywiadzie, który przeprowadził z profesorką i tłumaczką Nadą Mougheeth, żoną więzionego rysownika Ashrafa Omara. Samą Nadę Mougheeth oskarżono o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości” i „dołączenie do grupy terrorystycznej”, jednak zwolniono za kaucją. Serag został wypuszczony z aresztu dopiero w czerwcu.

Ashrafa Omara władze zatrzymały w 2024 roku pod zarzutami „rozpowszechniania fałszywych wiadomości”, „nadużywania internetu” i „przynależności do grupy terrorystycznej”. Wciąż nie postawiono mu oficjalnie zarzutów.

BIAŁORUŚ – Andrzej Poczubut 15 uwięzionych osób

Dziesięciu z piętnastu przetrzymywanych przez białoruski reżim twórców znajduje się w aresztach lub więzieniach od co najmniej 2021 roku.

Jednym z nich był dziennikarz białoruskiej sekcji Radia Wolna Europa – Radia Swoboda Andrzej Kuznieczyk. Aresztowany 25 listopada 2021 roku, początkowo skazany na 10 dni więzienia pod zarzutem chuligaństwa, nie został zwolniony po odbyciu kary. Tym razem postawiono mu zarzuty karne za rzekome stworzenie grupy ekstremistycznej. Dostał wyrok sześciu lat w łagrze.

Kuznieczyk został wypuszczony z więzienia w lutym 2025 roku. Liderka białoruskiej opozycji Swiatłana Cichanouska, która po wyborach została zmuszona do opuszczenia Białorusi z powodu obaw o bezpieczeństwo, powiedziała, że jego uwolnienie to „wspaniała wiadomość”. Drugą uwolnioną osobą była aktywistka Alena Mauszuk. Oboje zostali przewiezieni do Wilna.

Białoruskie władze wypuściły również niezidentyfikowanego obywatela amerykańskiego. Jak powiedziała Karoline Leavitt, rzeczniczka Białego Domu, uwolnienie więźniów to znak „dyplomatycznej odwilży”, która może pomóc w postępie w negocjacjach w sprawie zakończenia walk na Ukrainie.

W białoruskim więzieniu od czterech lat przebywa Andrzej Poczubut, białoruski korespondent „Gazety Wyborczej”. „Jest więziony tylko dlatego, że jest Polakiem i jest dziennikarzem” mówił w TVN 24 Bartosz Wieliński, zastępca redaktora naczelnego „Wyborczej”.

TURCJA – Mevlut Aykoc, Sami Tan i Ronayi Onen 18 uwięzionych osób

Jak pisze PEN America, w 2024 roku w Turcji „władze rozprawiły się z wolnością słowa i dziennikarstwem na wielu różnych frontach”. Represje dotknęły głównie kurdyjskich pisarzy i publicystów. Nie widać szans na zmianę kursu.

W 2025 roku pod zarzutem promowania „ideologii” aresztowani zostali Mevlut Aykoc, Sami Tan i Ronayi Onen, autorzy podręczni-

ka do języka kurdyjskiego. Jak podaje Channel 8, kurdyjska niezależna telewizja, książka ukazała się już 10 lat temu i „odegrała kluczową rolę w pomocy wielu dzieciom i młodzieży w Północnym Kurdistanie w nauce czytania i pisania po kurdyjsku”.

Sami Tan w latach 2007-2016 był dyrektorem Instytutu Kurdyjskiego w Stambule. Jest autorem wielu książek z zakresu gramatyki języka kurdyjskiego oraz przekładów na kurdyjski.

ROSJA – Siergiej Michajłow 18 uwięzionych osób

Wkrótce po inwazji Rosji na Ukrainę weszła w życie ustawa, w myśl której osobom rozpowszechniającym rzekomo fałszywe informacje na temat wojny w Ukrainie grozi 15 lat więzienia.

W sierpniu 2024 roku na osiem lat więzienia został skazany Siergiej Michajłow, dziennikarz i wydawca niezależnej syberyjskiej gazety „Listok”. Wyrok wydano po dwóch latach przetrzymywania Michajłowa w areszcie, do którego trafił za pisanie o zabijaniu cywilów i niszczeniu infrastruktury cywilnej w Buczy i innych ukraińskich miastach. Sąd zakazał również Michajłowowi pracy dziennikarskiej na cztery lata po zwolnieniu.

W sierpniu 2023 roku na 8 lat więzienia został zaocznie skazany Dmitrij Gluchowski, niezwykle popularny pisarz i dziennikarz. Po wód? „Dyskredytacja rosyjskiej armii” przez „celowe rozpowszechnianie fałszywych informacji o rosyjskich siłach zbrojnych”.

Gluchowski został uznany za winnego publikowania tekstów i filmów na swoich kanałach w mediach społecznościowych, w których oskarżał rosyjskich żołnierzy o popełnianie zbrodni w Ukrainie. Kilka miesięcy wcześniej pisarz został uznany za „zagranicznego agenta”.

IZRAEL – Rafaat Alareer 21 uwięzionych osób

W 2024 roku ujawniono siedem nowych przypadków nałożenia aresztu na osoby piszące. Łącznie w więzieniach i aresztach pozostaje 21 pisarzy i dziennikarzy. Wielu z nich zatrzymano w areszcie administracyjnym, bez formalnych zarzutów lub dowodów przeciwko nim.

Zdaniem PEN America wojna w Strefie Gazy to najbardziej krwawa wojna dla pisarzy od czasów II wojny światowej. Do grudnia 2024 roku udokumentowano śmierć co najmniej 125 osób związanych ze światem kultury. Wśród nich jest 24 pisarzy, 83 profesorów, 12 poetów, dwóch autorów piosenek, dwóch filmowców, dramaturg i tłumacz. „Liczyby te odzwierciedlały nie tylko ludzkie żniwo wojny, ale także jej niszczycielski wpływ na życie kulturalne i akademickie Gazy” – podkreślają twórcy raportu.

W marcu 2025 roku izraelska policja zatrzymała Latifeh Abdellatif, niezależną palestyńską fotoreporterkę, która współpracowała z Reutersem, ABC News, BBC i Al-Dżazirą. Zarzucono jej między innymi „wspierania terroryzmu”. Abdellatif udało się uniknąć długotrwałego pobytu w areszcie – po kilku dniach sąd warunkowo ją uwolnił. Musiała jednak zapłacić ponad 10 tys. szekli (ponad 11 tys. zł) kaucji „jako gwarancję, że pojawi się, gdy zostanie wezwana na przesłuchanie”.

Rafaat Alareer zginął 6 grudnia 2023 roku w izraelskim ataku lotniczym w północnej części Strefy Gazy wraz z bratem, siostrą i czwórką siostrzeńców.

Urodzony w 1979 roku w mieście Gaza i wykształcony między innymi w Londynie był wykładowcą uniwersytetu w rodzinnym mieście. Uczył literatury angielskiej i kreatywnego pisania. Był także współzałożycielem organizacji We Are Not Numbers (Nie Jesteśmy

Liczbami) ułatwiającej palestyńskim pisarzom publikowanie po angielsku. Uważał, że dla Palestyńczyków jako osób będących „pod okupacją, opowiadanie historii wykracza poza wartość edukacyjną, stając się pilną potrzebą posiadania własnej narracji”.

Podczas wojny publikował m.in. w „New York Timesie” i komentował wydarzenia dla BBC i ABC News, współpracował też z dziennikiem „El País”.

W grudniu 2024 roku ukazała się jego książka „If I Must Die. Poetry and Prose” (Jeśli muszę umrzeć. Poezja i proza). Tytułowy wiersz – napisany po angielsku w 2011 roku – stał się wiralem. Zamieszczony na jego twitterowym koncie post z treścią wiersza został udostępniony 36 milionów razy. „Jeśli muszę umrzeć/ musisz żyć,/ by opowiedzieć moją historię”, tak zaczyna się utwór uznawany za najsłynniejszy wiersz XXI wieku.

WIETNAM – Pham Doan Trang 23 uwięzione osoby

Najsłynniejszą pisarką przetrzymywaną w wietnamskim więzieniu jest Pham Doan Trang. Urodzona w 1978 roku pisarka, blogerka i wydawczyni uznawana jest za jedną z najważniejszych wietnamskich dysydentek. Skazana została za „prowadzenie propagandy przeciwko Socjalistycznej Republice Wietnamu”.

Zasłynęła opisywaniem wietnamskiej korupcji i rządów komunistycznego reżimu. Była również współtwórczynią Sieci Wietnamskich Blogerów.

Policja nałożyła na nią areszt domowy w 2018 roku, a w 2020 aresztowała. Trang została oskarżona o „propagandę przeciwko państwu”, za co grozi w Wietnamie 20 lat więzienia. Pod koniec 2021 roku pisarkę skazano na 9 lat pozbawienia wolności. Przeciwnie wyrokowi protestowała między innymi Amnesty International. Zdaniem organizacji wietnamskie władze uciekały się wobec Trang do „nękania, inwigilacji, gróźb, tortur i fałszywych oskarżeń”.

Zdaniem twórców raportu PEN America wietnamskie władze tłumią wolność słowa, wprowadzając monopol w mediach i na rynku wydawniczym, cenzurując publikację. „Pozbawienie finansowania Amerykańskiej Agencji ds. Globalnych Mediów (USAGM) prawdopodobnie będzie miało długoterminowy wpływ na przestrzeń wolności słowa w Wietnamie” – pisali twórcy raportu jeszcze przed tym, jak amerykański sąd nakazał wstrzymać rozporządzenie administracji Trumpa.

ARABIA SAUDYJSKA – Manahel al-Otaibi 23 uwięzione osoby

Najbardziej zagrożeni aresztowaniem są komentatorzy internetowi, blogerzy i niezależni dziennikarze. Solą w oku władz są osoby krytykujące brak praw kobiet w Arabii Saudyjskiej. „Ośmiu pisarzy uwzględnionych w Indeksie odsiadauje wyjątkowo długie wyroki, co najmniej 11 lat” – pisze PEN America. Zdaniem twórców raportu Arabia Saudyjska nakłada na osoby piszące jedne z najdłuższych na świecie wyroków.

W styczniu 2024 roku na 11 lat więzienia skazano blogerkę i influencerkę Manahel al-Otaibi. Po raz pierwszy aresztowano ją w 2022 roku za wyrażanie w sieci opinii na temat praw kobiet, dwa lata później została skazana za publiczne wzywianie do zniesienia zasad męskiej kurateli, zgodnie z którą kobiety niemal niczego nie mogą zrobić bez zgody męża lub ojca.

Al-Otaibi opublikowała zdjęcia, na których robi zakupy ubrana w „zachodni” strój, bez tradycyjnej abaji czy zakrycia włosów. Kilka miesięcy po wyroku inna więźniarka dźgnęła Al-Otaibi nożem.



• Andrzej Poczubut



• Mahvash Sabet Shahriari



• Mevlut Aykoc

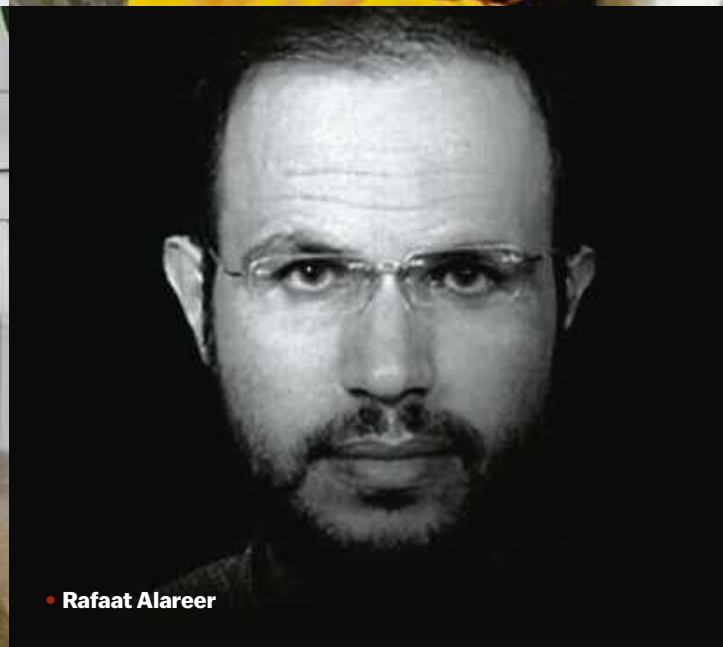
80 pisarzy/rek
przebywa w areszcie
bez postawionych
oficjalnie zarzutów.
Coraz więcej osób
zatrzymuje się też
za ich opinie
w Internecie



• Manahel-al-Otaibi



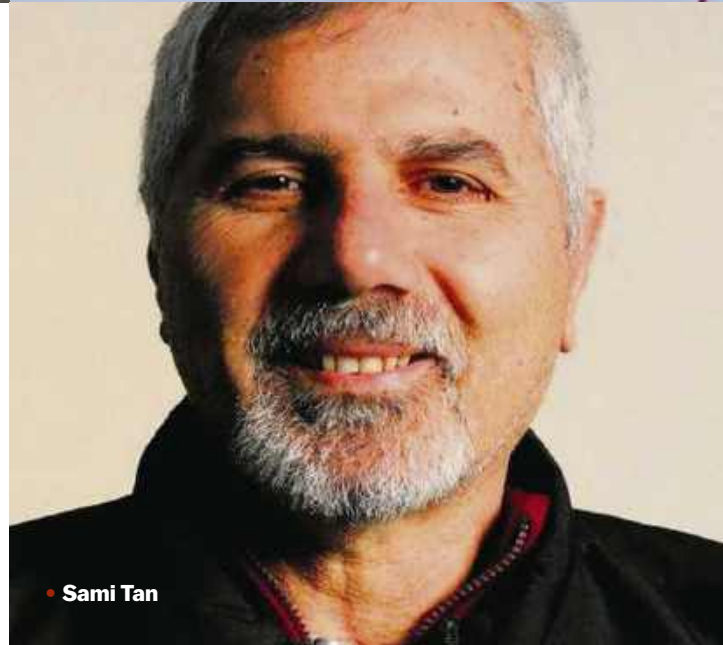
• Pham Doan Trang



• Rafaat Alareer



• Siergiej Michajłow



• Sami Tan



• Ronayi Onen



• Wai Moe Naing

W 2024 roku 375 pisarzy i dziennikarzy przebywało w więzieniach w 40 krajach – wynika z Indeksu Wolności Pisania PEN America

IRAN – Saman Yasin

43 uwięzione osoby

Więzienie dla pisarek – tak piszą twórcy raportu o Iranie. Wśród przetrzymywanych jest aż 13 kobiet. Wiele twórców władze poddają inwigilacji i cenzurze, wielu ucieka za granicę.

Raper Saman Yasin uciekł w grudniu 2024 roku, dwa miesiące po tym, jak został wypuszczony z więzienia z powodów medycznych. Został uwięziony w 2022 roku i oskarżony o „wojnę przeciwko Bogu”, za co grozi w Iranie kara śmierci. Jak twierdzą twórcy raportu, Yasina poddawano torturom takim jak pozorowane egzekucje.

„Była piąta rano, gdy strażnicy właśnie kazali mi się spakować. Zawiązano mi oczy i wprowadzono z celi. W pewnym momencie włożono mi na szyję pętlę. Byłem w niej przez 15 minut” – mówił CNN. Obecnie, po ucieczce z Iranu, mieszka w Berlinie.

CHINY – anonimowe pisarki erotyków

118 uwięzionych osób

Do więzienia można trafić za pozytywne pisanie o demokracji, krytykę partii komunistycznej czy promowanie języka i kultury mniejszości etnicznych. Wiele z uwięzionych to Ujgurzy, Tybetańczycy lub Mongołowie. Najczęściej zarzuca się im „separatyzm”. Podobnie jak w Iranie i Białorusi wielu twórców uciekło z kraju.

Nowością w 2024 roku były masowe aresztowania pisarzy publikujących w internecie fikcję erotyczną. „Specjalna grupa zadaniowa” chińskiej policji ma docierać do autorów erotyków publikowanych na utrzymywanej w Tajwanie stronie internetowej Haitang Literature. Aresztowano przynajmniej 10 piszących pod pseudonimem osób. Wiele z nich pisało homoerotyczne opowiadania.

Czołowa autorka literatury haitangskiej Yuan Shang Bai Yun Jian (pseudonim literacki) została skazana na cztery lata i sześć miesięcy więzienia. Inna pisarka o pseudonimie Yi Xie została skazana na rok i pięć miesięcy więzienia w zawieszeniu. Kontrolowane przez państwo chińskie media nie informowały o aresztowaniach, a szczegóły pojawiały się głównie na platformach społecznościowych. Doniesienia – pochodzące z singapurskich i tajwańskich mediów – mówią o tym, że warunkiem łagodniejszego wyroku było oddanie państwu pieniędzy, które pisarze zarobili na swoich tekstach.

Koniec legendarnych mediów?

To szósta edycja Indeksu Wolności Pisania. Według danych PEN America w 2024 roku w 40 krajach uwięziono 375 osób zajmujących się szeroko pojętym pisaniem – blogerów, pisarzy i dziennikarzy. Twórcy raportu podkreślają, że oszczędności administracji Trumpa polegające na wycofaniu funduszy przeznaczonych dla agencji wspierających demokrację i wolność słowa w krajach, gdzie rządzą autorytarne reżimy, przyczynią się do pogorszenia się sytuacji osób piszących.

Mimo zatrzymania przez sąd rozporządzeń Trumpa fundusze dla takich organizacji jak Radio Free Asia (Radio Wolna Azja) wciąż są zamrożone. Na początku maja 2025 roku radiostacja poinformowała, że zwalnia pracowników i rezygnuje z nadawania większości audycji. Problemy ma również legendarne radio Voice of America (Głos Ameryki). Jest to krytykowane nawet przez republikańskich prawników, którzy dostrzegają, że zaprzestanie wspierania działalności wolnych mediów daje pole dla rosyjskiej i chińskiej propagandy.

„Każdy dzień, w którym nie nadajemy programów, jest dniem, który pozwala naszym wrogom na niekontrolowane rozprzestrzenianie propagandy” – mówiła CNN dziennikarka radia Patsy Widakuswara. Donald Trump najwyraźniej inaczej rozumie wrogów. ●

FOT. RAFAŁ MAŁO/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE (5), PEN INTERNATIONAL, AMNESTY INTERNATIONAL, DOMENA PUBLICZNA, WORDS WITHOUT BORDERS

BO BISKUPI NIEMCOM PRZEBACZAĆ NIE BĘDĄ!

Na placu Mickiewicza w Poznaniu Gomułka niemal oskarżał prymasa Wyszyńskiego o zdradę. A on w tym samym czasie przewodził uroczystości kościelnej na Ostrowie Tumskim. Ludzie zaczęli tam masowo odpływać

Tomasz Polak*

Biskupi polscy przebywający w Rzymie na Soborze Watykańskim II 18 listopada 1965 roku wystosowali list do uczestniczących razem z nimi w Soborze biskupów niemieckich. Był on jednym z 56 listów wysłanych wówczas przez polskich biskupów katolickich do krajowych episkopatów w Europie, Ameryce, Azji, Oceanii, Afryce oraz do Światowej Rady Kościołów, a także do patriarchy ekumenicznego Konstantynopola Atenagorasa – z zaproszeniem na obchody Millennium Chrztu Polski (jak brzmiało to w ówczesnej terminologii polskich biskupów katolickich). Ten list był jednak wyjątkowy – ze względu na bolesną historię relacji obu narodów, której biskupi nie omieszkali przypomnieć. Jego kluczowa fraza brzmiała: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” („Wir vergeben und bitten um Vergebung”).

Pełniejszy kontekst tych słów stanowiło najpierw przypomnienie wydarzeń owej bolesnej historii, a następnie wpisanie ich we wspólny udział w Soborze oraz w nadchodzące wydarzenie Millennium chrześcijaństwa w Polsce. Takie ustawienie, zarazem historyczne i aktualne, nadawało Listowi wymiar uniwersalny.

Ówczesne władze PRL potraktowały jednak List jako pretekst do uderzenia w Episkopat, a w szczególności w prymasa Stefana Wyszyńskiego, choć to nie on był jego głównym pomysłodawcą. Inicjatywa napisania takiego właśnie listu do biskupów niemieckich wyszła od arcybiskupa Bolesława Kominka, wówczas administratora apostolskiego we Wrocławiu, który był głównym autorem tekstu, a także od współpracujących z nim biskupów-administratorów diecezji na zachodzie i północy Polski: Wilhelma Pluty (Gorzów), Jerzego Stroby (Szczecin) i Ignacego Jeża (Koszalin).

Warto zauważyć, że wszyscy oni byli Górnoślązakami, pracującymi wcześniej jako księża na wspomnianych obszarach dzisiejszej Polski, kiedy jeszcze należały one do Niemiec.

Histeria wywołana wokół Listu przez władze przekraczała wszelkie miary. Organizowano zebrania i masówki, których uczestnicy na życzenie władz potępiali List. Trzeba sobie zdawać sprawę, że nie było to trudne. Pamięć wojny i zbrodni niemieckich była bardzo silna. A propaganda partyjna jeszcze ją wzmacniała – np. przedstawiając kanclerza Niemiec w płaszczu krzyżackim i szafując słowem „niemiecki rewizjonizm”, które miało oznaczać chęć odebrania Polsce przez Niemcy tzw. Ziemi Odzyskanych.

W repertuarze motywów ówczesnej propagandy ze strony władz PRL znalazły się najcięższe zarzuty – włącznie z oskarżeniem o zdradę narodową. Władze zarzucały biskupom, że ich List jest zdradą interesów narodowych Polski, co było oczywiście motywowane politycznie – miało zdyskredytować List i jego autorów w oczach społeczeństwa.

Ponadto cytowano celowo zmanipulowane i niedokładne fragmenty Listu, wyrrywając je z kontekstu, by uwypuklić ów aspekt zdrady.



• Ostrow Tumski we Wrocławiu. Pomnik kard. Bolesława Kominka (1903-74), głównego autora listu do biskupów niemieckich. Na pomniku w dwóch językach słynne słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”
FOT. ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Jednym z najsilniej manipulowanych pojęć było kluczowe dla sensu Listu słowo „przebaczenie”. Przedstawiano je mianowicie jako próbę rozgrzeszenia niemieckich zbrodni popełnionych na Polakach – co koresponowało ze wspomnianą silną i bolesną w Polsce pamięcią tych zbrodni.

Istotną rolę odgrywały również przygotowane wcześniej „kalki” propagandowe – np. zdjęcie niemieckiego kanclerza Konrada Adenauera (skądinąd przeciwnika nazistów i demokracji, jednego ze współtwórców konstytucji RFN) w płaszczu krzyżackim. Zdjęcie to wykonane zostało w roku 1958, kiedy Adenauer został honorowym członkiem Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, potocznie zwanego zakonem krzyżackim.

Zilustruję to dodatkowo własnym przeżyciem z listopada roku 1965. Byłem wtedy w siódmej klasie szkoły podstawowej. W każdej z klas naszej szkoły jej kierownik (wtedy nie było dyrektorów) organizował na lekcji wychowawczej potępienie Listu biskupów. W mojej klasie tylko dwu z nas odmówiło odpowiedzi. Uwaga: nie odmówiło poparcia żądania kierownika, tylko powiedziało: na ten temat się nie wypowiadam.

Byłem jednym z nich. Skądinąd nie miało to dla nas dwu żadnych konsekwencji, chociaż klasa uznała, że jesteśmy jacyś dziwni.

Kampania władz PRL wokół Listu była swego rodzaju przygrywką do wydarzeń roku 1966 – według polskich biskupów roku Millennium, a według ówczesnych władz roku Tysiąclecia Państwa Polskiego. Począwszy od kwietnia tego roku organizowano konkurencyjne kościelne i państwowe obchody tej rocznicy, które władze państwowe regularnie wizerunkowo przegrywały – m.in. za sprawą nieroztropnego przywoływania przez Władysława Gomułkę wykrzywionego wizerunku Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski.

Podczas obchodów państwowych na pl. Mickiewicza w Poznaniu 17 kwietnia 1966 roku Gomułka mówił m.in.:

„Jakże ograniczony i wyzbyty z narodowego poczucia państwowości musi być umysł przewodniczącego Episkopatu polskiego, który z tych tragedii, jakie spotkały Polskę, wyciąga taki tylko wniosek, że naród polski mógł »bardzo często być i bez króla, i bez wodza, i bez zwierzchników, i bez premierów, i bez ministrów, ale naród ten nigdy nie żył bez pasterza«.

Ten wojujący z naszym państwem ludowym nieodpowiedzialny pasterz pasterzy, który głosi, że nie będzie się korzył przed polską racją stanu, stawia swoje urojone pretensje do zwierzchnictwa nad narodem polskim wyżej niż niepodległość Polski.

Jakież to musi być zaślepienie, które każe mu zapomnieć o naukach historii, zapomnieć o tym, kto Polskę zgubił, a kto ją wyzwolił, dzięki komu Polska powróciła na Ziemię Piastowskie i dzięki komu i czemu jest pewna, że je na zawsze zachowa, a kto po te ziemie znowu wyciąga ręce i na czyje poparcie liczy.

Jakież to musi być zaślepienie tego kierownika Episkopatu polskiego i jego popleczników lansujących pokraczną, antynarodową ideę »przedmurza«.

Ta wypowiedź okazała się pułapką, którą szef partii zastawił na samego siebie. Po tych słowach poznaniacy zgromadzeni na uroczystości państwowej na placu Mickiewicza zaczęli masowo odpływać na Ostrów Tumski, gdzie odbywała się właśnie uroczystość kościelna pod przewodnictwem Stefana Wyszyńskiego. Podobno Gomułka był tak wściekły, że wyjechał z Poznania nawet bez obiadu.

Tradycja pisania przez biskupów do biskupów jest w Kościele bardzo dawna i sięga I wieku naszej ery. Kiedy tylko pod koniec tego stulecia ukształtował się urząd biskupi, czyli przekonanie, że biskup („episkopos”, nadzorca) to szczególna funkcja wiążąca jej nosiciela z apostołami i z samym Jezusem Chrystusem, rozwinęła się praktyka pisania przez pojedynczych biskupów lub ich grupy listów do innych biskupów. Zwykle chodziło o zwracanie sobie uwagi na istotne sprawy, wyzwania lub zagrożenia, ale był to zarazem w ówczesnych warunkach komunikacyjnych sposób podtrzymywania jedności episkopatu. Innym (trudniejszym) sposobem były wzajemne wizyty.

Taka – coraz bardziej osobna – komunikacja między biskupami przyczyniała się skądinąd do tego, co nieco anachronicznie trzeba by nazwać klerykalizacją episkopatu. Pod koniec I wieku biskupi (a także prezbiterzy) czuli się coraz bardziej „warstwą wyższą” wspólnot chrześcijańskich.

To poczucie narastało w następnych stuleciach aż po początek IV wieku i „upaństwowienie” kościołów

chrześcijańskich. Kiedy Augustyn z Hippony wybrał się do Ambrożego, biskupa Mediolanu, w roku 385, został przyjęty, jak sam pisze, „dość po biskupiemu” („satis episcopaliter”, Augustyn, „Wyznania”, 5, 13, 23). Jest wiele interpretacji tego „po biskupiemu”, ale sens intuicyjny wydaje się jasny. Mówiąc najprościej: biskupi zachowują się właśnie „po biskupiemu”.

Tak czy inaczej wzajemne obdarzanie się listami jest jedną z charakterystycznych aktywności biskupów od samych początków aż po dziś dzień.

Potrzebne jest teraz spojrzenie z drugiej strony – na reakcję adresatów, czyli biskupów niemieckich, na przekazany im List. Streszczam ją formułą „impact i impas”. List był zbyt wielką sprawą, by nie uderzyć adresa-

Byłem wtedy w siódmej klasie szkoły podstawowej. W każdej z klas kierownik zorganizował potępienie listu biskupów. W mojej tylko dwu z nas odmówiło odpowiedzi, w tym ja. Koledzy uznali, że jesteśmy jacyś dziwni

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL



*Tomasz Polak

• (do 2008 r. Węclawski) ur. w 1952 r., teolog, filozof, pisarz. Były ksiądz katolicki, kapłaństwo porzucił w 2007 r. Wcześniej był m.in. rektorem seminarium duchownego w Poznaniu, dziekanem poznańskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego, dziekanem Wydziału Teologicznego UAM, członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. Od 2006 r. kierownik Pracowni Pytań Granicznych UAM.

tów (impact) i nie zmusić ich do refleksji i reakcji. Okazało się jednak, że biskupi niemieccy w większości nie byli dobrze przygotowani na tę sytuację. Zaakceptowali List i podziękowali za niego, ale ich reakcja była zdaniem wielu zbyt ostrożna. To, co mogło być natychmiastowym przełomem, zostało rozmyte (impas).

Jednym z wyjątków był Julius Döpfner, należący do kluczowych postaci powojennego Kościoła niemieckiego. Döpfner już od początku lat sześćdziesiątych głosił konieczność przyznania win Niemców wobec Polaków i zabiegał o pojednanie między oboma narodami. Wobec Listu polskich biskupów zachował tę samą uczciwą moralnie postawę i zachęcał swoich kolegów biskupów do adekwatnej odpowiedzi. To się jednak nie do końca powiodło. Właśnie dlatego używam tu słowa: impas.

Nie należy jednak traktować tego zbyt dramatycznie. Emocje polskie w stosunku do Niemców były wtedy, powtórzmy, nadal silne. Emocje niemieckie w stosunku do Polaków zdradzały nadal silne symptomy wyparcia.

Skądinąd bardziej jednoznaczni w kwestii pojednania obu narodów byli niemieccy ewangelicy. W tym samym roku 1965, 1 października, Kościół Ewangelicki w Niemczech (EKD) opublikował tzw. Ostdenkschrift (Memorandum wschodnie). Stanowiło ono ważny krok w kierunku pojednania z Polską, ponieważ torowało drogę do uznania granicy na Odrze i Nysie za granicę niemiecko-polską.

To, że taki specyficzny dokument Kościoła Ewangelickiego mógł się spotkać z tak silnym odzewem, dziś jest trudne do wyobrażenia. Pełny tytuł tego, być może najbardziej wpływowego i opiniotwórczego tekstu Kościoła Ewangelickiego brzmi: „O sytuacji wypędzonych i stosunkach narodu niemieckiego z jego wschodnimi sąsiadami”.

„Zaledwie 20 lat po zakończeniu wojny memorandum to stało się sygnałem pojednania, który działa do dziś” – wyjaśnia obecna radna EKD, biskupka Kirsten Fehrs. Gościem okolicznościowej konferencji w Sejmie RP w rocznicę opublikowania tego tekstu był m.in. wiceprzewodniczący Bundestagu Bodo Ramelow (die Linke - Lewica). Ramelow jest członkiem prezydium Kościoła Ewangelickiego w Niemczech.

Zwrócę teraz uwagę na charakterystyczne zjawiska „kontekstowe” i zarazem urealnijające dla Listu, o którym tu przede wszystkim mowa. Po stronie niemieckiej warto zauważyć dwa takie zjawiska – które zresztą miały żywy oddźwięk także w Polsce.

Pierwszym jest Akcja Znak Pokuty – Służba dla Pokoju („Aktion Sühnezeichen Friedensdienste” – ASF). Akcja została założona w 1958 roku w Berlinie w ramach EKD – z misją pokuty za bezprecedensowe naru-

szenia praw ludzkich przez nazistów i zarazem okazania konkretnej solidarności z ludźmi przez nich prześladowanymi. ASF jest organizacją otwartą na współpracę z wieloma organizacjami partnerskimi w Europie, Izraelu i USA.

Została założona przez ewangelików, ale wkrótce dołączyli także katolicy. Do czasu zjednoczenia Niemiec ten ruch rozwijał się równolegle w RFN i NRD. To głównie NRD-owska część owego ruchu utrzymywała kontakty z Polską. Postaciami emblematycznymi dla tych kontaktów stali się ze strony niemieckiej Günter Särchen (katolik) i Lothar Kreyssig (ewangelik, członek tzw. Bekennende Kirche, czyli tej części Kościoła Ewangelickiego w Niemczech, która nie podporządkowała się nazistom), a ze strony polskiej Tadeusz Mazowiecki.

Cel organizacji określono jako odbudowę zniszczonych wojennych w krajach, które najbardziej ucierpiały w wyniku reżimu nazistowskiego i II wojny światowej oraz szukanie pojednania z narodami prześladowanymi przez nazistów. W pierwszym rządzie organizacja wysłała swoich wolontariuszy do Polski, ZSRR i Izraela. Jej rozwój pozwolił na wysyłanie ich także do innych krajów: Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Czech, a po rozpadzie ZSRR także na Ukrainę i Białoruś. Wolontariusze ASF podjęli pracę również w tych krajach, których wojna bezpośrednio nie dotknęła, ale gdzie jeszcze żyją ofiary tamtych czasów – poza Izraelem także w USA.

Od lat sześćdziesiątych istnieją kontakty pomiędzy Akcją Znak Pokuty i różnymi partnerami w Polsce. Pierwsze wyjazdy zorganizowanych grup ochotników do Polski odbyły się w 1965 i 1966 roku. Za czasów PRL kontakty te były utrzymywane przy pomocy redaktorów pism katolickich: „Gościa Niedzielnego” (ks. Franciszek Gawor), „Przewodnika Katolickiego” (Marek Węclawski, mój ojciec), „Tygodnika Powszechnego” (Mieczysław Pszon), „Więzi” (Anna Morawska, Tadeusz Mazowiecki) i „Znaku” (Hanna Małewska), a także nieoficjalnymi drogami przez osoby prywatne.

Innym dziełem niemieckim na rzecz ofiar nazizmu, przede wszystkim w Polsce, stało się Maximilian-Kolbe-Werk. Organizacja powstała wprawdzie dopiero w roku 1973, jej korzenie tkwią jednak dużo wcześniej. Początek dała pokutna pielgrzymka do Polski w maju 1964 roku.

Część członków niemieckiej sekcji „Pax Christi” dołączyła do Alfonsa Erba [założyciela Maximilian-Kolbe-Werk] w drodze do miejsca pamięci Auschwitz-Birkenau. Spotkanie z pewnym polskim małżeństwem okazało się kluczowe i miało dalekosiężne konsekwencje. Oboje ocaleni małżonkowie byli w bardzo złym stanie zdrowotnym i znaleźli się w trudnej sytuacji finansowej. Członkowie pielgrzymki pokutnej natychmiast na miejscu zebrali pieniądze dla tej pary. Z tej spontanicznej inicjatywy w 1965 roku rozwinęła się akcja „Ofiara solidarnościowa” na rzecz ocalałych w Polsce.

Jak widać, lata 1964-65 okazały się rzeczywiście kluczowe dla pojednania polsko-niemieckiego i niemiecko-polskiego. W centrum stoi najwyraźniej List polskich biskupów z 18 listopada 1965 roku, ale to jakby środek wiru, w którym połączyło się wiele zjawisk – wcześniej mało prawdopodobnych lub wręcz nieprawdopodobnych – które spłotyły się w wielką sieć impulsów, które z kolei stopniowo zaowocowały pojednaniem religijnym, kulturowym i politycznym. Na tym tle widać też, jak dzisiaj szkodzą pojednaniu i zgodnemu sąsiedztwu obu krajów kalkulacje polityczne wykorzystujące motywy antyniemieckie – tak jak robi to dziś m.in. prezes PiS-u Jarosław Kaczyński.

Po stronie polskiej, wśród polskich katolików, a w szczególności duchownych reakcja była zróżnicowana. Polscy księża w ogromnej większości instynktownie nie ufali akcjom sterowanym przez władze partyjne. Większość z nich w sytuacji konfliktu wokół Listu zachowywała się ostrożnie.

Trzeba zarazem pamiętać, że księża boleśnie pamiętali swoich współbraci zamordowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych lub zabitych w walkach. Stosunkowo niewielka grupa związana z ruchem Bolesława Piaseckiego była nastawiona bardziej „propanstwo”. Ci jednak z kolei reprezentowali endecką tradycję wrogości wobec Niemiec i zwrotu w stronę Rosji.

Z kolei polscy publicyści emigracyjni dość zgodnie postrzegali List jako krok osłabiający komunizm nie tylko w Polsce, ale w całym bloku wschodnim. Kiedy w atakach na Kościół, które wkrótce po publikacji Listu zaczęły władze PRL, pojawił się zarzut, że biskupi chcą wprowadzić Polskę z radzieckiego czy też, jak mawiano, ze „słowiańskiego” kręgu kulturowo-politycznego, paradoksalnie harmonizowało to z poglądem Juliusza Mieroszewskiego z paryskiej „Kultury”, który twierdził, że „Orędzie” to w gruncie rzeczy działanie bardzo antykomunistyczne, bo rozluźnia związki między PRL i Sowietami.

O tym, że kwestia ta była ważna i nie do końca satysfakcjonująca rozwiązana jeszcze przez lata, świadczy głośny artykuł Tadeusza Nowakowskiego, na łamach tejże paryskiej „Kultury” (1971), w którym autor konstatuje, że wreszcie zaczyna wiać „inny wiatr” w tej sprawie.

W kręgu tolerowanych w PRL środowisk katolickich, związanych z tygodnikami: „Tygodnikiem Powszechnym”, „Przewodnikiem Ka-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Krystyna Dąbrowska*

Hila

1,
Ścięła warkocz sięgający kolan.
Rzuciła pracę nauczycielki gry na flecie
w beduińskiej szkole na pustyni.
Zwinęła gniewne transparenty. Wyjechała.
Nie odcięła się tylko od języka.

Czyta w nim, odkąd skończyła dwa lata.
W wieku sześciu lat zaczęła pisać wiersze.

Mówi w tym języku do ciepłolubnych kwiatów,
które przywiozła z Tel Awiwu do Berlina
i ozdobiła nimi dom swojej dziewczyny.
Całą zimę przestawia je w pogoni
za skąpym słońcem.

W tym języku usłyszała od rodziców:
nie mamy już córki.
W tym języku istnieje słowo „sziwa” –
siedmiodniowa żałoba po najbliższych.
Rodzice Hili odprawili sziwę



*Krystyna Dąbrowska - ur. w 1979 r., poetka, eseistka, tłumaczka.
Utwór za: Dąbrowska, „Wiersze wybrane”, wydawnictwo a5,
Kraków 2025.

FOT. ALBERT ZAWADA/AGENCJA WYBORCZA.PL

po jej starszym bracie, który zabił się w armii.
Teraz – mówi Hila, gdy pijemy kawę
w knajpce na Kreuzbergu – ojciec
odprawia sziwę po mnie.

Hilę zwolniono od służby w armii.
Studiowała historię i muzykę.
Najbardziej własną muzykę
znalazła w języku hebrajskim.

2.
Rodzice Hili, dzieci Szoo, emigrowali
z Rumunii do Palestyny.
W hebrajski weszli jak do domu,
który dopiero trzeba sobie wybudować.

Hila, ich najmłodsze, późne dziecko,
urodzone w państwie Izrael,
wypisała swój język z państwa
i zabrała go jak namiot na wędrowkę.



tolickim” i „Gościem Niedzielnym” oraz z takimi miesięcznikami jak „Znak” i „Więź”, akceptacja i poparcie dla Listu były znaczne, jakkolwiek trudno było je ujawniać publicznie ze względu na ingerencje cenzury, usuwającej wszystko, co nie podobało się z perspektywy oficjalnej linii władz. Ponieważ redakcje nie mogły jeszcze wówczas oznaczać miejsc ingerencji cenzury, prawie niemożliwe jest zrekonstruowanie poglądów, którym ówczesni katolicy dziennikarze chcieli dać wyraz.

Z kolei prasa związanej z linią Bolesława Piaseckiego środowiska PAX-u - przede wszystkim „Słowo Powszechne” – przyjmowała zdecydowanie pogląd władz. „Słowo” nie skomentowało pozytywnie Listu, a jego reakcja była zgodna z linią polityczną władzy, co oznaczało potępienie Listu jako inspirowanego przez niemieckich rewizjonistów, a nie odzwierciedlającego prawdziwą wolę narodu polskiego. Gazeta powtórzyła oficjalną krytykę Listu jako „antypolskiej prowokacji”, zgodnej z pragnieniami „zachodnio-niemieckich rewizjonistów”.

Początkiem nowego czasu nadchodzącego w polsko-niemieckiej historii stało się spotkanie Tadeusza Mazowieckiego, od kilku tygodni pierwszego niekomunistycznego premiera Polski, z niemieckim kanclerzem Helmutem Kohlem w Krzyżowej, dawnym majątku Helmutha Jamesa von Moltke, jednego z tych, którzy opierali się wszechwładzy nazistów i zapłacili za to życiem.

Spotkanie zapoczątkowała „msza o pojednanie” celebrowana przez biskupa opolskiego Alfonsa Nossola i innych duchownych katolickich, w obecności także duchownych ewangelickich z Niemiec i Pol-

A może tak poszukać szczęścia w Finlandii

Kiedy tylko do mojej świadomości ojca, syna, czytelnika, pisarza zyskuje dostęp ostrze życia publicznego, smutnieję. Dosłownie. Jest mi niewygodnie. Tracę źródlaną radość.



Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu „Za pięć trzynasta”

Za największy błąd, jaki popełniają dziś intelektualisci, uważam fragmentaryczność. To, że w procesie refleksji wyjmują z biblioteki życia społecznego jedną szufladkę i analizują tak, jak gdyby była całym księgozbiorem. Jak robi się z ubraniem, kiedy trzeba wybrać je „na okazję”.

Wiem, że przyjęcie szerszej perspektywy wymagałoby ryzyka: zmiany języka, zaangażowania zmysłów i wyobraźni. Lecz może warto. Warto powiedzieć coś językiem bar-

dziej rozległym. Mówię więc, w imię wyzwolenia od fałszywego poczucia, że jedna „sprawa”, która coś znaczy, reprezentuje wszystkie „sprawy” świata, w którym żyjemy.

Źródłana radość życia pryska

Zacznę od tego, że życie społeczne, w tym życie polityczne, jest dla mnie, obywatela i człowieka, bezustannym przyczyną dyskomfortu. Kiedy tylko do mojej świadomości ojca, syna, czytelnika, pisarza zyskuje dostęp ostrze życia publicznego, smutnieję. Dosłownie. Jest mi niewygodnie. Tracę źródlaną radość.

W postaci skrajnej objawiło się to kilka miesięcy temu, kiedy po raz pierwszy w życiu (i jak na razie ostatni) dopadł mnie atak epilepsji. Długo mógłbym uzasadniać, dlaczego winę za ten przypadek przypisałem społecznej pętli, jaka od jakiegoś czasu zaciskała się na moim poczuciu wolności, radości istnienia.

Dziś, pragnąc, by atak obronny własnego organizmu się nie powtórzył, zawsze staram się precyzyjnie nazwać zło, które mnie atakuje. I nie jest to zło cząstkowe, na przykład poczucie, że PiS i obie Konfederacje gwałcą podstawy mojego oglądu i odczuwania świata jako przestrzeni wolności i szczęścia. To jakiś ogólny zamach na naturalność życia w szczęściu bycia na świecie. Zamiar perwersyjnych

umysłów, by życie naturalne uczynić wymyślonym i narzuconym.

Szczęście w trochę mądrzejszym kraju

Kiedy myślę o krajach żyjących w ludzkim wymiarze, ulegam przez chwilę złudzeniu, że byłoby nam – nam wszystkim – szczęśliwie w Finlandii albo Norwegii. W którymś z krajów, gdzie polityków wybiera się po to, żeby mądrze zarządzali gospodarką i dobrami wspólnymi, zostawiając dobra indywidualne jednostkom.

Którymś z krajów, w których Kościół jest kościołem nieinwazyjnej wiary, gdzie poczucie tożsamości jest respektowane i chronione przed agresją lobuzów, gdzie złodzieje u władzy – jeśli tacy się zdarzą – są osądzani przez prawo niezdegenerowane manipulacjami rządzących, gdzie polityka zagraniczna jest dbałością o dobrostan życia we wspólnocie państw zorientowanych na solidarność i życzliwość, bez inwektiw i mocarstwowych przechwałek.

Kiedy śledzę – a śledzę – wydarzenia krajowe, choćby opowieści o dokonaniach Ziobry w czasach kiedy był rażącym ministrem i teraz kiedy się boi, z mojej życiowej misji wytrącają mnie nie tylko historia tego człowieka i jego kariery. Od rzeczy istotnych odciąga mnie ogólne przepotwornienie polityki i jej

ambicji. Jej samoistość i niezależność od zasadniczego celu, jakim powinno być szczęście.

Kontur oczekiwań taki oczywisty

Ustalmy raz jeszcze, po trzech tysiącach (z grubsza) lat tradycji, na którą łatwo się nam powołać, platformę obywatelskich oczekiwań. Niezwykle łatwo jest wyznaczyć jej kontur, znaczony potrzebą spokoju, przewidywalności, niezagrożenia, nieingerencji, racjonalności, nieignorancji, delikatności, szacunku, samorealizacji, nietykalności.

Są jeszcze inne rzeczy, ale pochodzą od tego, co powiedziałem przed chwilą. Wszystko inne jest gwałtem, który wprawia lub wpędza w przykrość. Czegóż więc oczekuję ja, obywatel, który pragnie też być szczęśliwy jako człowiek? Niewtrącania się do zawilości dużej. Dbałości o gospodarkę i bezpieczeństwo. Starania o to, żeby ludzie mieli co jeść, gdzie mieszkać, leczyć swoje choroby, oglądać filmy, wystawy i sztuki. Całą resztę państwo ma zostawić w pogodnym spokoju.

Chcę czuć się dobrze. Już same zasady przemijania – gwarantuje nam niewygodę. A skoro jest ona wspólna, niech polityka zastanowi się, czy może sprawić, byśmy przeżywali ją solidarnie. ●

ski. Podczas tej mszy Mazowiecki i Kohl przekazali sobie znak pokoju, który stał się symbolem nadchodzącej nowej epoki. Był to zarazem czas upadku muru berlińskiego i „głosowania nogami” przez dotychczasowych mieszkańców NRD przeciw tzw. niemieckiemu państwu robotników i chłopów.

Jak wiadomo, polityka zjednoczonych Niemiec dopiero się wtedy kształtowała i potrzebnymi było jeszcze wiele zabiegów politycznych i dyplomatycznych, by ustabilizować sąsiedzką granicę i wzajemne odniesienia. Umowa o uznaniu przez oba kraje polsko-niemieckiej granicy na Odrze co Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy – 16 stycznia 1992. To formalny początek sąsiedztwa i współpracy, dzięki którym udało się usunąć znaczną część uprzedzeń i nawiązać więzi nie tylko polityczne, ale społeczne, kulturowe i osobiste.

Tym bardziej nieodpowiedzialne jest dzisiaj podsycanie napięć, nieufności i ograniczanie wzajemnych kontaktów ze strony antyniemieckich ruchów politycznych w Polsce, które grozi destrukcją tego, co osiągnięto od pamiętnego Listu biskupów z roku 1965.

Co jeszcze czeka nas w relacjach obu narodów, trudno przewidzieć. Wygląda na to, że niedobrowolnie znaleźliśmy się razem z Niemcami na kolejnym zakręcie historii. Na poziomie oficjalnym współpraca się zacieśnia. W wielu kwestiach premier Donald Tusk i kanclerz Friedrich Merz są zgodni – np. co do rozwoju infrastruktury między Polską a Niemcami, wzmocnienia europejskiej obronności, pomocy dla Ukrainy czy zagrożenia ze strony Rosji. To sprawy, które w Polsce są dobrze odbierane.

Ale na porządku dziennym są również sprawy bardziej skomplikowane – np. kontrola granic i plany zawracania migrantów z granicy Niemiec. Obaj przywódcy mają identyczne poglądy i konkretne pomysły na przyszłość Europy: wzmocnienie Trójkąta Weimarskiego, rozwijanie zdolności obronnych i wsparcie dla Ukrainy.

Merz dał również do zrozumienia, że rozumie polską wrażliwość i odpowiedzialność Niemiec za krzywdy wyrządzone Polsce i Polakom podczas II wojny światowej. Jak widać, echo słów sprzed 60 lat można słyszeć i dzisiaj.

Arcybiskup Kominek i współautorzy Listu biskupów do biskupów niemieckich z 18 listopada roku 1965 naprawdę dobrze wiedzieli, co trzeba było wtedy powiedzieć.

Co będzie? Trudno dzisiaj przewidzieć. Historia znowu stała się nieprzewidywalna, a w jej ramach także przyszła historia polsko-niemiecka. ●

Adam Michnik razy trzy

Mieć wrogów – oto los rasowego publicysty. To lepiej niż być przemilczanym

Jan Kofman*

Oto Adam Michnik w wielu odsłonach – czytamy tu o nim, czytamy rozmowę z nim i jego publicystykę. Bo na wydaną niedawno książkę „Obywatel Michnik” składają się trzy części.

Najpierw obszerne wprowadzenie Przemysław Witkowskiego, przedstawiające życiorys polityczny i pisarski Michnika.

Część druga to 200-stronicowa rozmowa z nim „twardych” lewicowców, Witkowskiego i Michała Siermińskiego. Wynika z niej, że autor ze swoimi poglądami politycznymi, mierzonymi wedle lewicowego klucza, już od dawna lewicowcem nie jest; jeśli go więc z jakimś sensownym rozumieniem lewicowości spręgnąć, to bardziej już, jak sądzę, z lewicowym liberalizmem, cokolwiek by to miało oznaczać.

Z kolei 600-stronicowa część trzecia książki (25 tekstów) jest wyborem możliwie reprezentatywnym spośród różnych, bardzo licznych publikacji Michnika.

Ciekawe wprowadzenie Witkowskiego, którego treść podziela zapewne i drugi interlokutor Michnika, jest zarówno rodzajem przedmowy do jego zamieszczonych w książce tekstów, jak i prezentacją własnych poglądów ideowych jego rozmówców.

Odrębne miejsce w tym „wstępie” zajmuje owa bardzo obszerna rozmowa Siermińskiego i Witkowskiego z Michnikiem. Przypomniane w niej zostały wydarzenia z odległej już dla większości czytelników przeszłości, w których Michnik bądź uczestniczył czynnie, bądź je komentował. Jest ta rozmowa także formą dyskusji z różnymi interpretacjami jego postępowania, jakie mu często towarzyszyły.

Michnik zaczynał swą publiczną działalność jeszcze w latach 60., jako nastolatek, w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności, który współzakładał. Potem brał udział w różnych opozycyjnych wobec ładu peerelowskiego przedsięwzięciach, np. wraz z rówieśnikami: Janem Lityńskim, Sewerynem Blumsztajnem, Ireną Grudzińską, Teresą Bogucką czy Henrykiem Szlajferem.

Ścisłe współpracował z KOR-em (którego po pewnym czasie został członkiem), m.in. z Jackiem Kuroniem i Henrykiem Wujcem. Był też w kierownictwie Niezależnej Oficyny Wydawniczej (NOWA), przeważnie z młodszymi kolegami, jak Mirosław Chojecki, Konrad Bieliński czy Grzegorz Boguta. O tym, gdzie i z kim Michnik współpracował w demokratycznej opozycji, można by wieleisać.

„Obywatel Michnik” jest wyborem z rozległego pisarstwa i publicystyki, najbardziej znanych tekstów Michnika z ponad 60 lat jego działalności w sferze publicznej. Są to przede wszystkim eseje i szersze, niekiedy pretekstowe artykuły.

Czy można pokusić się o wychwycenie wątków oryginalnych w pisarstwie Michnika, upoważniających do twierdzenia, że mamy w jego przypadku do czynienia z jakąś koncepcją metodologiczną? Autorzy wstępu i wyboru przekonują, że tak.

Zarazem nie sądzę, by słuszne były ich ogólne twierdzenia o brutalizacji języka i o tym, że „kategorie takie jak kompromis, pluralizm czy wspólnota są spychanie na marginesy”. I że w konsekwencji lektura tekstów Michnika „może skłaniać do refleksji nad tym, co zostało utracone – do pytania, czy możliwe jest jeszcze odbudowanie języka dialogu i odpowiedzialności”.

Nie ma na to prostej odpowiedzi; co więcej, nie uważam, żeby to była słuszna ocena obecnej sytuacji, mimo przejawów deprawowania się języka publicznych wypowiedzi.

Zwróciłbym uwagę na to, że te językowe kategorie funkcjonują całkiem dobrze w czasopiśmiennictwie naukowym. Więcej, zdeprawowanie języka miało miejsce właśnie w końcu lat 60. zeszłego wieku, w erze rządów Władysława Gomułki, który zechciał w Marcu 68’ osobiście naznaczyć Adama Michnika i kilka innych osób.

Michnik wybrał własną drogę walki z panującym wówczas ustrojem – pisarstwo i publicystykę polityczną i społeczną. Być może i dziś jego myśl polityczna ma się całkiem dobrze właśnie dlatego, że jest zarówno krytykowana, jak i akceptowana.

*Nie przypadkiem przeciwnicy
pisarstwa Michnika rekrutują się
głównie z prawicy.
Choć skrajna lewica też go lubi
krytykować*

Adam Michnik, chcąc czy nie chcąc, był i jest także politykiem, a jego pisarstwo było i jest niezadko polityczne. Toteż nie zaskakuje, że przeciwnicy jego pisarstwa lubią przywoływać przypadki jego konkretnych postaw uznanych przez nich za naganne. I nie przypadkiem rekrutują się głównie z prawicy, choć bywa on krytykowany także przez skrajną lewicę. Zresztą taki jest czasem los rasowego publicysty – mieć wrogów to lepiej niż być przemilczanym.

Teksty zawarte w książce opatrzone są informacjami bibliograficznymi i mnóstwem przypisów (jest ich dokładnie 924, wiele z nich pióra samego autora). Bardzo często są one same w sobie interesujące, przybliżając kontekst historyczny, polityczny bądź biograficzny.

Interesujące jest spojrzeć na pierwodruki tych wypowiedzi. Ukazywały się one w periodykach polskich wydawanych za granicą - od paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia poprzez londyńsko-paryski „Aneks” Niny i Eugeniusza oraz Aleksandra i Ireny Smolarów, po „Puls” w swej odsłonie zagranicznej drukowany przez Jana Chodakowskiego.

Jednocześnie publikowane były one w kraju - najpierw w obiegu podziemnym, np. w Kwartalniku Politycznym „Krytyka”, którego był Michnik współzałożycielem i bardzo aktywnym członkiem redakcji, również w tym sensie, że mając świetne kontakty wśród ludzi opozycji w czasach PRL-u zamawiał i dostarczał teksty innych znanych czy mniej znanych autorów krajowych i całkiem często z zagranicy. Bywało i tak, że niektóre jego eseje ukazywały niemal równocześnie poza Polską i w kraju.

Rok 1989 okazał się przełomowy dla polskich dziejów najnowszych, jak i dla pisarstwa

*Adam Michnik, chcąc czy nie
chcąc, był i jest także politykiem,
a jego pisarstwo
było i jest często polityczne*

Michnika, w takim także oto rozumieniu, że jako redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” zyskał narzędzie istotnego wpływania na wielokroć szerszą publiczność czytelniczną niż kiedykolwiek przedtem. Próbką tych możliwości są zamieszczone w wyborze teksty Michnika opatrzone informacją o ich pierwodruku w „Wyborczej”.

Niektóre z dawniejszych tekstów Michnika, z czasów PRL-u, zachowują swe istotne znaczenie do dziś. Że wymienię z jednej strony „Cienie zapomnianych przodków”, o Józefie Piłsudskim (paryska „Kultura”, 1973), z drugiej nie mniej głośny esej-pamflet „Poeta epoki paskiewiczowskiej”, o znanym i w rzeczy samej dobrym wierszopisarzu i prozaiku Ernieście Bryllu („Puls”, 1978).

Świetną jest także „rewizjonistyczna” „Rozmowa w Cytadeli” z 1982 r. o Narodowej Demokracji (w tym o Dmowskim) i różnorodności obecnej wśród polskich socjalistów (Abramowski i inni, ale też i Róża Luksemburg, ze swoją słynną krytyką bolszewizmu i jego twórcy Włodzimierza Lenina, przywódcy politycznego Rosji radzieckiej).

Swoje miejsce w pisarstwie Michnika ma na pewno „Nowy ewolucjonizm”, wykład wygłoszony w 1976 r. w Paryżu i opublikowany w „Aneksie” w roku następnym. Do tekstu tego odnoszono się w opozycji zarówno krytycznie, jak i aprobatywnie. Warto jednak zauważyć, że w zasadzie prawie każdy tekst Michnika był w drugim opozycyjnym obiegu zauważany. Z kolei z punktu widzenia ówczesnej władzy najlepiej byłoby albo skazać Michnika na długo, albo nie wpuścić go z powrotem do kraju.

Nie da się w sposób sensowny przedstawić w tym miejscu wszystkich zamieszczonych w tej książce tekstów, a część z nich to wybitna publicystyka. Równie trudno byłoby wymienić zawarte w nich liczne i różnorodne wątki, jak stosunki polsko-żydowskie, antysemityzm w Polsce czy pogrom kielecki, postępowy i konserwatywny katolicyzm, wielkość i słabość kard. Stefana Wyszyńskiego, pytanie o znaczenie i rolę odgrywaną przez Jana Pawła II. I dobrze. ●



FOT. JACEK ŁAGOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Kofman

● ur. w 1941 r., politolog, historyk, publicysta i wydawca. W PRL-u działacz opozycji demokratycznej, w stanie wojennym redaktor naczelny podziemnego Kwartalnika Politycznego „Krytyka”, w 1985 r. aresztowany. Po 1989 r. redaktor naczelny i wiceprezes PWN. Wieloletni członek jury Nagrody Historycznej im. Kazimierza Moczarskiego.

Michał Siermiński, Przemysław Witkowski, **„Obywatel Michnik. Myśl polityczna Adama Michnika”**, Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2025.



▼ Bawarscy malarze: August Spieß, Ludwig Löfftz, Rudolf Seitz i Konrad Weigand w latach 1870-1883 stworzyli siedem murali w wielkiej sali landshuckiego ratusza. Pojazd królowej Jadwigi w ich wersji zaprzęgnięty jest w cztery konie, naprawdę było ich osiem

NAJWIĘKSZE *wesele* ŚREDNIOWIECZA



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

550 lat temu, 14 listopada 1475 roku, bawarski książę pojął za żonę córkę Kazimierza Jagiellończyka. Przez cały ślub Jadwiga głośno płakała.

Joanna Banas

Osiemnastoletnia, najstarsza córka króla Polski wyszła za dwudziestoletniego Jerzego, syna księcia Ludwika IX Bogatego, który na ślub jedyne go męskiego potomka wydał fortunę. Rekonstrukcja tego wesela co cztery lata ściga do miasta Landshut tysiące turystów spragnionych średniowiecznych rozrywek.

BAWARCZYK POKONAŁ WĘGRA

Małżeństwa dzieci Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanek – mieli ich trzynastoro, z których dziewięćka dożyła dorosłości – były elementem królewskiej polityki zagranicznej. Na pierwszy ogień w dynastycznych rozgrywkach matrymonialnych poszła ich najstarsza córka Jadwiga, urodzona w 1457 roku, 18 miesięcy po pierworodnym Władysławie.

Miała ledwie 11 lat, gdy starania o jej rękę zaczął 25-letni Maciej Korwin, od 1458 roku król Węgier, od 1465 roku wdowiec. Próbowal aż cztery razy, po raz ostatni w 1473 roku. Jednak Korwinem gardziła żona Jagiellończyka Elżbieta, córka króla Albrechta II Habsburga i wnuczka cesarza Zygmunta Luksemburskiego. Jej zdaniem Węgier był niegodny ręki jej córki, bo pochodził z niekrólewskiego, a jedynie magnackiego rodu. Ostatecznie Korwin ożenił się z Beatrycze Aragońską w 1476 roku.

Elżbieta Habsburżanka z radością powitała natomiast innego kandydata do ręki najstarszej córki: młodego księcia bawarskiego Jerzego, syna Ludwika IX Wittelsbacha (1417-1479), pana na Landshucie.

W 1392 roku Bawaria podzieliła się na odrębne księstwa: Landshut, Monachium, Ingolstadt i Straubing. Bawaria-Landshut urosła w siłę pod rządami dziadka księcia Jerzego, Henryka XVI Bogatego (1386-1450), który po wygaśnięciu linii Wittelsbachów ze Straubingu i Ingolstadt przejął ich ziemie, tworząc najpotężniejsze księstwo południowych Niemiec.

Polacy i Bawarczycy zbliżyli się politycznie już w latach 50. XV wieku, gdy w państwach niemieckich narastała opozycja wobec uważanego za wstecznego i zbyt posłusznego papieżowi cesarza Fryderyka III Habsburga. Nic tak nie zbliża jak wspólny nieprzyjaciel: cesarz był nim dla Polski, popierał bowiem wspólnie z papieżem Zakon Krzyżacki podczas wojny trzynastoletniej (1454-1467). W 1460 roku Polska i Bawaria podpisały formalny sojusz.

Nie wiadomo, czy królowa Elżbieta wiedziała, w jaki sposób zarówno ojciec, jak i dziadek przyszłego zięcia traktowali swoje żony: gdy tylko urodziły wystarczającą liczbę dzieci, były odsyłane z książęcego dworu w Landshucie do drugiej rezydencji rodu, na zamek Burghausen oddalony o 75 km. Małgorzata Habsburżanka, która w ciągu 7 lat urodziła Henrykowi XVI 16 dzieci, podczas późniejszego długoletniego pobytu w Burghausen skarżyła się na bezwzględność męża.

Ludwik IX odesłał swoją młodszą o 18 lat żonę Amalię Saksońską po 11 latach małżeństwa i narodzinach czwórki dzieci. Na zamku przebywała przez 16 lat, do śmierci księcia małżonka w narużonym przez niego rygorze niemal zakonnym. Natomiast Ludwik bynajmniej nie żył jak mnich, lubił za to chwalić się swoim bogactwem (dorobił się na kopalniach srebra i miedzi). Rozkazał nawet sporządzić szklaną lektykę, w której obnoszono jego kochanki, by wszyscy widzieli, jak cenną biżuterię im dawał.

O oddaniu ręki polskiej królowej niżej urodzonej księżniczce zdecydowały oczywiście korzyści polityczne. Kazimierz Jagiellończyk chciał dzięki sojuszowi z Bawarią zabezpieczyć południowo-zachodnią flankę Czech, w których od 1471 roku panował jego syn Władysław II, a także stworzyć dla Jagiellonów bezpieczny przyczółek na Zachodzie.

Mariaż opłacał się oczywiście także rodowi Wittelsbachów rządzących Bawarią-Landshutem, gdyż nobilitował ich związek z córką władcy państwa aspirującego do roli mocarstwa. Co ciekawe, Niemcy, opisując kulisy owych wydarzeń, milczą o kwestii czeskiej, koncentrując się na roli zawieranej przez to małżeństwo soju-

szu obronnego przeciw imperium osmańskiemu. Jeden z najważniejszych gości wesela w Landshucie, książę elektor Albrecht von Brandenburg, zwany niemieckim Achillesem z racji osiągnięć militarnych, w weselnym toaście miał porównać ślub Jadwigi i Jerzego do boskiego zrządzenia dla dobra chrześcijaństwa (i imperium).

DYSPENSA OD PAPIEŻA

Jadwiga we wrześniu 1473 roku kończyła 16 lat, ale już latem dwóch polskich posłów udalo się na sejm Rzeszy do Augsburga w sprawie jej małżeństwa. Od końca października Stanisław Kurozwęcki i Paweł Jasieński przebywali na dworze elektora Albrechta Achillesa w Cadolzburgu, gdzie podjęli wstępne rozmowy na temat ślubu Jadwigi z 18-letnim wówczas Jerzym, synem Ludwika IX.

Pierwszy wysłannik strony bawarskiej pojawił się w Polsce 21 marca 1474 roku, był nim proboszcz z Altötting Friedrich Mauerkircher. Jesienią książę Ludwik IX Bogaty wysłał z Landshutu do Polski oficjalne, czteroosobowe poselstwo. Bawarczycy obdarowali wówczas Jadwigę, jej matkę i siostrę Zofię pięknymi zapinkami do płaszczy.

Finalne negocjacje zaczęły się 19 grudnia w Łęczycy. Kontynuowano je w Radomiu, gdzie król Kazimierz Jagiellończyk z rodziną spędzał święta. Ostateczną autorką kontraktu małżeńskiego była matka Jadwigi Elżbieta, co zaświadczyła własnym podpisem 30 grudnia. Tego samego dnia Jadwiga publicznie zgodziła się poślubić księcia Jerzego.

Nazajutrz podpisano umowę małżeńską. Ustalono w niej wartość posagu panny młodej na 32 tys. zł węgierskich, płatne w pięciu rocznych ratach. Natomiast książę Ludwik zapewnił przyszłej synowej wiano równoważne posagowi, zabezpieczone na dobrach Trostberg Traunstein, Kraiburg i Mörmosen. Datę ślubu ustalono na pierwszą niedzielę po Wszystkich Świętych, a więc 5 listopada.

Kolejnego dnia, 1 stycznia 1475 roku, Kazimierz zobowiązał się oddać córkę narzeczonemu 15 października w Wittenberdze, w połowie drogi między Krakowem a Landshutem.

Zaczęły się przygotowania do ślubu, równolegle w Krakowie i Landshucie, a także w Rzymie, gdzie u papieża należało uzyskać dispensę. Przyszłych małżonków łączyło bowiem pokrewieństwo trzeciego stopnia: dziadek Jadwigi i babka Jerzego byli rodzeństwem. Sykstus VI wystawił dokument w maju.

WYPRAWA WARTA ZACHODU

W międzyczasie powstawała wyprawa panny młodej warta, według Jana Długosza, 100 tys. zł polskich. Najcenniejsze były stroje, w tym aż 50 ubiorów wierzchnich, co nie dziwi, skoro w średniowiecznych zamkach stale panował chłód. Szyto dla przyszłej księżnej szuby, płaszcze i peleryny z wykwintych materiałów, wykonane cennymi futrami: z soboli, białych wiewiórek, popielic, gronostajów i kun. Za to sukni, białych i czerwonych, było zaledwie osiem, choć także cennych – z aksamitu, adamaszku i atlasu.

Skromnie prezentował się natomiast ślubny zestaw bielizny pościelowej: liczył zaledwie dwa prześcierała, 16 poduszek, dwie pierzyny i jedną koldrę oraz baldachim. Hojniej Jagiellonowie wyposażyli swoją córkę w bieliznę stołową: dali jej 27 obrusów. W wyprawie znalazły się także 33 ręczniki „szyte złotem”, cztery miednice, w tym dwie złocone, oraz trochę kubków i sztućców. Bizuterię reprezentowało ok. 30 naszyjników. Częścią wyprawy było także 36 koni i powozy.

Centrum 10-tysięcznego wówczas Landshutu, miasta położonego ok. 70 km na północny wschód od Monachium, na potrzeby wesela przebudowano. W ratuszu powstała wielka sala mogąca pomieścić tłum gości weselnych. W całym mieście królowały barwy Wittelsbachów z Landshutu: biały, szary i brązowy. Materiały na jednolite mundury służby oraz na stroje dla gości sprowadzono z Florencji i Wenecji.

Z okolicznych klasztorów zarekwirowano na czas przygotowań i wesela 146 kucharzy. Książęcy łowczy polowali jak szaleni, by zdobyć odpowiednią ilość dziczyzny. Z całej Bawarii-Landshutu zabierano chłopom kury.

WARTOŚĆ W GOŚCIACH

Wesele w Landshucie, uznawane za największe wesele średniowiecza, nie licząc ślubów cesarsko-królewskich, kosztowało 60 766 reńskich guldenów, 73 fenigi i 1 hale-rza, co skrupulatnie policzył kronikarz Hans Seybolt, pisarz landshuckich cysterek, poddany Wittelsbachów. Spisany przez niego niezwykle szczegółowy „Wielki rachunek”, przechowywany w Bawarskim Archiwum Państwowym, miał dowodzić skuteczności administracji książęcej. Chociaż przeliczanie średniowiecznych kwot na współczesne nie jest łatwe, niemieckie źródła szacują tę kwotę na 12 do 13 mln euro. Można też dodać, że za jednego feniga można było wtedy kupić trzy jajka.

Jednak o wysokiej randze wesela Jadwigi Jagiellonki i Jerzego Wittelsbacha świadczyły nie wydatki na jego organizację, lecz lista gości. Na zaproszenie Ludwika Bogatego do Landshutu przyjechał nie tylko cesarz Ferdynand III wraz z synem, ale też książęta elektorzy i niemal wszyscy władcy państw niemieckich, z elektorem brandenburskim Albrechtem Achillesem Hohenzollernem na czele.

Zaproszono także brata panny młodej, króla Czech Władysława II Jagiellończyka, ale ten nie przybył, co złośliwie miał komentować sam urażony tą odmową cesarz.

Kronikarze różnie potem szacowali liczbę gości: od 10 do kilkunastu tysięcy, ale na pewno w mieście stanęło ponad 9 tys. koni, którymi trzeba się było zaopiekować.

Wszyscy mieszkańcy Landshutu i ci, którzy przybyli na ślub, byli goszczeni na koszt księcia. Kronikarz Seybolt odnotował, że każdy obywatel miasta oraz wszyscy goście mieli dostęp do wina i chleba wydawanych bezpłatnie dwa razy w ciągu dnia. Oczywiście dla podanych przeznaczone było lokalne wino stołowe, podczas gdy wielmożowie pili najlepsze wina importowane. Dodatkowo mieszkańcy niezaangażowani w organizację wesela dostali od ojca pana młodego coś w rodzaju urlopu okolicznościowego.

Wszystko to miało pokazać gościom potęgę księcia Ludwika, który dobrze wiedział, co znaczy wesele z pompą. W 1452 roku na jego własny ślub z Amalią Saksońską przybyło 22 tys. gości, a gdy 20 lutego 1474 roku wydawał za mąż córkę Małgorzatę, do

Ambergu, gdzie czekał na nią Filip Szczery, hrabia Górnego Palatynatu, wyprawił ją w asyście tysiąca jeźdźców w jednakowych czerwonych strojach.

DŁUGA DROGA DO OŁTARZA

10 października Jadwiga w Poznaniu pożegnała się na zawsze z rodziną. W orszaku liczącym 1200 koni i 100 wozów wyruszyła przez Frankfurt i Berlin do Wittenbergi. Tam, w połowie drogi, czekali na nią wysłannicy pana młodego z Ottonem II, księciem Palatynatu-Mosbachu, który ze swoich włości wyruszył już 30 września. Orszak królowny dotarł do Wittenbergi 23 października. Zorganizowano uroczystości powitalne, podczas których „mowy po łacinie trzeba było pannie młodej tłumaczyć, bo mówiła tylko po polsku” – pisał pod koniec XIX wieku pisarz Hermann Wölfler.

Małgorzata Duczmał, autorka leksykonu „Jagiellonowie”, zauważa jednak, że choć o wykształceniu Jadwigi nic nie wiadomo poza tym, że nie była analfabatką, to przecież matka Jadwigi była Niemką, miała kilka rodaczek w swoim fraucymerze, więc najprawdopodobniej Jadwiga знаła choć trochę niemiecki. Zdaniem dr Duczmał fakt, że mowy podczas jej wesela w Bawarii tłumaczono na polski, dowodzi nie tego, że nie знаła języka, ale raczej tego, że nie znali go goście ze strony panny młodej.

Z Wittenbergi część członków królewskiej asysty zawróciła do Polski. Dalej Jadwiga jechała przez Lipsk, Zwickau, Bayreuth, Norymbergę i Ingolstadt, trasą wydłużoną w stosunku do planów z powodu panującej w Niemczech zarazy – kronikarze nie używali słowa „dżuma”, ale pewnie o nią chodziło. Dodatkowo na trasie orszak Jadwigi musiał stawać w kolejnych miastach, w których zorganizowano uroczystości powitalne polskiej królowny. Pierwotny termin ślubu nie mógł więc być dotrzymany. Gdy Jadwiga zbliżała się już do Landshutu, naprzeciw wyjechał 16-letni syn cesarza Fryderyka III, przyszły cesarz rzymski Maksymilian I w otoczeniu rycerskiej młodzieży.

Kronikarze szczegółowo opisali moment pierwszego spotkania oblubieńców: 14 listopada 1475 roku na łące przed bramą miasta Jadwiegę powitał najważniejszy gość: cesarz Fryderyk III, mając po prawicy księcia Jerzego, a po lewicy Albrechta Achillesa Hohenzollerna. Ujrzeni polską królowną w sukni ze złotogłowia jadącą samotnie w złotym powozie zaprzężonym w osiem siwych koni, każdy z nich w czerwonej uprzęży.

Książę Jerzy, postawny, krzepki młodzieniec z jasnobrązową bródką, miał na sobie obcisły kaftan. Kronikarz Hans Oringen, pisarz nadworny Albrechta Achillesa, który dokładnie obserwował stroje uczestników wesela w Landshucie, odnotował, że na rękawie księcia widniał haft wykonany perłami przedstawiający damę prowadzącą na smyczy lwa oraz napis: „Kocham cię bardziej niż życie”.

Wartość klejnotów zdobiących jego kapelusz kronikarz Seybolt oszacował na 50 tys. guldenów. Dla porównania: zgodnie z przepisami z 1390 roku niemieckiej mieszczone nie wolno było nosić czepka wartego więcej niż 50 guldenów.

Za to stroju cesarza uszytego z purpurowego złotogłowia zdobionego diamentami, szafirami, ametystami, rubinami i szmaragdami nikt nawet nie próbował wyceniać.

RZEWNE ŁZY PANNY MŁODEJ

Królowną wyniesiono z wozu, by po raz pierwszy postawiła stopę na ziemi landshuckiej. Notabene w czasach, gdy



• **Jadwiga Jagiellonka (1457–1502), córka króla Polski i od 1479 roku księżna Bawarii-Landhut i Jerzy Bogaty (1455–1503), syn Ludwika IX Wittelsbacha, książę Bawarii-Landshut**
FOT. WIKIPEDIA (2)

wszyscy mężczyźni jeździli konno, nawet biskupi, a wozami podróżowały jedynie kobiety i chorzy, przyszedłgo teścia Jadwigi musiało z wozu ściągać czterech służących – Ludwik Bogaty był już wtedy gruby i cierpiał na podagrę.

Ponieważ urodzeniem równy królownie był jedynie cesarz, więc wszyscy inni przyklekli przed nią, a ona jedynie skłoniła głowę. Taka sytuacja powtarzała się także później.

Wjazd panny młodej do miasta oglądało ponad tysiąc osób. Na ulicach grali muzykanci. „Było tam wiele trąbek, bębnów i fletów” – relacjonował Seybolt. Heroldowie wykrzykiwali imiona szlachetnych gości.

Orszak ślubny przeszedł od razu do kościoła św. Marcina, gdzie miały się odbyć zaślubiny. Ten najwyższy na świecie ceglany kościół (130,6 m) powstawał od 1385 roku, ale dopiero w 1475 roku został pokryty dachem, prawdopodobnie tuż przez książęciem ślubem – jego budowa została ukończona ćwierć wieku później.

Wstęp do świątyni mieli jedynie zaproszeni wielmożowie. Gdy tylko weszli, drzwi kościoła zamknięto. Panna młoda szykowała się do ślubu w bocznym ołtarzu. Jadwiga „zdjęła zasłonę, która okrywała jej głowę, i włożyła na odkryte włosy, które miała splecione w jeden warkocz, kosztowny wieniec z dużych pereł i szlachetnych kamieni” – zanotował Hans Seybolt. Panna młoda miała na sobie atlasową czerwoną suknię uszytą wedle polskiej mody, z bardzo szeroką spódnicą i wydłużonymi rękawami, haftowaną w zawilce, z których każdy był ozdobiony perłą.

Do głównego ołtarza, gdzie czekał książę arcybiskup Salzburga Bernhard von Rohr, państwo młodzi szli poprzedzani przez 50 wielmożów niosących pochodnie. Mimo tej pięknej oprawy panna młoda płakała przez całą uroczystość, i to ponoć tak rozdzierająco, że organista i śpiewacy przywiezieni przez biskupa z Salzburga musieli jej szloch zagłuszać muzyką. Płaka-



Na wesele w Landshucie zabito: 323 woły, 1758 baranów, 1537 jagniąt, 490 cieląt, 285 wieprzy, 684 prosiąt, 11,5 tys. gęsi, 40 tys. kur i 75 tys. raków. Goście zjedli także: 194 345 jaj, 140 funtów (czyli ok. 56 kg) rodzynek, 730 funtów fig (292 kg), trzy wiadra miodu i 338 funtów pieprzu (135 kg)

ła także odprowadzana przez von Rohra do swojej kwatery przy wtórce „Te Deum laudamus”. Państwo młodzi zostali ulokowani w osobnych domach: Jerzy w samym ratuszu, a Jadwiga w pobliskiej kamienicy.

KONSUMPCJA PRZY ŚWIADKACH

Po południu zorganizowano w mieście turniej rycerski, a w ratuszu kameralne przyjęcie weselne. Jako pierwsi tańczyli cesarz Fryderyk III z Jadwigą, która miała na sobie zieloną suknię haftowaną perłami, a na głowie ślubną koronę, którą później odda do kościoła w Pasawie.

Następnie cesarz odprowadził pannę młodą na pokładziny do sypialni małżeńskiej. Zaaranżowano ją w domu sąsiadującym z ratuszem, do którego specjalnie wybito drzwi z sali balowej.

Pościel i zasłona łoża małżeńskiego były uszyte ze złotogłowia. Konsumpcja małżeństwa nastąpiła w obecności wysoko urodzonych świadków, wśród których byli: książę elektor Albrecht Achilles oraz margrabia Albrecht von Baden i jego żona Małgorzata, którzy zaświadczyli, że związek małżeński został zawarty.

Nazajutrz rano wielmożowie przyszli obdarować młodą małżonkę. Jako że była dziewczicą, należał się jej tzw. podarek poranny od męża – rekompensata za utratę cnoty. Albrecht Achilles wręczył jej w imieniu męża cenny naszyjnik i 10 tys. węgierskich guldenów.

Całe towarzystwo znów poszło do kościoła, tym razem na mszę. Krzesła w chórze zostały nakryte złotym materiałem, przed parą młodych stali książęta ze świecznikami, a wystrojeni goście prezentowali swoją najcenniejszą bizuterię.

Po mszy zaczęła się wielka uczta, która odbywała się w kilku miejscach – pan młody jadł z cesarzem w jego kwaterze, a panna młoda osobno, w swojej.

Seybolt odnotował, że oprócz niezwykle hojnych prezentów dla gości gospodarz nie szczędził wydatków na najszlachetniejsze potrawy – te słowa miały podkre-



• Para młoda ostatniej edycji rekonstrukcji wesela z Landshutu zorganizowanej w 2023 roku: Katharina Mottinger jako Jadwiga Jagiellonka i Luis Truhlar jako Jerzy Bogaty

FOT. MATERIAŁY STOWARZYSZENIA „DIE FÖRDERER”

ślić łaskawość władcy, któremu służył piórem. W spisany przez kronikarza weselnym menu składającym się z ponad 30 dań w oczy rzuca się duża liczba dań mięsnych.

Na wesele w Landshucie zabito: 323 woły, 1758 baranów, 1537 jagniąt, 490 cieląt, 285 wieprzy, 684 prosiąt, 11,5 tys. gęsi, 40 tys. kur i 75 tys. raków. Goście zjedli także: 194 345 jaj, 140 funtów (czyli ok. 56 kg) rodzynek, 730 funtów fig (292 kg), trzy wiadra miodu i 338 funtów pieprzu (135 kg).

ŻYCIE TO NIE JEST BAJKA

Bajkowy ślub nie sprawił, że życie Jadwigi z Jerzym było pasmem szczęścia. Wprawdzie ich pierwszy syn urodził się już w pierwszym roku małżeństwa, a potem księżna rodziła jeszcze czterokrotnie, jednak małżonkowie się nie dogadywali – ona miała ponoć pretensje o jego wojowniczość, z powodu której cierpieli poddani; on zaś był na nią wściekły z powodu niewywiązania się przez Kazimierza Jagiellończyka z obowiązku wypłacenia posagu – Jerzy dostał tylko jego połowę.

Książę ostentacyjnie zdradzał Jadwigę: jeśli spodobała mu się czyjaś żona, po prostu ją porwał. Do tego pil (zmarł na marskość wątroby w wieku 48 lat). Od śmierci teścia w 1479 roku Jadwiga była księżną Bawarii-Landshutu w praktyce zaledwie przez sześć lat – po dziesięciu latach małżeństwa, zwyczajem ojca i dziada, Jerzy Bogaty odesłał żonę na zamek Burghausen, gdzie żyła samotnie. Nie utrzymywała żadnych kontaktów z rodziną w Polsce.

Pochowała trzech synów: Rupert i Wolfgang zmarli w dzieciństwie, Ludwik siedem lat przed śmiercią ojca. Dłużej żyły córki – Małgorzata i Elżbieta odeszły odpowiednio w 1531 i 1504 roku.

Księżna Bawarii-Landshutu zmarła niespodziewanie w wieku 45 lat, w lutym 1502 roku. Mąż przeżył ją o niespełna dwa lata. Gdy umarł, nie pozostawiwszy męskiego potomka, wybuchła wojna o sukcesję (1504-1505), którą wygrał król Maksymilian I z Monachium.

ROZRYWKOWA POLITYKA HISTORYCZNA

Podczas królewskiego balu na dworze w Monachium 30 stycznia 1828 roku odtaneczono weselny kadryla przypominającego ślub Jadwigi i Jerzego w Landshucie. Na parkiecie pojawił się tuzin par w „wiernych kostiumach z tamtej epoki”, także „król Francji z żoną”, tyle że prawda historyczna nie miała tu znaczenia, bo na pewno nie było ich na ślubie Jagiellonki.

Gdy powstanie cesarstwa w 1871 roku obudziło w Niemczech poczucie wspólnoty i dumy narodowej, w Landshucie przeprowadzono

renowację ratusza. Austriacki historyk architekt Georg Joseph Hauberrisser (1841-1922) zaprojektował salę w stylu neogotyckim. Miasto zamówiło do niej cykl siedmiu fresków przedstawiających sceny z królewskiego ślubu w Landshucie z 1475 roku. Gotowe były w 1833 roku.

Właściciel lokalnej gospody Georg Toppel i producent sucharów Joseph Linnbrunner postanowili wykorzystać historyczny ślub do krzewienia dumy z miasta i zarabiania pieniędzy. Zaproponowali organizację ulicznego festynu upamiętniającego wydarzenia z 1475 roku. W 1902 roku założyli w tym celu stowarzyszenie Die Förderer (Protektorzy), które prężnie działa do dziś. Pierwszy orszak ślubny ruszył ulicami miasta już w 1903 roku. W strojach stylizowanych na średniowieczne szło 248 osób. Impreza sensownie zorganizowana nie w listopadzie, ale latem bardzo się spodobała i bardzo szybko rozrastała – do ulicznej parady dołączały kolejne punkty programu.

Do wybuchu wielkiej wojny, a potem w latach 1922-1938 impreza odbywała się co roku. Od 1950 do 1981 roku co trzy lata, później raz na cztery lata. Wesele trzeba było odwołać, po tym jak w 1970 roku w pożarze spłonęła większość rekwizytów. Na domiar złego w 1974 roku awaria wodociągowa zniszczyła kostiumy, ale mimo przeciwności 500-lecie ślubu Jadwigi i Jerzego świętowano z pompą. Z kolei edycję 2021 zablokowała pandemia – przeniesiono ją na rok 2023.

Współcześnie Landshut, stolica Dolnej Bawarii, liczy ok. 70 tys. mieszkańców. Co cztery lata w kolejne cztery letnie niedziele miasto odwiedza ok. 600 tys. turystów, a ulicami starówki maszeruje 2400 mieszkańców w średniowiecznych strojach wybranych w castingu. Wszyscy muszą mieć dłuższe włosy, według średniowiecznej mody panowie co najmniej do ucha, panie do połowy pleców. Obowiązkowe punkty imprezy to tańce w ratuszu, zawody jeździeckie, turniej rycerski i nocne obozowanie. W 2018 roku widowski „Landshuter Hochzeit 1475” zostało wpisane do ogólnokrajowego rejestru niematerialnego dziedzictwa kulturowego Niemieckiej Komisji UNESCO.

Następne „Wesele w Landshucie” odbędzie się dopiero w 2027 roku, więc 550-lecie ślubu królowej Jadwigi i księcia Jerzego obchodzą kameralnie, na zamku Trausnitz górującym nad Landshutem. „Kameralnie” w przypadku tej imprezy oznacza, że uczestniczyło w niej jedynie 13 tys. gości. ●

Korzystałam m.in. z: książek „Jagiellonowie. Leksykon biograficzny” Małgorzaty Duczmal, „Sprichwörtliches über Altbayern” Helmuta A. Seidla, „Geschichte Landshuts” Gerharda Tauschego i Wernera Ebermeiera, „Hedwig. Die Braut der Landshuter Hochzeit” Marity A. Panzer, opracowania „Landshuter Hochzeit 1475” Hermanna Wölflega oraz materiałów Historisches Lexikon Bayerns.

Antypolityka historyczna

0 wolności słowa

Czy na pewno ciągle kwestionowanie wszystkich zasad jest w interesie społecznym?

Janowski



W czasie narastających sporów o granice wolności słowa wziąłem z półki książkę, którą czytałem jakieś 40 lat temu: Johna Stuarta Milla „On Liberty” (1859). Dla Milla podstawowym zagrożeniem swobody jednostki nie jest opresyjne państwo – tego w wiktoriańskiej Anglii nie musiał się obawiać – ale tyrania opinii publicznej i współobywateli. Jest więc jakby zwiastunem dzisiejszego liberalizmu, zwracającego uwagę bardziej na kwestie kulturowe niż czysto polityczne.

Dłaczego wolność słowa była dlań tak ważna? Przede wszystkim: bo ludzka indywidualność i jej rozwój jest wartością nadrzędną. Po drugie – prawdy niesporne usychają, jeśli nie są permanentnie kwestionowane i zmuszane do obrony. Mill twierdził nawet, że jeśli prawdy naukowe, zasady polityczne czy normy moralne nie byłyby przez nikogo kwestionowane, należałoby specjalnie wymyślać argumenty przeciw nim, tak aby nie zasklepiły się w martwych formułkach.

Po trzecie – innowacyjność. Tyle razy ważne idee były odrzucone jako szkodliwe i absurdalne, że powinniśmy wreszcie uznać, że nie wiemy, które z marginalnych dziś idei okażą się w przyszłości zaczynem rozwoju intelektualnego, gospodarczego czy moralnego.

Klasyczna książka Milla, odważna i radykalna, budzi jednak wątpliwości. Czy na pewno ciągle kwestionowanie wszystkich zasad jest w interesie społecznym? Gdyby przestali istnieć płaskoziemcy, anyszczepionkowcy i ludzie negujący Zagładę Żydów, to czy naprawdę należałoby za publiczne pieniądze utrzymywać – dla podtrzymania debaty – ludzi, którzy wymyślaliby argumenty na rzecz tezy, że ziemia jest płaska, szczepionki są zgubne, a Żydów nikt nigdy nie wymordował? Czy nie istnieją takie idee – choćby te trzy przytoczone powyżej – o których na pewno wiemy, że nigdy nie staną się zaczynem innowacji i rozwoju w jakiegokolwiek dziedzinie?

Mill, żyjąc w ustabilizowanym państwie, bardzo liberalnym politycznie, a zarazem dość tradycyjnym kulturowo, nie wyobrażał sobie, że kiedyś zwolennicy totalnych bzdur mogliby zdominować debatę publiczną. Chyba wie-

rzył, iż w ostatecznym rozrachunku zawsze wygrać silniejsze argumenty, a nie ostrzejsza demagogia. Jednak nie był całkiem naiwny: stawiał swobodzie ekspresji pewne granice. Zasadniczo jedynym motywem ograniczenia tej ekspresji może być – według Milla – jej szkodliwość dla drugiego człowieka. Wprowadza on jednak ważne rozróżnienie dotyczące okoliczności wyrażania opinii: jeżeli pogląd o szkodliwości spekulacji zbożem ukaże się w prasie, to wszystko w porządku, ale jeśli dokładnie ten sam pogląd wykrzyczany jest przez agitatora, stojącego na czele agresywnego tłumu zebranego przed domem kupca zbożowego, to mamy do czynienia nie z wolnością słowa, ale z podżeganiem do przemocy, co jest i powinno być karalne. Myślę, że to rozróżnienie jest bardzo ważne.

Nieco mimochodem wprowadzał też inne ważne ograniczenie. Czasami opinia publiczna powinna zdecydowanie się odciąć od wypowiedzi, które są wprawdzie prawnie dozwolone, ale moralnie nie do przyjęcia. Czym ma się różnić owa uprawniona reakcja opinii publicznej od potępianej przez Milla presji teje opinii wobec nowatorów – nie bardzo wiadomo. Ale samo pojęcie rozróżnienie między usprawiedliwioną i nieusprawiedliwioną presją opinii publicznej jest sensowne, nawet bez dopracowania kryteriów.

Mill nie rozwiąże za nas naszych dzisiejszych problemów, może nas jedynie uwrażliwić. I przyznam się, że przeglądając po latach „On liberty”, utwierdziłem się w swoim przekonaniu, ostatnio nieco zachwianym, że wolność słowa jest kwestią fundamentalną; że nawet oczywista szkodliwość społeczna, np. pogląd o szkodliwości szczepionek, nie jest argumentem na rzecz ograniczenia tej wolności; że efektem ewentualnych ograniczeń byłby tylko wzrost teorii spiskowych: „zakazują mówić, że nie było Holocaustu, a więc nie mają żadnych argumentów za tym, że on był”. A do tego wszelkie ograniczenia wolności słowa dokonywane przez stronę demokratyczną będą wykorzystane przez wrogów demokracji jako pretekst do ograniczeń o wiele bardziej radykalnych.

Na zakończenie pomyślałem sobie, że mile i optymistyczne jest przekonanie Milla, iż im więcej w społeczeństwie ekscentryków, tym lepiej, bo ekscentryczność jest wyrazem siły charakteru i warunkiem pojawiania się od czasu do czasu jednostek genialnych. Czyżby miał nas czekać wysyp geniuszy? ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku

CZYM SIĘ RÓŻNIĄ POLACY

Dziesięciu milionom mieszkańców ziem zachodnich i północnych zawdzięczamy, że już nie rządzi nami PiS.

Z **DR. TOMASZEM GRABOWSKIM*** ROZMAWIA
PIOTR GŁUCHOWSKI

PIOTR GŁUCHOWSKI: Pana książka „Indywidualizm i demokracja w Polsce. Jak ziemie zachodnie stały się kolebką liberalizmu” wreszcie mi wyjaśniła, czemu grafiki po wyborach przypominają mapę rozbiorów. Dawny zabór pruski i same Prusy – Platforma. Galicja i zabór rosyjski – PiS. Według pana kluczem do zagadki nie jest genius loci, lecz wytworzony w bólach indywidualizm.

DR TOMASZ GRABOWSKI: Liberalna demokracja potrzebuje masy obywateli, która czerpie poczucie wartości z własnych osiągnięć, a nie z tożsamości grupowej. Ludzi, którzy nie głosują tak, jak książdz nakaże, jak każą rodzice, sąsiedzi... lecz tak, jak podpowiada rozum i interes. Zilustruję to historyjką: mamy klasyczną polską patriarchalną rodzinę, która myśli o przeprowadzce do innego miasta. Głowa rodziny ma już jakieś upatrzone miejsce i reszta o tym wie, jednak ojciec zarządza: „głosujemy!”. Czy członkowie rodziny będą się kierowali własnymi pragnieniami? Raczej nie. Zagłosują tak, jak chce tata. Bo go kochają, bo się go boją, bo on ma autorytet i chyba wie najlepiej, gdzie rodzinie będzie dobrze...

Polska wschodnia cierpi na deficyt obywatelskiej autonomii. Jej mieszkańcy głosują tak, jak tego chcą autorytety społeczne: kapłan, starsi krewni, szef w pracy... To wynika z badań socjologicznych profesorów Marii Halamskiej i Grzegorza Gorzelaka, pisze też o tym politolog Radosław Markowski. Na wschodzie głosuje się wedle preferencji grupowych i działa solidarność oparta na tradycji. Tam się częściej dowozi niedołężnych krewnych do urn...

...bo głosujemy kupą i na tych samych, tak jak kupą szliśmy kiedyś w bój. To rozumiem. Ale czy ci ze wschodu są przez to jacyś gorsi? Niedostatecznie dorośli? Trzeba ich edukować?

– To byłoby zbyt proste. Ja nie hierarchizuję moralnie, piszę tylko, która postawa jest lepsza dla liberalnej demokracji. Kolektywizm bywa często godny podziwu. Idzie



• **Przesiedleńcy z Kresów Wschodnich przed Dworcem Świebodzkim we Wrocławiu w 1946 roku**

FOT. WOJSKOWA AGENCJA FOTOGRAFICZNA / ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

**Średniowieczny
mieszczanin
i powojenny osadnik
na ziemiach północnych
i zachodnich po pewnym
czasie stawali się
nowymi ludźmi**

za nim heroizm, poświęcenie jednostki dla dobra grupy i tak dalej... Jednak to utrudnia funkcjonowanie liberalnego ładu.

I nie chodzi o to, by kogokolwiek edukować czy nawracać z postawy kolektywnej na autonomiczną. Żadni prelegenci nic tu nie wskazują. Zmiany może dokonać jedynie młody człowiek i wyłącznie przez bolesne wykorzenienie ze wcześniejszej wspólnoty. To pierwszy warunek.

Takie zjawisko zaszło w Polsce zachodniej po 1945 roku?

– Tak. I to jest materiał na wielką hollywoodzką produkcję. O milionach ludzi wykorzenionych ze swych poprzednich wspólnot, którzy – co ważne – jechali na zachód dobrowolnie niczym amerykańscy osadnicy.

Był już film „Sami swoi”.

– O repatriantach, których przemieszcili państwo. Ale tych było

w sumie mniej niż pionierów-zdobyców, w tym szabrowników, którzy jechali samodzielnie, żeby się nachapać. Z reguły byli to ludzie młodzi, chłopscy synowie oderwani od autorytarnych ojców, od księży, od wścibskich cioci. Nierzadko zresztą rodziny wypychały: „Pojeźdź tam, nie będziesz tutaj ciężarem”.

Na ziemiach zachodnich ci ludzie wpadli w zbawienną dla części z nich pustkę aksjologiczną. Zahukany szaraczek, który u siebie na wschodzie kłaniał się moznym tamtego świata, dostawał szansę, by zmienić się w obywatela, w byt indywidualny. Działała przy tym selekcja: jedni chcieli tylko szabrować poniemieckie i wracać w rodzinne strony...

Jeżeli te strony leżały na zachód od Bugu.

– ...a inni zostawali, bo im się zaczęło podobać na branie spraw w swoje ręce. Ale – uwaga – samo wykorzenienie jest dopiero początkiem procesu budowy obywatela indywidualisty. Ono nie wystarczy. W więzieniu również siedzą ludzie wykorzenieni i najczęściej nic dobrego z tego nie wynika.

Potrzebny jest drugi czynnik: zetknięcie z pograniczem, rubieżą, gdzie nie ma zasiedziały struktur społecznych. Człowiek jest zdany na siebie, co go początkowo przeraża. Tereny dziwne, obce, z inną kulturą materialną, ludzie inaczej się ubierają, inaczej mówią... A z drugiej strony rubież oferuje dobra. Można przejąć ziemię, gotowe gospo-

darstwo. Zachód i północ to tereeny bogate, choć zniszczone przez wojnę. Stały tam nadal ładne sklepy, puste i dobrze wyposażone warsztaty...

Doszło z jednej strony do przyspieszonej nauki samodzielności, z drugiej – do przesiewu. Jedni się na rubieży przyjęli, inni uciekli z krzykiem. Ci, którzy zostali, rozwijali zaradność, a także gruboskórność. Mniej im już zależało na cieple emocjonalnym, tym wspólnym siedzeniu przy piecu gdzieś na wschodzie. Tak zaczęła się rodzić polska kultura indywidualistyczna.

W średniowieczu podobny proces zachodził w miastach, do których uciekali chłopci pańszczyźniani.

„Miejskie powietrze czyni wolnym” – mawiali Niemcy.

– Średniowieczny mieszczanin i powojenny osadnik na ziemiach północnych i zachodnich po pewnym czasie stawali się nowymi ludźmi. Nie tylko przedsiębiorczymi, ale też asertywnymi, egoistycznymi, chytrymi... I dlatego jest jeszcze trzeci – ostatni – czynnik kształtujący liberalnego demokratę. W ten dzioki zachód, na rubież, muszą wejść instytucje niosące jakiś porządek. Bo bez tego mielibyśmy sytuację jak w dzisiejszej Rosji. Tam nastąpiło wykorzenienie z komunistycznego pseudoraju i całe państwo stało się dzikim zachodem, ale zabrakło odpowiedzialnej instytucji porządkującej chaos. W sposób naturalny powstała oligarchia, która zeruje na reszcie społeczeństwa,

a przy tym demokracja nie jest tym oligarchom do niczego potrzebna.

Wręcz przeciwnie. A kto na Ziemiach Odzyskanych tworzył instytucje niosące porządek?

– Z jednej strony Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, z drugiej – Kościół katolicki. Obie te struktury narzucały normy zachowania. Na przykład: nie wolno kraść. Masowy szaber, wywożenie dosłownie wszystkiego, skończył się w 1948 roku, gdy komuniści – poradzili sobie z grubsza z poakowskim podziemiem – wzięli naród za mordę. Pogranicze się wówczas skończyło. Szaber zanikł z powodu drakońskich kar. Pootwierano na zachodzie nowe zakłady pracy – zresztą rządzone początkowo na modłę wojskową: nie wolno w robocie pić, absencja jest przestępstwem. Komunizm stalinowski poszedł – o dziwo – w poprzek kolektywizmu. Walczono z kumoterstwem: nie przyjmujemy do fabryki, do partii czy urzędu członków rodzin. Co więcej: masz przestępcę w rodzinie – musisz go zadenuncjować! Zaczęły się tworzyć sieci lojalności ważniejsze od rodzinnych. To było przełamanie tradycyjnego etosu.

A Kościół?

– Na zachodzie wyglądał inaczej niż w Polsce centralnej. Ponieważ przez lata był problem z formalnym objęciem poniemieckich diecezji, księża na tych ziemiach stali się czymś w rodzaju wolnych agentów. A przy

tym potrzebowali wikt, opierunku, pomocy w odbudowie kościołów. Nie było jednak biskupów czy zapleczu w postaci sieci dobrze funkcjonujących parafii. Kapłani musieli się zwrócić do ludzi, żeby im pomagali.

A ludzie już byli wyemancypowani, czasem nawet bezczelni. Nie tolerowali księdza w dawnym stylu, który straszy piekłem i zmusza. Mówili, są o tym relacje: „Co mi ksiądz będzie pieprzył!”.

Kler musiał się dostosować. Późniejszy kardynał Bolesław Kominek...

...wówczas administrator apostołski Opolszczyzny...

– ...pisał: „osadnicy myślą logicznie i nie mają kompleksów na punkcie Kościoła”. Ci nowi ludzie wiedzieli, że komuniści są potrzebni, by zatrzymać poniemieckie ziemie, a ksiądz jest potrzebny, bo chrzciny, bo pogrzeb, bo ślub. Jednak i ksiądz, i obywatel gadali jak równy z równym.

A co z powszechnym przekonaniem, że Polska zachodnia jest bardziej proeuropejska, bo odziedziczyła po Niemcach europejską infrastrukturę. Łazienka w murywanym domu zamiast wychodka za drewnianą chałupą; w oborze elektryczne oświetlenie...

– Sama infrastruktura miała wpływ, choć jedynie pośredni i niewystarczający. Bo weźmy na przykład Królewiec. Rosjanie rozprzysłi to miasto i nic interesującego w zamian nie powstało. Zastana w nowym miejscu kultura materialna nie wystarczy – musi się zacząć myślenie po nowemu.

Dziś Chiny doganiają czy przeganiają Zachód w sferze technologii, lecz indywidualizmu tam nie ma. Więc nie ma też żadnej szansy, aby w najbliższej przyszłości zaplanowała w tym kraju demokracja liberalna.

À propos doganiania – wie pan, że cztery województwa już przegoniły w bogactwie uboższe regiony Niemiec i Wielkiej Brytanii?

I są to województwa zachodnie?

– Oczywiście: wielkopolskie, pomorskie, dolnośląskie i śląskie.

Dwa ostatnie do niedawna pełne rozlatującej się poniemieckiej cegły i z wioskami w ruinie...

– Faktycznie dynamizm od początku był w miastach: we Wrocławiu, Szczecinie, Gdańsku. Wsie radziły sobie znacznie gorzej.

Te wielkie pegeery...

– Właśnie dlatego Warmia i Mazury – chociaż to były od setek lat Prusy – wypadają dzisiaj najmniej wśród ziem zachodnich i północnych. Tam było faktycznie dużo pegeerów, a mało dużych miast. Olsztyn ma dziś około 160 tysięcy mieszkańców.

Lubuskie – podobna sytuacja.

– Przyznaję: ziemie zachodnie są krainą kontrastów. Bo komuniści lokowali zakłady czy też placówki naukowe głównie w dużych ośrodkach. Gdańsk, Wrocław, Opole, Gorzów, Gliwice, Koszalin. W najmniejszych nic się nie działo, był tylko pegeer. Dziś są kebab i internet. Natomiast na wschodzie był kościół, zabawa odpustowa, koło

gospodyń, jakiś klub sportowy.

Mimo to dzisiaj nawet te zaniedbane miejscowości polskiego zachodu, te Gryfice, Stargard, Mirosławiec... głosują na partię liberalne. Badania pokazują, że PiS to dla nich autorytaryzm.

Cytuję pana: „miasta polskiego zachodu były ośrodkami krystalizacji nowego, liberalno-demokratycznego społeczeństwa”.

– Bo przyciągały przedsiębiorczych i pozwalały im zrobić krok w kierunku indywidualizacji własnej osoby. Młody Lech Wałęsa wyjechał z podwrocławskiego Popowa do Gdańska i to była podróż pomiędzy światami.

Przymusowo wykorzeniony sprawca niechcianej ciąży wiejskiej dziewczyny dociera na rubież i przyjmuje nową, miejską tożsamość. Zwraca pan uwagę, że ruch „Solidarności” powstał „w miastach ziem zachodnich i północnych”.

– Nie w Warszawie i nie w Lublinie, choć ten zastrajkował pierwszy. Ale ludzie dostali obietnicę podwyżek wynagrodzeń i się uspokoili. O swobody polityczne upomnieli się: Gdańsk, Szczecin, Elbląg, Wrocław, Wałbrzych i Jastrzębie.

Choć ludzie na zachodzie są nie mniej patriotyczni niż ci na wschodzie, to jednak uważają: jesteśmy demokratami i lubimy wolność

Mimo że ziemie północno-zachodnie były statystycznie najbardziej skomunizowane. Pod względem liczby członków PZPR przodowały Bydgoszcz i Słupsk.

– Ponieważ do pewnego czasu komunizm dawał pracę i szanse życiowe, ale gdy asertywni mieszkańcy tych ziem zobaczyli, że komuna prowadzi już tylko do ruiny – zaprotestowali.

Pisze pan, że na zachodzie „demokratyczna rywalizacja sił znajduje oparcie w prężnych strukturach administracyjnych, energicznym samorządzie, silniejszym społeczeństwie obywatelskim oraz w dynamicznej prywatnej przedsiębiorczości”. Na wschodzie „władza pozostaje w dużej mierze autorytarna i nie-liberalna, zakulisową rolę odgrywają Kościół katolicki i lokalne sieci patronatu. Gospodarka jest tam bardziej statyczna”. Brzmi jak krzywdzące wschód uogólnienie.

– Z badań geografa społeczno-ekonomicznego profesora Macieja Smętkowskiego wynika, że ziemie zachodnie i północne mają lepsze wskaźniki gospodarcze i więcej powiązań międzynarodowych. Tam działają większe i szerzej handlujące firmy.

Polska wschodnia też się rozwija, ale dystans pozostaje stały. Wschód

idzie do przodu, zachód mu ucieka. Gdyby nie było Polski zachodniej, byłibyśmy dzisiaj Węgrami.

Tam przecież dochód narodowy rośnie, tylko efektów nie widać. Bo kapitalizm polityczny, patronat, kumoterstwo. Przedsiębiorca musi się liczyć z lokalnymi politykami, musi im dawać łapówki, są sitwy...

Przypomina się historia z Pcimia: wójt Daniel Obajtek, jego kuzyn biznesmen, jego firma...

– Otóż to! W Galicji stronnictwa w samorządzie to są często klany, rodzinne powiązania dominują też w różnych biznesach. Zachód się wyemancypował ze struktur rodzinno-sąsiedzkich i to ma znaczenie.

Tłumaczy je pan na przykładzie Łodzi i Wrocławia. Cytuję: „Wrocław urósł do rangi miasta o europejskim znaczeniu. W tym samym czasie Łódź spadła do rangi metropolii borykającej się z największą liczbą problemów w Polsce”. Choć przecież Łódź to także miasto pogranicza pełne imigrantów.

– Którzy przybyli z niedalekich wiosek. Nie doszło do wykorzenienia. Więzi z pobliską wsią, z rodzinami, z dziadkami trwały. Klasa robotnicza Łodzi od zawsze była schłopiała.

Tymczasem do Wrocławia przyjeżdżali ludzie z daleka, którzy do domów rodzinnych wracali raz albo dwa razy na rok. Na Wszystkich Świętych i w Wigilię przez dworce we Wrocławiu, Szczecinie i Gdańsku przewalały się tłumy, były dantejskie sceny, wsiadano oknami. Na ziemiach zachodnich tradycyjne chłopstwo się nie odtworzyło. Nawet gdy chłopscy synowie dalej pracowali na roli, byli już farmerami.

W tym sensie, że uprawa czy hodowla była biznesowym wyborem, a nie sensem życia.

– Nastąpiła też wielka zmiana myślenia. Rozmawiałem o tym z politykami. Mówili mi: „W Łodzi albo jesteś tradycyjnym katolikiem, co kładzie uszka po sobie, albo zostajesz antyklerykałem”. A we Wrocławiu mamy wyemancypowanych katolików, że wspomnę Władysława Frasyniuka. Takich, co cenią religię, lecz nie zależą od biskupów. Katolicy już zeświecczeni.

Ta powyborcza mapa, o której mówiliśmy na początku, ma jeszcze szczegóły: od Konina PiS się zaczyna, ale jest duża liberalna wyspa – Warszawa i kilka mniejszych, jak Kraków.

– Ponieważ kultura indywidualistyczna rozwija się w miastach – już o tym mówiliśmy. Nawet w Rosji mają grupki liberałów – w Petersburgu i w Moskwie. W dużej aglomeracji nie ma ścisłej kontroli społecznej, można być autonomicznym. Kiedy jednak wyjedziemy za granicę Warszawy czy Krakowa – jesteśmy w królestwie PiS. W Polsce północno-zachodniej tego nie ma. Protesty w obronie konstytucji odbywały się tam nawet w małych miasteczkach. Gdyby Petersburg był Rosją, a Budapeszt – Węgrami, oba kraje byłyby zapewne w pełni

demokratyczne. My na szczęście nie musimy mówić: „gdyby Warszawa była Polską...”, bo mamy te dziesięć milionów mieszkańców ziem zachodnich i północnych, którym zawdzięczamy to, że już nie rządzi nami PiS. Bez nich byłoby kiepsko, gdyż wielkie miasta – jak widać także w USA – nie wystarczają, by się obronić przed populizmem, autorytaryzmem i ksenofobią.

Co do tej ostatniej: „wykupu przez Niemca” najbardziej boi się dziś ściana wschodnia, a nie ściana zachodnia, gdzie Polacy mieszkają nadal w ponemieckich domach.

– Bo ci na zachodzie mają mniejsze kompleksy. Patrzą na człowieka przez pryzmat cech jednostkowych, a nie przez stereotypy. Czyli kalkulują: jak ten konkretny Niemiec wykupi nasz zakład, to będzie dobrze czy źle? Na wschodzie już wiedzą, że źle, bo Niemca trzeba się bać. Cechą polskiego kolektywizmu jest izolacja od świata – obcego i groźnego.

„Cudzoziemskich ksiąg nie czytaj, czego nie wiesz – księdza pytaj”.

– Choć ludzie na zachodzie są nie mniej patriotyczni niż ci na wschodzie, to jednak uważają: jesteśmy demokratami i lubimy wolność; Niemcy czy Francuzi też lubią demokrację, jesteśmy zatem razem. Europejczycy zachodni. Na wschodzie: jesteśmy przede wszystkim Polakami i się jeżymy. Zachód to ruja i poróbstwo.

Gejropa.

– Do tego są bogatsi i przez to jeszcze groźniejsi – bo mogą nas całkiem wykupić, a potem przerobić na swoją niemoralną modłę. To kompleks ubogiego krewnego ze Wschodu. Słowacy są antynijni, gdyż mają kompleksy wobec Niemców, a nawet wobec Czechów, natomiast Rosjan lubią, ponieważ wiedzą, jak to się je. Podobna cywilizacja, podobna komunistyczna przeszłość, podobne resentymenty.

Polacy na zachodzie kraju pochodzą natomiast z rodzin, które kiedyś wyjechały na Zachód. W ten ten Zachód cenią. I są przy tym wyemancypowani psychicznie.

W książce kilka razy podkreśla pan wagę emancypacji spod wpływu księdza dobrodziejstwa. Uważa pan dzisiejszy polski Kościół za siłę wsteczną?

– Tak właśnie uważam. Kościół petryfikuje kolektywizm, powieliła ten model i przenosi na kolejne pokolenia. Jak młody człowiek ma się usamodzielnąć światopoglądowo, skoro ksiądz wie lepiej, bo wie więcej? Polscy kapłani stwarzają dystans samą swoją niezwykłą intonacją zdań. Pokazują, że parafianin jest od duchownego gorszy, słabszy, mniej wie i ma słuchać, a nie kwestionować.

Radykalna ocena.

– W Polsce zwyciężyła kontrreformacja. A na ziemiach zachodnich i północnych przez te krótkie 30, może 40 lat Kościół był odmieniony, odegrał rolę dobrą. To była taka quasi-protestantyzacja. Rebelia wyemancypowanych chrze-

ścijan przeciwko księżulom starożytności. Osadnicy mówili: sami się zorganizujemy jako chrześcijanie. Bo człowiek idzie do Boga samodzielnie, ksiądz mu jedynie pomaga.

Na północnym zachodzie kapłan bez biskupa był trochę jak pastor – samodzielny, a jednocześnie zależny jedynie od ludności. A ta ludność była różnej wiary, z różną przeszłością. Trzeba było wzajemnego szacunku i partnerstwa.

Choć były też wsie, które się przeniosły ze wschodu razem ze swoimi księżmi.

Pańska książka jest ostro antypisowska. Pisze pan, że PiS spowodował „prawdziwą katastrofę instytucjonalną i moralną w duchu wykluczającego nacjonalizmu”. A przecież Jarosław Kaczyński powtarza, że musimy dogonić Niemcy, też chce modernizacji, lecz, jak pisała Maria Janion: „do Europy tylko razem z naszymi umarłymi”. Czy to nie jest za łatwe: „Kaczor” wsteczny, Tusk postępowy?

– Pisowcy są schizofreniczni. Chcieliby być częścią cywilizacji Zachodu, odrzucając jej istotę. Bo Zachód przez duże „z” to nie poziom życia, ale formuła mentalna: szacunek dla rządów prawa, godność jednostki, tolerancja wobec innych kultur... Na Zachodzie tak było już wtedy, gdy był jeszcze biedny.

A pisowcy chcą żyć jak w Bawarii, będąc jednocześnie Koreańczykami: grupa jest świętością, jednostka niewiele znaczy, nie wolno kłaść własnego gniazda, obcy to zagrożenie.

Czy elektorat PiS będzie się westernizował?

– Tak, choć niekoniecznie z własnej woli. Nadzieję upatruję w tym, że dla młodych ludzi na wschodzie kraju magnesami są Warszawa, Kraków, Poznań. Przynajmniej część tych przyjezdnych zasilali masę krytyczną liberałów i ostentacyjnie liberalizm zwycięży. Ale to długotrwały proces. Jeszcze przez lata będziemy mieli dwie Polski. Lecz w długiej perspektywie jestem optymistą. ●

Dr Tomasz Grabowski

• ocjolog i politolog, obronił doktorat na uniwersytecie w Berkeley. Wykładał w USA, Holandii i Iraku. Jego książka „Indywidualizm i demokracja w Polsce. Jak ziemie zachodnie stały się kolebką liberalizmu” pierwotnie ukazała się po angielsku w wydawnictwie University of Rochester Press w serii pod redakcją Timothy’ego Snydera w 2023 roku.

Indywidualizm i demokracja w Polsce. Jak ziemie zachodnie stały się kolebką liberalizmu



Tomasz Grabowski
Wydawnictwo
Magam 2025

**Hernán Cortés
rzeczywiście
w 1521 roku podbił
państwo Mexików-
Azteków. Ale nie
sam – pomogli mu
inni tubylcy.**

Maciej Stasiński

W 2019 roku ówczesny prezydent Meksyku Andres Manuel Lopez Obrador w listach do króla Hiszpanii Filipa VI i papieża Franciszka zażądał „raportu o wyrządzonych krzywdach” i przeprosin za gwałty na prawach człowieka: „To był podbój mieczem i krzyżem” – napisał. Rząd Hiszpanii odrzucił to „godne ubolewania” żądanie.

Pałeczkę po Obradorze przejęła prezydent Claudia Sheinbaum. „Podbój był procesem brutalnym, gwałtownym, grabieżą i jarzmem. Próbowano zniszczyć państwo, kultury, tysiącletnią wiedzę, tradycję, języki, obyczaje” – stwierdziła niedawno.

Tym razem Hiszpania zareagowała inaczej. „Wspólne dzieje Hiszpanii i Meksyku jak każda historia ludzka ma jasne i ciemne strony. Ludności tubylczej wyrządzono krzywy i nieprawości. Należy to uznać i wyrazić żal, bo to część naszej wspólnej historii, nie należy jej wypierać ani zapominać” – powiedział minister spraw zagranicznych Jose Manuel Albares tego samego rządu.

Historia żądań przeprosin od Hiszpanii za podbój ze strony Meksyku nie jest długa i należy ją traktować przede wszystkim jako narzędzie dyplomacji oraz polityki historycznej, a nie domenę nauki.



• Pierwsze spotkanie Hernána Cortésa z władcą Mexików-Azteków Moctezumą, datowane na 8 listopada 1519 roku

FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI KONRESU STANÓW ZJEDNOCZONYCH

HISZPANIA MA SIĘ KAJAĆ ZA KONKWISTĘ

REKLAMA

Kraj/34405809

Podbój ówczesnych ziem Mezoameryki, kolejne trzy stulecia kolonizacji, a w końcu historia niepodległego Meksyku to dzieje fuzji kultur, która zrodziła nowy kraj i społeczeństwo. Dzisiejszy Meksyk jest stopem cywilizacyjnym, którego nie da się sprowadzić do przemocy konkwistadorów wobec tubylców, obcych wobec tutejszych, choć z pewnością była tu stosowana. Próby takiej redukcji w imię modnej dziś „dekolonizacji przeszłości”, ujmowania się za ofiarami europejskiego czy zachodniego imperializmu, nie są godne miejsca w historiografii. Przynależą raczej do ideologii, nacjonalizmu, poprawności woke czy właśnie polityki historycznej.

Patronuje im krytyka, skądinąd zasadna, europocentryzmu, który polega z grubsza na tym, że badacze i zwykli mieszkańcy Starego Kontynentu patrzą na dzieje świata przez europejskie okulary. Krytyczny wysiłek polega zaś na tym, by spojrzeć na nie z punktu widzenia innej kultury lub przynajmniej ze stanowiska neutralnego obserwatora.

Dla Europejczyka – katolika czy protestanta – rdzenni mieszkańcy Ameryki Łacińskiej to nie była inna kultura, lecz poganie, barbarzyńcy, wręcz dzikusy, którym dopiero kolonizatorzy przynieśli cywilizację. Krytyka europocentryzmu bywa też podszyta nieczystym sumieniem biorącym się z idealistycznego przeświadczenia, że świat sprzed podboju był rodzajem bezgrzesznego rajy zamieszkany przez ludy żyjące zgodnie z naturą, bez przemocy, żądzy władzy i grabieży.

Podbój dzisiejszego Meksyku przez hiszpańskich konkwistadorów trzeba traktować jak wiele innych przed nim i po nim. Dzieje świata to przecież pasmo wojen i podbojów jednych przez drugich. Wszystkie były nacechowane przemocą – ujarzmieniem, zniewoleniem, mordem i grabieżą. Ale dzieje cywilizacji się do nich nie sprowadzają.

CORTÉS I JEGO ARMIA

W 1521 roku Hernán Cortés podbił państwo Mexików, zwanych potem Aztekami, których stolicą było 300-tysięczne wówczas miasto Tenochtitlán. Mexikowie przybyli z północy na środkowy płaskowyż, gdzie w XIV i XV wieku brutalnie ujarzmiali zamieszkujące tam ludy.

Pobitych i pojmanych wojowników szlachtowali rytualnie na ołtarzach swoich bogów, a tubylców obkładali daninami. Według dzisiejszych kryteriów Mexikowie byli więc imperialistami zniechęconymi przez podbitych, którzy pragnęli odwetu i wyzwolenia. Budowa ich imperium w chwili przybycia Hiszpanów wciąż trwała. Niektóre ludy miały już nad sobą zbrojnych namiestników, inne były jeszcze względnie samorządne, choć płaciły już Mexikom regularne daniny. Lądowanie na karaibskim wybrzeżu opancerzonych Hiszpanów na koniach, ziejących ogniem istot boskich czy półboskich, dostarczyło im szansy na bunt.

Cortés najpierw w 1520 przybył do Tenochtitlán z pięciuset ludźmi, ale przede wszystkim z armią sojuszniczą, w większości złożoną ze zbuntowanych przeciw Aztekom

Tlaxcallanów i Totonaków, którzy wcześniej zawarli z nim sojusz wojenny. Po kilku miesiącach gościł w królewskim pałacu, intrygach i aresztowaniu przywódcy Moncezumy jako zakładnika Mexikowie się zbuntowali, a garnizon Cortésa został wyparty i przetrzebiony.

Po pierwszej klęsce, która przeszła do historii jako *noche triste* (straszna noc), Cortés wycofał się w popłochu na tereny na północ i wschód od Tenochtitlán, gdzie cierpliwie pozyskiwał sojuszników. Wrócił po roku z posiłkami hiszpańskimi, ale przede wszystkim na czele potężnej, ponadstutysięcznej armii ludów zbuntowanych. Przyłączały się do niego miasto po mieście, odmawiając płacenia trybutów Aztekom-Mexikom. Ostatecznie zdobył i zniszczył ich państwo. Bez tubylczej armii Hiszpanie przepadliby z kretelem.

SKĄD SIĘ WZIĘLI MEKSYKANIE?

Przez cały okres podboju Cortésowi towarzyszyła darowana mu jako niewolnica przez Chontales z ludu Majów kobieta Malintzi. Znała nie tylko język własnego ludu, ale także mowę nahuatl, którą posługiwali się mieszkańcy dalszych obszarów płaskowyżu, również podbitych przez Mexików. Cortés ochrzcił ją jako Marinę, została jego kochanką i matką syna Martina. Marina-Malintzi-Malinche stała się symbolem późniejszego mestizaje, czyli biologicznego, etnicznego i kulturowego zmieszania Hiszpanów i tubylców, z którego wyrasta dzisiejszy naród meksykański. Mestizaje jest społecznym i kulturowym rdzeniem współczesnego Meksyku.

Przez kolejne dekady Hiszpanie stopniowo opanowali przemocą lub „po dobroci” ogromne terytorium zamieszkane przez miliony ludzi z różnych ludów i kultur. Wszędzie pomagały im rdzenne ludy wojujące przeciw innym rdzennym ludom. Była to kolonizacja, ale przy wsparciu tubylców, którzy weszli w sojusz z Hiszpanami. Bardzo wiele lokalnych społeczności zachowało w czasach kolonii swoich przywódców i wewnętrzny ustrój autonomiczny, kulturę, obyczaje i język.

Teza o Hiszpanach jako katach i najeźdźcach oraz tubylcach jako ujarzmionych i zniewolonych ofiarach nie wytrzymuje więc krytyki ani w odniesieniu do samego podboju, ani późniejszych dziejów Wicekrólestwa Nowej Hiszpanii.

Prawdą jest, że ludna Mezoameryka straciła w pierwszym stuleciu po przybyciu Hiszpanów dziesiątki milionów rdzennych mieszkańców, ale nie w wyniku wojny i ludobójstwa (kolejny termin, którym szafuje się bezkrytycznie i nonszalancko), lecz głównie wskutek chorób przywiezionych z Europy. Organizmy tubylców były wobec nich bezbronne. Już w 1521 roku następcą i brat Moctezumy, który walczył z Cortésem, zmarł na ospę, która pustoszyła miasto w trakcie oblężenia.

KTO, KOGO I ZA CO MA PRZEPRASZAĆ?

Dziejów hiszpańskiego podboju i panowania oraz późniejszej historii niepodległego Meksyku nie spo-

sób więc sprowadzić do przemocy białego człowieka nad rdzenną ludnością. Jednak warto w tym kontekście zadać kilka pytań, choć mogą być kłopotliwe dla zwolenników czarno-białej polityki historycznej.

Na przykład: czy dzisiejsi Meksykanie mogą się mienić potomkami Majów, Azteków czy Tlaxcalan? Są przecież w przeważającej większości mieszkańcami Hiszpanów, zarówno pierwszych kolonizatorów, jak i późniejszych pokoleń – urodzonych już w Meksyku Kreoli i nowo przybyłych osadników, oraz ludności miejscowej. Są Metysami.

Czy dzisiejsza Hiszpania ponosi odpowiedzialność za podbój sprzed 500 lat? Czy aby współczesne, demokratyczne państwo jest dziełem monarchii Habsburgów, która za panowania Karola V najeżdżała ziemie niebędące jeszcze bardzo długo Meksykiem?

Czy współcześni Hiszpanie mają prawo czuć się dumnymi spadkobiercami konkwistadorów czy raczej wstydzić się za nich i ich zbrodnie? A może jako potomkowie Iberów i Celtiberów podbitych przez Rzym powinni zażądać przeprosin od współczesnych Włochów?

Tylko czy Włosi to spadkobiercy Rzymian?

Hiszpanie mogą się także domagać przeprosin od germańskich Wizygotów za narzucenie im chrześcijaństwa. Ale kto dziś jest ich dziedzicem? I może sami powinni przeprosić Żydów za wypędzenie ich przez Królów Katolickich w 1492 roku, a współczesny Izrael powinien się tego od nich domagać?

Mezoameryka straciła w pierwszym stuleciu po przybyciu Hiszpanów miliony mieszkańców, ale nie w wyniku wojny

Wróćmy do Meksyku i pytania, czy dzisiejsi mieszkańcy tego kraju mają tytuł, by żądać przeprosin od Hiszpanii. Były prezydent Andres Manuel Lopez Obrador to biały Kreol pochodzący z Kantabrii w północnej Hiszpanii. Claudia Sheinbaum jest córką żydowskich imigrantów aszkenazyjskich z Litwy i sefardyjskich z Bułgarii, którzy przybyli do Meksyku sto lat temu.

W czym imieniu żądają przeprosin? Majów, Olmeków, Teotihuakanów, Tolteków, Zapateków, Tlaxcalan, Mixteków czy też Mexi-

ków-Azteków, których stolicę Cortés wraz z sojusznikami zdobył w 1521 roku?

UWAGA NA TACOS Z WIEPRZOWINĄ

Prof. Carlos Martínez Shaw, członek hiszpańskiej Królewskiej Akademii Historii: – Jeśli szef państwa prosi szefa innego państwa o wybaczenie za czyny sprzed 500 lat, gdy zdarzyły się społeczeństwa i społeczności niemające wiele wspólnego za współczesnymi, to jest to ahistoryczny anachronizm. To był podbój wojskowy, ale potem były trzy stulecia współzycia i oporu. Gdyby przeprosin żądały same podbite społeczności, to miałoby to może jakiś sens, ale domaganie się ich na poziomie rządów to kpina.

Martin Rios, historyk dziejów hiszpańskiego imperium z Uniwersytetu Complutense w Madrycie, wskazuje na nacjonalizm jako źródło historycznej manipulacji: – Andres Manuel Lopez Obrador może tak uważać, bo w takim duchu został wychowany i wykształcony w szkołach meksykańskich. Ale to jest historia wykrzywiona.

Meksykańska polityka historyczna w duchu męczeńskiego nacjonalizmu prowadzi do komicznych sytuacji, gdy senatorka rządzącej partii Morena (założonej przez Obradora) Jesusa Rodríguez wyzwa wyborców do niejedzenia tacos z nadzieniem z wieprzowiny, bo rdzenni mieszkańcy nie znali świń, które przywieźli Hiszpanie.

rzy wsparli Cortésa, by zrzucić jarzmo Mexików. Geniusz Cortesa polegał na tym, że dostrzegł tę wrogość innych tubylczych ludów i ją wykorzystał”.

Cayuela pisze zresztą, że traktowanie się jako barbarzyńców było wzajemne: „Dla Hiszpanów rytualne ofiary z ludzi składane przez Mexików z jeńców uroczyscie zabijanych w ofierze bogom były dzielnym obyczajem. Dla Mexików sposób prowadzenia wojny przez Hiszpanów polegający na mordowaniu i cięciwaniu przeciwników na polu walki bez żadnego rytuału ani wyższego nadprzyrodzonego celu było całkowicie nieludzkie”.

NARÓD Z TYGLA KULTUR

Dla badaczy historii i kultury Meksyku, jak Enrique Krauze i Ricardo Cayuela, władze ich kraju manipulują historią, by wykreować kozła ofiarnego, którym są zdradziecy Hiszpanie. To oni rzekomo unicestwili świetlaną i chlubną przeszłość rdzennych Meksykanów.

„Fundowanie tożsamości Meksykanów na państwie Mexików jest problematyczne, jeśli nie żalosne – pisze Cayuela. – Wędrowka ludu nahuatl z północy do płaskowyżu centralnego była tylko jedną z wielu podobnych migracji. Ich przybycie i spotkanie z wcześniej przybyłymi ludami były częścią budowy Mezoameryki, syntezy nomadów z północy i ludów osiadłych w żyznych dolinach płaskowyżu. Miasto Meksyk nie zostało założone siedemset lat temu przez Mexików, lecz było etapem wcześniejszej, tysiącletniej, złożonej historii tych terytoriów. Mexikowie stworzyli militarystyczne i krwawe imperium, którego narzędziem ekspansji była wojna, a ofiary z jeńców centralnym punktem ich religijnego i politycznego pojmowania świata”.

Ten sam spłot czy tygiel kultury i cywilizacji stosuje się do późniejszych dziejów Meksyku, kolonialnego i niepodległego, co wcale nie unieważnia ani nie przekreśla dziejów podboju i przemocy. Przemoc, ucisk i wojnę stosowali wobec potomków Majów i innych ludów nie tylko Hiszpanie za czasów kolonialnego panowania, ale także meksykańscy biali Kreole i Metysi w czasach niepodległości, np. w czasie wojny kast, którą toczyli przeciw Majom na półwyspie Jukatan. Trwała przez drugą połowę XIX wieku i pochłonęła ćwierć miliona ofiar. Ale dziejów niepodległego Meksyku również nie sposób sprowadzić do gniebienia rdzennej ludności przez „białych panów”.

– Tożsamość Meksykanów została zbudowana na syntezie, a nie na zaprzeczeniu. Dzieje Wicekrólestwa Nowej Hiszpanii to nie nawias w dziejach meksykańskich, ale kocioł, w którym wygotowaliśmy się jako współczesny naród – mówi Ricardo Cayuela.

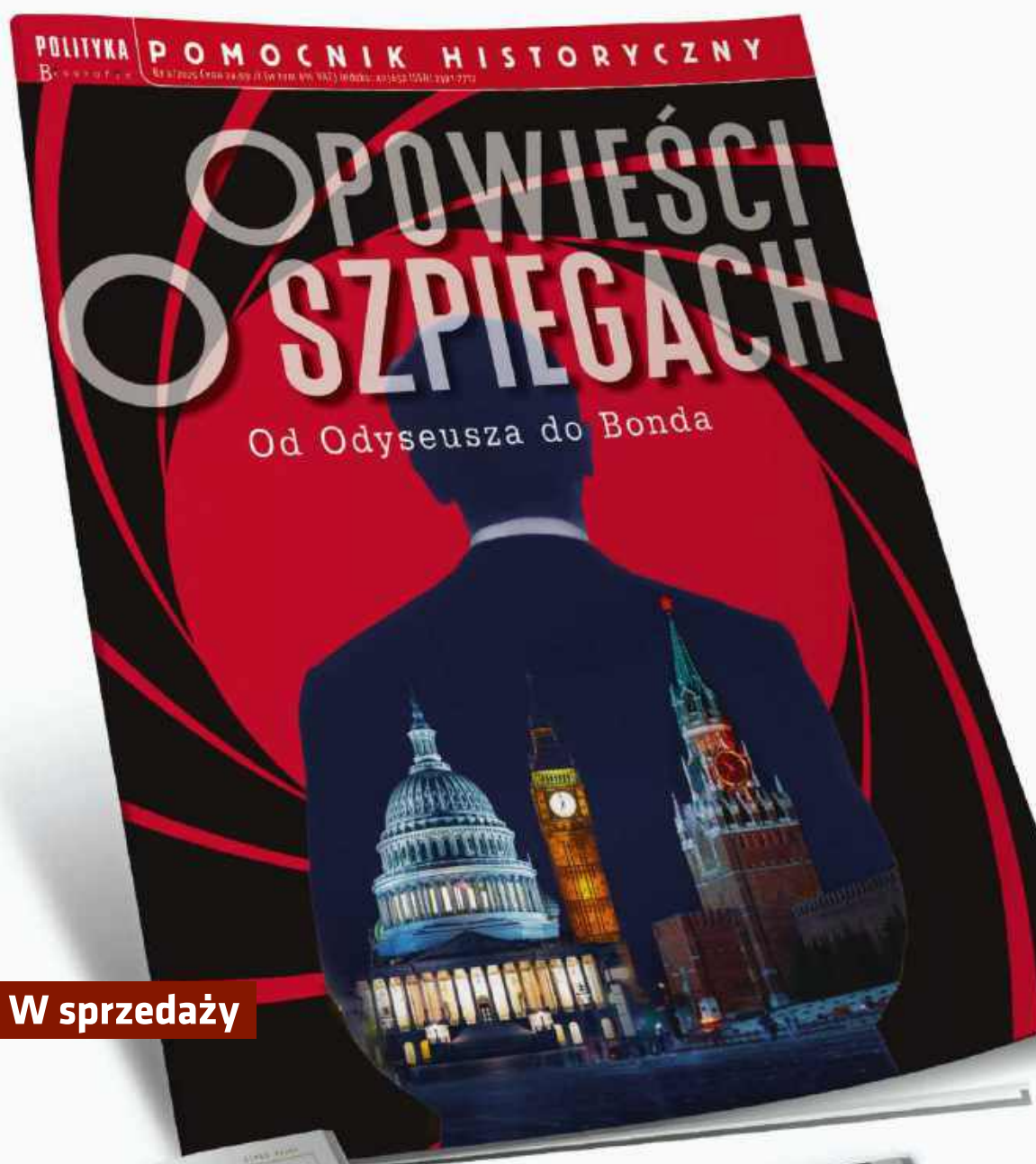
Taką wizję własnego kraju jako syntezy światów rdzennych mieszkańców oraz przybyszów z Hiszpanii podzielił wielcy twórcy i światli meksykańscy historycy, jak Justo Sierra jeszcze w XIX wieku, a w XX wieku np. Jose Vasconcelos czy słynny poeta i intelektualista, literacki noblista Octavio Paz. ●

LUDZIE CIENIA

KUP TERAZ



W sprzedaży



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Wydanie cyfrowe – subskrypcja polityka.pl/cyfrowa

Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

weekendówka
179

WIĘCEJ ŚWIATŁA

Kilka setek lat temu, w XVII wieku, podczas burzliwej nocy na Bałtyku, u wybrzeży, nieopodal przylądka Rozewie – miejsce to zwane było wówczas Rosenhoupt - na skałę zwaną „czarcim kamieniem” rozbil się szwedzki statek. Cała załoga zginęła, ocalała jedynie córka kapitana, którą uratowali miejscowi rybacy.

Zrozpaczona dziewczyna, chcąc uchronić inne statki przed losem szwedzkiej jednostki i nieszczęsnego kapitana oraz jego towarzyszy, co noc paliła na rozewskim brzegu ogień. Chciała w ten sposób ostrzec marynarzy. Miejscowa ludność, wzruszona jej losem, pomagała jej w tym – dzielna dziewczyna rozpalala ogień w każdą pogodę – a po jej śmierci przejęła ten zwyczaj/obowiązek.

Tyle legenda, jak to legenda – piękna. Najstarsze źródła pisane, które wzmiankują o Rozewiu, są jednak bardziej wiekowe – komtur gdański darował dwóm rycerzom te ziemie w dokumencie z 1359 roku.

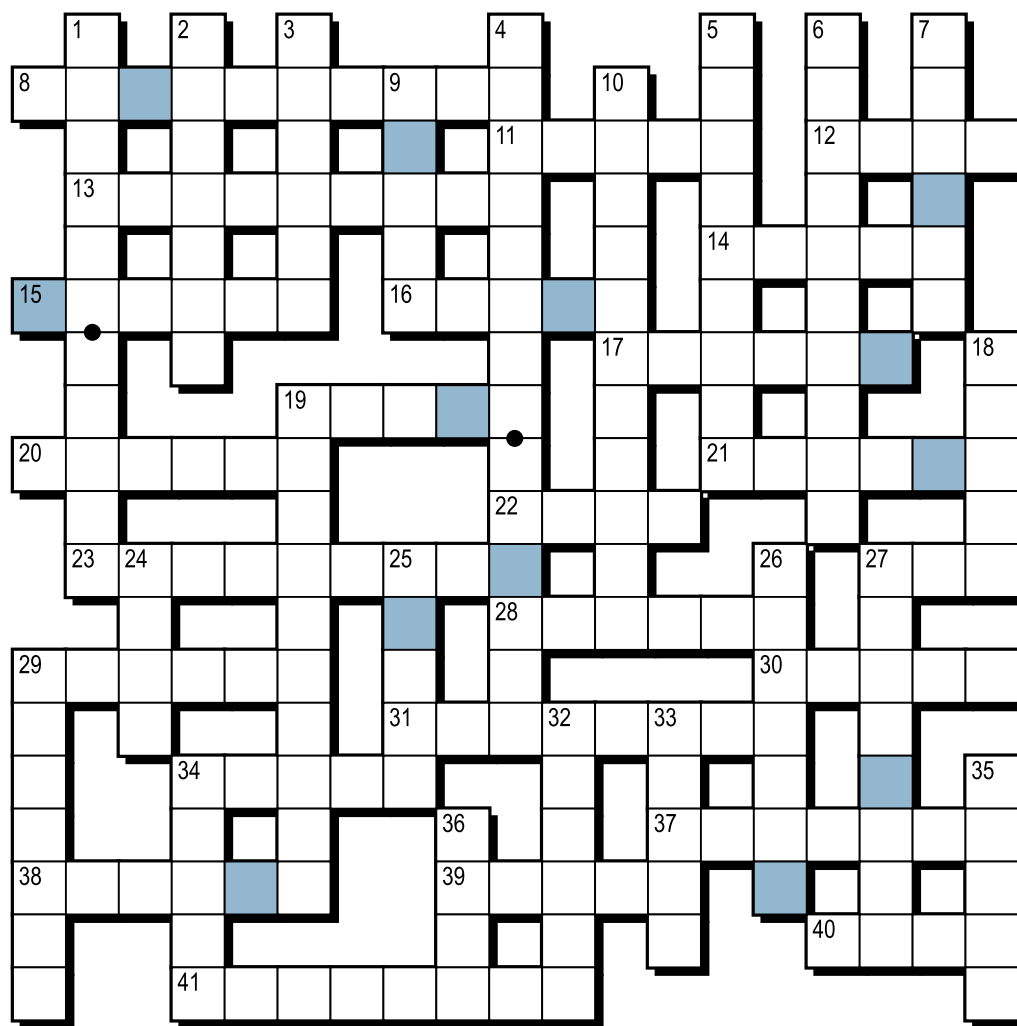
Zaś na szwedzkiej mapie Bałtyku z 1696 w Rozewiu zlokalizowana jest już latarnia morska. Tę, która istnieje do dziś – w zasadzie to istnieją dwie, ale o tym za chwilę – wzniesiono jednak w latach 1821-22. Mierzyła 21,3 m, zbudowano ją z cegieł i polnych kamieni. 15 lamp olejowych Arganda (opracował je pochodzący z Genewy wynalazca Ami Argand) rozbłysło po raz pierwszy w sześciokątnej latarni 15 listopada 1822 roku. Światło miało zasięg ponad 21 mil morskich, a w latarni pracowało dwóch latarników i jeden pomocnik.

Jak czytamy na stronie Towarzystwa Przyjaciół Narodowego Muzeum Morskiego, w 1875 roku w odległości zaledwie 190 m zbudowano w Rozewiu drugą latarnię (o wysokości blisko 29 metrów). Chodziło o to, by światła z tej rozewskiej nie mylono z inną, którą wzniesiono w Czołpinie. Dwie latarnie świeciły razem do 1910 roku, kiedy tę starszą zmodernizowano i wyposażono w oświetlenie elektryczne, a nowszą wyłączono.

Nie wiadomo, jak nazywał się pierwszy rozewski latarnik, za to wiemy, kto był najsławniejszym. To Leon Wzorek, który pracował tam od 1920 do 1939 roku – zginął rozstrzelany przez gestapo. To jemu zawdzięcza latarnia patronat Stefana Żeromskiego. Otóż Leon Wzorek opowiadał, że sławny pisarz w latarni pomieszkiwał i tam stworzył fragmenty powieści „Wiatr od morza”. Żeromski bywał w Rozewiu i znał się z latarnikiem, ale powieść napisał głównie w Warszawie. Ale to Wzorek umieścił pamiątkową tablicę poświęconą Żeromskiego, a w latarni tuż przed wybuchem wojny urządzono „pokój Żeromskiego”. Zasłużony latarnik zbudował też kamienny obelisk upamiętniający objęcie Pomorza przez Polskę w 1920 r.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, na pamiątkę rocznicy pierwszego zapalenia lamp, poświęcamy więc światłu we wszelkiej postaci. I rzecz jasna polecamy wizytę w Rozewiu i tamtejszych latarniach. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 178 z 8.11:

Poziomo: 2) przybytek
10) Coco 11) rzeka 12) zegar
13) styl 14) trasa 15) eksponaty
16) Allen 17) Luwr
24) Amelia 26) opera 28) bal
30) lekkoatleci 31) apasz
33) tunel 35) Łuk Triumfalny
38) mer 39) przejażdżka
40) opryszek

Pionowo: 1) Montparnasse
2) Pola Elizejskie 3) Zuzanna
4) bagietka 5) turystka
6) królowa 7) Sekwana
8) Bastylia 9) Wolter
18) wieża 20) klub 21) Manet
22) piosenka 25) Nana
27) Emigracja 28) bazylika
29) Londyn 30) lotnisko
32) Pompidou 34) Neymar
36) Prus 37) bruk

HASŁO: KOMUNA PARYSKA

WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Liter w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 8) źródło światła w latarni, piekarniku, lutownicy
11) przybytek kultury kojarzący się ze światłami ramp
12) surowiec do wyrobu świec
13) rozświetlała mrok komnaty w średniowiecznym zamczysku; łuczyno
14) „Idzie ... ciemną nocą, ma w fartuszu pełno gwiazd, gwiazdki błyszczą i migocą”
15) wykorzystywane podczas świetlnego show
16) widzieć w nim światło, znaczy: mieć nadzieję na wyjście z trudnej sytuacji
17) rybka akwariowa ze lśniącem pasem wzdłuż ciała

- 19) Jonasz, autor wierszy „Światło świec”, „Światło w oczy”
20) z przytwardzonym kinkietem
21) Thomas Alva, uważany za wynalazcę żarówki
22) kocie – świecą w nocy
23) Pedro, reżyser filmu „Ból i blask”
27) ... świetlny, jednostka czasu stosowana w astronomii
28) mebelek pod 1 pionowo
29) punkt świetlny na ekranie monitora
30) powstaje w wyniku rozszczepienia światła słonecznego przez kropelki wody w atmosferze
31) promieniowanie
34) ilość energii elektrycznej, jaką urządzenie oświetleniowe zużywa podczas pracy
37) ptomyczek
38) ... świetlne, stosowane m.in. w klubach tanecznych, teatrach (kolorofony, lasery, LED-y itp.)
39) skrzydlaty niebianin z aureolą

- 40) umożliwiają oświetlenie pomieszczenia światłem słonecznym
41) silne reflektory

Pionowo:

- 1) przy łóżku w sypialni
2) panuje w niedoświetlonym pomieszczeniu; półmrok
3) siedmioramienne świeczniki żydowskie
4) świeci na brzegu morza
5) pająki na sufitach sal balowych
6) epoka kulturalna i literacka poprzedzająca romantyzm
7) pierwiastek kojarzący się ze zjawiskiem chemiluminescencji
9) najwyżej położony punkt na niebie (słońce w ...)
10) przyświeca palaczowi
18) gdy słońce znów pojawia się na horyzoncie
19) duże stojące, kilkuramienne świeczniki
24) jednostka natężenia oświetlenia

- 25) Darth ..., mroczna postać z mieczem świetlnym („Gwiezdne wojny”)
26) imię wykonawczyni „Piosenki światłoczułej”
27) ... za światło, wodę, gaz (trzeba zapłacić)
29) „Ślepnąc od światła!” Jakuba Żulczyka albo „Blask” Eustachego Ryłskiego
32) neonowe ..., czytane przez przechodniów nocą w wielkim mieście
33) część ciała kojarząca się z lampkami noszonymi przez górników, grotolazów
34) może być oświetlony lampą wiszącą, diodami LED-owymi
35) Charlie Chaplin („Światła wielkiego miasta”) lub Olaf Lubaszenko („Pogranicze w ogniu”)
36) flary, fajerwerki

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34392298

Literówka • Quizy Sudoku • Krzyżówki

Szukaj  w  APLIKACJI
WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

